Artykuły i korespondencje, przeznaczone dla «Kraju», powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografje można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, «Kraj», Warszawski Oddział «Kraju». Marszałkowska 119.

Og. zb. № 1030 Petersburg, 29 marca (11 kwietnia) 1902 r. Rok XXI. № 13

TREŚĆ N-ru 13 „KRAJU“

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Brzydki nałóg, p. *Vigilax'a.*

Artykuły bieżące: Testament Leona XIII. Dwór czy lud? Zjazd gorzelniczy w Petersburgu. (Sprawozdanie „Kraju“), p. *J. G.* Z rozmów i wrażeń. (Warszawscy rabini), p. *Krajowego.* Illo tempore, p. *Wład. Połkotyckiego.* W sprawie katedry, p. *Wierzbięty.* Rada nadzwyczajna do podniesienia rolnictwa.

Listy korespondentów „Kraju“: (Echa zachodnie): Z Buenos - Aires, p. *Ubejs'a;* z Wiednia, p. *Novus'a* i t. d. (Z miast i wsi): Z Wilna, p. *A. R. Z.*; z Połągi, p. *K.*; z Kijowa, p. *Samego;* z Wołynia, p. *J. M. z F.*, i t. d. (Z Królestwa Polskiego): Z nad Wisły, p. *Zastępcę*; z Warszawy, p. *Gamę*, i t. d.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. **Przegląd prasy. Wiadomości bieżące:** Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Tydzień polityczny.

Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. **Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologja.**

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. **Ogłoszenia.**

—

ŻYCIE I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Pamiętniki hr. de Moriolles. (Wydał i przedmową opatrzył Fr. Masson. Paryż, Plon, 1892, I tom 8-o), p. *K. Walisszewskiego.* Nasi rzeźbiarze. (Marcinkowski), p. *Stef. Krz.* Z niwy dramatycznej. (Ostatnie premjery teatru lwowskiego), p. *Szarego.* Wrażenia z wystaw. (Wystawa wiosenna w Akademji sztuk pięknych i wystawa „Świata sztuki“ („Mir Iskusstwa“), p. *Dyletanta.* Sylwetki. (Kaz. Laskowski), p. *Varsowiensis'a.* Grób Faustusa Socyna w Lusławicach, p. *Pełkę.* Siły artystyczne teatru polskiego w Petersburgu, p. *L. B.* **Bibljografja tygodniowa.**

Ilustracje: Dwie ilustracje do artykułu „Nasi rzeźbiarze“. Z fotografij amatorskich: Kosiarze dworscy w Lubelskiem. Jedna ilustracja do artykułu „Grób Faustusa Socyna w Lusławicach“. **Portrety:** W. ks. Konstanty, Władysław Orkan, Marjan Tatarkiewicz, Kaz. Laskowski.

—

DODATEK POWIEŚCIOWY:

„Pogrzeb“. Tryptyk sceniczny wierszem, p. *Kaz. Laskowskiego.*

—

KARTA ALBUMOWA:

„Syrena“, rzeźba *Wład. Marcinkowskiego.*

Do dzisiejszego N-ru „Kraju“ dołączoną jest **Karta Albumowa,** odtwarzająca rzeźbę Wł. Marcinkowskiego: «*Syrena*».

BRZYDKI NAŁÓG.

Głębokiej i bolesnej rany dotknął p. Ernest Łuniński w artykule o szubrawcach. Powiedział prawdę, a prawda ta jest nad wyraz smutna.

Bezkarność, z jaką sobie pozwalamy szarpać cześć cudzą, to jeden z owych tragicznych samobójczych rysów, składających się na nasz charakter narodowy. Samobójcze było *liberum veto*, samobójcza wolna elekcja, samobójczy był brak krytyki w romantycznych porywach porozbiorowych, samobójczy jest szał opluwania się i pożerania wzajemnego.

Narzekamy na brak ludzi, na brak talentów, na brak pracowników, przejętych szczerym zapałem, wkładających całe swe jestestwo w sprawę, którą obrali, a sami robimy wszystko, co tylko sobie wyobrazić można, by każdego zniechęcić do pracy, by ostudzić chęć całkowitego oddania się na usługi publiczne, by stłumić inicjatywę, skrępować indywidualność, by wydrwić i ośmieszyć; a gdy to nie pomaga, podać w pogardę i podejrzenie każdego, kto nam nie przypadł do serca.

Najbezpieczniej żyją w Polsce ci, co pilnują swych interesów prywatnych i nie troszczą się o to, co się w kraju dzieje. W najgorszym nawet razie nie ściągną na siebie ani dziesiątej części tych oskarżeń, zarzutów, potwarzy, któremi obrzucono by ich, gdyby wyjęli z uszu «bawełnę od ludzkiego jęku» i zaczęli troszczyć się o to, co się rozgrywa dokoła. Biada temu, kto tego nie wie. Biada temu, kto zwraca uwagę na siebie.

W dawnej Polsce mawiano: «Kto się z korca wychyla, tego strychulcem w łeb!» Nie mówimy dziś tego, choć sobie myślimy to samo. Czemuż, niestety, nic tak niewzruszenie nie przechodzi u nas z ojców na synów, jak wady!?

Pragnęlibyśmy, żeby dziatwa nasza wyrastała w miłości ziemi rodzinnej, w miłości współbraci, żeby wyrastała w przekonaniu, że warto dla nich się poświęcać, że warto dla nich cierpieć. Nie łudźmy się. Dziecko, które w domu rodzicielskim wyrasta wśród odgłosu tych nieustannych posądzeń, oszczerstw zabójczych, a lekkomyślnych wyroków, nie nagromadzi w swem sercu tej miłości, którą mieć trzeba, by społeczeństwu służyć z rozkoszą. Komu wpojono w duszę, że żyje wśród szubrawców, ten nie nabierze ochoty do poświęcania się za nich.

Czyż jednak gdzieindziej nie dzieje się tak samo? Czyż my, którzy wślad za p. Łunińskim zwracamy się z żalem i naganą do społeczeństwa polskiego, nie kalamy bez potrzeby własnego gniazda?

Nie ulega wątpliwości, że z wadą tą spotkać się można wszędzie.

Oto leży przedemną paryzki «Intransigeant». Smutno się robi czytelnikowi, gdy pomyśli, do jakich celów Rochefort, jeden z najzdolniejszych dziennikarzy francuzkich, używa swego pióra. Zasadą jego jest trapić przeciwnika bezustanku, nie dać mu chwili wytchnienia. Przeciwnikiem tym jest najczęściej ten, kto stoi na czele rządu, więc też dzień po dniu przedstawia się go czytelnikowi jako zbrodniarza, nie zasługującego, by mu w chwili konania podano kroplę wody. Dla rozmaitości zmienia się tylko nazwę zbrodni. Prezes gabinetu bywa na przemiany trucicielem, fałszerzem, przemytnikiem, szpiegiem pruskim, oszustem, bandytą, złodziejem. Taką strawę podaje redakcja setkom tysięcy francuzów.

W Wiedniu bywa jeszcze gorzej. Antysemici i socjaliści, walczący ze sobą o rządy w tem mieście, rzucają sobie w biały dzień, głośno, jawnie, najstraszniejsze oskarżenia w oczy.

Nie jesteśmy więc wyjątkiem. Nie my jedni tylko znajdujemy rozkosz

w obdarzaniu rodaków przydomkiem szubrawców. Czynią to samo inni. I oni nie przebierają w wyrazach.

A jednak mimo tej pociechy, uspokoić się jakoś trudno. W metodzie, jakiej się trzymamy, gdy idzie o moralne zabijanie bliźniego, jest coś, co zatrważa.

W Paryżu «l'Intransigeant» jest organem tylko pewnych sfer. Kto nie chce, by mu powtarzano te wyszukane koncepta, wie, że są koła, w których nie będzie potrzebował ich słuchać. W Wiedniu walka antysemitów z socjalistami wre w parlamencie, w ratuszu, w dziennikach. Poza tem jest jeszcze świat nauki, świat sztuki, świat myśli ludzkiej, wyzwolonej z pęt brutalnej nienawiści, z kajdan osobistej chęci znęcania się nad bliźnim.

Takich schronisk, takich przytułków, do których atmosfera lekkomyślnej złości się nie wciska, nie znaleźlibyśmy zbyt wiele i w społeczeństwach, znacznie od naszego zdrowszych. Schroniska te atoli istnieją. W nich, jak na ołtarzu bogini, żarzy się bez przerwy żądza poznania prawdy, niezbrukanej przesądem, nieskalanej paszkwilem. Kto zatęsknił za atmosferą, wolną od nienawiści, wolną od złośliwości, posuniętej do okrucieństwa, znajdzie drogę do takiego schroniska.

My jesteśmy konsekwentniejsi. Namiętność robienia z ludzi szubrawców nie kończy się u nas na tych sferach, które czytują «Intransigeanta», ani na tych, z których się rekrutują w Wiedniu agitatorowie socjalistyczni lub deputowani antysemiccy. I dlatego też lęk bierze, że porównanie z innemi ludami wypadnie na naszą niekorzyść.

Igranie z dobrą sławą bliźniego, jak z bawidełkiem, które bez wielkiej szkody można popsuć, a potem wyrzucić na śmietnik, jest nałogiem strasznym. W naszem społeczeństwie nałogowi temu nie umieją opierać się niekiedy ludzie o bardzo silnych charakterach, o wypróbowanej rzetelności, o wielkiej odporności wobec innych pokus. Człowiek, któremu z zamkniętemi oczami można powierzyć majątek, którego śmiało obrać można sędzią każdej zawiłej sprawy, człowiek, do którego zawsze można zapukać, gdy idzie o dostanie pieniędzy na jakiś cel szlachetny, nie zapanuje nad sobą, jeżeli zdarza się sposobność powtórzenia pogłoski, mogącej zabić jednostkę lub rodzinę.

Cóż bywa powodem tej opłakanej słabostki?

W niektórych wypadkach prosta chęć popisania się konceptem. Innym razem główną pobudką jest ambicja, której schlebia, gdy uchodzimy za dobrze poinformowanych.

Bywają jednak i przyczyny głębsze.

Jedną z nich jest brak poszanowania dla cudzej myśli, dla cudzej indywidualności, dla cudzego zdania.

Szanować zdanie cudze to napozór nie jest rzecz trudna. Zdanie cudze szanujemy wszyscy pod warunkiem, że nam jest sympatyczne, że nam dogadza, że jest takie, jak nasze. Trudność zaczyna się dopiero, gdy się zdania różnią. Tu dopiero otwiera się pole dla tolerancji. Poszanowanie dla własnego zdania ma każdy. Tolerancją może się chlubić ten tylko, kto umie wysłuchać cudzego zdania nawet wtenczas, gdy ono mu niemiłe, nawet wtenczas, gdy je słyszy po raz pierwszy, nawet wtenczas, gdy go nie rozumie.

Najskorsi do wyrokowania o bliźnich bywają ci, którzy własnych przekonań nie okupili trudem, pracą, walką wewnętrzną. Pomiatają tem, czego nie cenią. Tacy zawsze z najzimniejszą krwią gotowi sądzić i potępiać. Dopiero ten, kto wie z doświadczenia, co to znaczy zdobyć sobie własny pogląd na świat, dopiero ten, kto latami pasował się sam z sobą, zanim zdołał wytworzyć harmonję między wrodzonemi skłonnościami i uczuciami a tym światem, który go otacza—dopiero ten, kto wie, czem się to opłaca, może się domyślić, czem to opłacili inni. Czyżby owa tak rozpowszechniona w naszym narodzie lekkość i bezmyślność sądu miała dowodzić, że w społeczeństwie brak jednostek, które taką walkę naprawdę przebywały i które, wywalczywszy sobie sąd spokojny i niezawisły, nie odmawiają go bliźnim?

Wędrowiec, przybyły z Północy, przejrzawszy okiem wszystkie marmury florenckich *Uffizi*, zmęczy się nareszcie widokiem tylu ciał marmurowych, pojętych w sposób nam obcy, tylu ciał, w których idealny pierwowzór ruchu, rzutu, biegu uwieczniony został z pominięciem indywidualnych znamion człowieka. Zmęczone oko szuka mimowoli wytchnienia.

Znajduje je niebawem. Oto dobry znajomy, szlifierz, *Varrotino*. Z tej rzeźby mówi cała dusza postaci, całe życie człowieka. Marmur tchnie jakąś nowożytną indywidualnością, która już uderzała Mickiewicza.

Przykucnął, żeby jeszcze parę razy przejechać nożem po kamieniu, a potem zaraz zabierze się do dzieła. Niech nikt nie myśli, że mu idzie o zwłokę. Marsjasz już uwiązany. Jak on go złupi ze skóry! Jak on go złupi!

A jak się śpieszy. Nużby w ostatniej chwili kazano mu nóż odłożyć i kogo innego wezwano do roboty. On przecież pojął, o co idzie. On wie, jak to się robi. On się nie powstydzi swej pracy, oczekiwania nie zawiedzie.

A kłamie. Kłamie, gdy udaje, że zrozumiał, za co ma obdzierać skazanego ze skóry. Za to, że Marsjasz fałszywie grał na cytarze? Szlifierzowi wszystko to jedno. Niech mu jutro przyprowadzą związanego Apollina, a rozprawi się z nim tak samo.

Przebieżmy w pośpiechu dzieje wieku XIX, a znajdziemy chwile, które przypomną nam ostrzenie noża w trybunie florenckiej.

Gdy Adolf Thiers zdobył się na ten niesłychany dowód odwagi cywilnej i na posiedzeniu Izby francuzkiej, na którem uchwalono nieszczęsną wojnę z Prusami, zaklinał rodaków, by się opamiętali, Paryż, rozhukany pobudką wojenną, odpowiedział mujednym wyrazem: zdrajca.

W parę godzin po posiedzeniu opowiadano na Bulwarach, że właśnie nadeszła z Berlina depesza telegraficzna, w której Wilhelm I dziękuje Thiersowi za to, iż dla dobra Prus chciał powstrzymać francuzów od wojny.

I między tymi wszystkimi, którzy powtarzali tę bajkę bezecną i głupią, nie znalazł się nikt, ktoby pomyślał, że gdyby Wilhelmowi zależało na zażegnaniu wojny, to nie byłby się zachował tak wyniośle i niegrzecznie wobec posła francuzkiego w Ems. I między tymi wszystkimi, którzy nie wiedzieli, co czynią, nie znalazł się nikt, ktoby pomyślał, że gdyby Wilhelm chciał w przededniu wojny dziękować któremukolwiek francuzowi za usługi, oddane Prusom, nie czyniłby tego w depeszy telegraficznej. Powtarzano plotkę i plotce wierzono. I jakże się temu dziwić, skoro znalazł się dziennik, który wieść o owej depeszy ogłosił światu? Wieczorem tłum uliczny urządził demonstrację przed oknami Thiersa, zdrajcy.

W siedm tygodni potem ten sam lud, w uczuciach swoich nieomylny, miotał obelgi na zdrajcę Napoleona za to, że wojnę prusakom wydał.

Dusza ludzka nie zmieniła się w ciągu wieków. *Arrotino* gotów złupić dziś Marsjasza, a jutro Apollina.

Jakież na to lekarstwo? Czy go nikt nigdy ludzkości nie poda?

Nie silmy się na szukanie tego leku, nie kuśmy się o nowy wynalazek. Lekarstwo takie istnieje. Wszyscy o niem wiemy. Znane jest światu od kilku tysięcy lat.

Ile razy kogoś niesłusznie robimy szubrawcem, ile razy powtarzamy plotkę, ile razy nie posiadamy się z radości, widząc, jak rodak rodaka w oczach ogółu poniża, tyle razy na sumieniu naszem powstaje plama nowa, sumienie kala się nieprawdą.

Za wiele kłamie się dzisiaj na świecie. Ludzkość nie czuje, że przebrała miarę. Pierwiastkiem kłamstwa przesiąka powietrze, którem oddycha dorastające pokolenie. Ci zaś, co to widzą i czują, nic nie mogą ludziom powiedzieć, prócz słów: «Nie mówcie fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu waszemu».

Vigilax.

TESTAMENT LEONA XIII.

Ostatnia encyklika Leona XIII, ogłoszona z powodu 25-lecia rządów papiezkich, uważana jest przez samego Papieża za rodzaj testamentu.

„Doszedłszy do 25 roku Naszego urzędu apostolskiego — pisze Papież — dziwimy się sami przebytej wśród ciężkich, bezustannych trosk drodze życia i odczuwamy zrozumiałą potrzebę podniesienia serca Naszego do Boga wszechdobrotliwego, który między tak licznemi dobrodziejstwami raczył Nam łaskawie udzielić tak długich rządów, jakie trudno znaleźć w dziejach".

Następnie Papież mówi o siłach wrogich, dążących do zniszczenia dzieła Jezusowego:

„Kościół Chrystusowy musiał po wszystkie czasy cierpieć przeciwności i prześladowania za prawdę i sprawiedliwość... A że są prześladowania, nie możemy się dziwić, ponieważ przepowiedział je Pan i Mistrz nasz. Cóż powiedział Pan do uczniów, gdy ich wysłał, ażeby Jego naukę opowiadali wszystkim narodom? Każdy to wie; powiedział: Będziecie prześladowani od miasta do miasta, będziecie nienawidzeni i wzgardzeni dla imienia Mego, przed sądy was wodzić i na największe kary skazywać was będą".

Historyczne cierpienia Kościoła Papież maluje w tych słowach:

„Państwo rzymskie przez całe trzy wieki, nadużywając swej brutalnej przemocy, wszystkie swoje prowincje zasiało męczennikami i ich krwią zrosiło każdą piędź ziemi tego wiecznego miasta! Herezja w przymierzu z niem usiłowała, czy to w ukryty sposób, czy też z bezwstydną otwartością, przez sofizmaty i wszelkiego rodzaju zasadzki, zniweczyć przynajmniej harmonję i jedność. Przyszły potem z północy, aby Kościół zburzyć, hordy barbarzyńców, a z południa przyszedł islam, pozostawiając za sobą wszędzie spustoszenie i ruiny. W ten sposób z wieku na wiek przechodziło smutne dziedzictwo nienawiści przeciwko Oblubienicy Chrystusowej. Nastąpił cezaryzm, podejrzliwy i potężny, niezadowolony z obcej wielkości, choć jego własna wielkość tak bardzo rosła, i ponawiał ustawicznie zaczepki, aby ujarzmić wolność i przywłaszczyć sobie cudze prawa. Serce kurczowo się ściska na widok Kościoła w tak częstych uciskach i niewypowiedzianych bólach. Tymczasem Kościół, pokonując zwycięzko wszelkie przeszkody, gwałty i zaczepki, coraz dalej i dalej rozszerza swoje namioty pokojowe, a strzegąc pełnego sławy dziedzictwa sztuk, historji, wiedzy i literatury, i w społeczeństwo ludzkie zaszczepiając głęboko ducha Ewangelji, wytworzył ową kulturę, którą nazywamy chrześcjańską".

Następnie Papież wspomina o reformacji Lutra, która wytworzyła rozdwojenie między narodami chrześcjańskiemi:

„Gdy tak drogi się rozłączyły, nadeszła pyszna i szydercza filozofja XVIII wieku, która postępowała coraz dalej. Ośmieszała święte księgi Testamentu i ryczałtem odrzuciła wszystkie prawdy od Boga objawione, aby nakoniec w sumieniu narodów zniweczyć wszelką wiarę i religję i wszelkie tchnienie idei chrześcjańskich. Z tych źródeł powstały smutne i godne pożałowania systemy racjonalizmu i panteizmu, naturalizmu i materjalizmu, dawne, od Ojców Kościoła i apologetów już zwycięzko odparte błędy w nowej szacie".

Wskutek tego zasady chrześcjańskie dziś bywają zapominane:

„A cóż przychodzi na miejsce tych zasad, tych niezrównanych filarów wiary? Straszliwy sceptycyzm, który się kładzie na serca zimny, jak lód, i stłumia wszelką wzniosłą dążność sumienia. A jednak te tak fatalne nauki przeszły ze sfer idei do życia zewnętrznego i do publicznych urządzeń. Wielkie i potężne państwa ustawicznie je zastosowują w praktyce, oszołomione tem, jakoby w ten sposób kroczyły na czele postępu i cywilizacji".

Dalej Papież ubolewa nad upadkiem chrześcjańskich pojęć o małżeństwie:

„Toż każdy widzi, jakie ztąd wyrastają owoce: mnożą się po nad wszelką miarę małżeństwa, zawarte z brzydkiej namiętności. Te albo zrywa się po krótkim czasie, albo też wyradzają się w tragiczne zatargi, w skandaliczną niewierność, nie mówiąc już wcale o niewinnych dzieciach, które się zaniedbuje, które psują albo złe przykłady rodziców, lub jad, rozszerzany daleko przez urządzenia świeckie".

Surowo także sądzi Papież obecne stosunki między narodami, które „w swych przedsięwzięciach aż nazbyt łatwo ulegają pokusie pomijania wysokich pojęć moralności i sprawiedliwości, oraz obowiązku bronienia słabych i uciśnionych, i w pożądaniu bezgranicznego przyrostu bogactwa narodowego, gonią tylko za powodzeniem i liczą się z dokonanemi faktami, pewni, że nikt ich nie przymusi do szanowania prawa. To są zgubne zasady, które brutalna siła sankcjonuje jako najwyższe prawo świata. Ztąd postępujące naprzód i bezsilne pomnożenie uzbrojeń wojennych, albo także ów pokój zbrojny, który pod wieloma względami można porównać z najnieszczęśliwszemi skutkami wojny".

Papież dalej zwraca uwagę na wzrost idei antyspołecznych wśród ludności uboższej:

„Ztąd pochodzą częste niepokoje i zamęty, które są prologiem najcięższych katastrof. Smutne położenie tak wielkiej części niższych warstw ludu, które z pewnością zasługują na pomoc i wsparcie, służy zarazem przedziwnie celom zręcznych agitatorów, a przedewszystkiem stronnictw socjalistycznych, które za pomocą szalonych obietnic, udzielanych tłumom ludu, zbliżają się do urzeczywistnienia swych okropnych zamysłów".

Następnie Papież wspomina o swej długoletniej działalności apostolskiej i swych encyklikach:

„Świadomi tej Boskiej siły, od początku naszego pontyfikatu pracowaliśmy nad tem, aby stawiać przed oczy i uwydatniać dobroczynne zamiary Kościoła, oraz przedstawić skarb jego nauk, jako też zbawienną działalność. Ku temu celowi były skierowane najważniejsze akty naszego pontyfikatu, mianowicie encykliki: o filozofji chrześcjańskiej, o wolności człowieka, o małżeństwie chrześcjańskiem, o wolnomularstwie, o władzach publicznych, o głównych obowiązkach obywateli-chrześcjan, o socjalizmie, o kwestji robotniczej i innych pokrewnych sprawach. Najgorętszem życzeniem naszego serca było jednakowoż nietylko oświecenie duchów, lecz wzruszenie i oczyszczenie serc".

Pozostałe ustępy encykliki poświęcone są obronie Kościoła. Papież obala zarzuty, jakoby Kościół był przeciwnikiem nauki, cywilizacji i wolności; twierdzi również z całą stanowczością, że Kościół nie przywłaszcza sobie atrybucyj państwa i daleki jest od działalności politycznej. W końcu Papież wyraża niezłomną wiarę w ostateczny tryumf duchowy Kościoła.

DWÓR CZY LUD?

Dwór, lud i plebanja — te trzy czynniki życia społecznego na wsi przechodzą powoli drogę przeobrażenia. O tem przeobrażeniu pisał już w «Kraju» (Nr. 50 r. z.) w tonie nieco pesymistycznym p. Opoczniak, który z żalem dowodził, że dwór i jego tradycje zanikają, a natomiast plebanja, oparta na ludzie, wciąż wzrasta w siły. P. Opoczniakowi odpowiedział w «Kraju» (Nr. 6 r. b.) jeden z plebanów, biorąc w obronę lud, a zarzucając dworowi, że nie przestrzega moralności i ludowi nie sprzyja, bo czuje niejako wyższość swej «parenteli» nad «chamstwem». P. Opoczniak wygotował w odpowiedzi na to list do plebana, który nam nadesłał. Przytaczamy zeń najgłówniejszy wyjątek, malujący dokładnie poglądy ziemianina na jego spór z plebanem. Ziemianin, przyznając, że i lud jest szlachetny i dwór nie stracił siły moralnej, tak pisze do plebana:

«Szanowny plebanie! Zgadzam się w zupełności na to, że dziś «chamskich» dusz już niema. Radbym jednak pójść o krok dalej i powiedzieć: niema dzisiaj już nigdzie żadnej «świetnej parenteli». Świat demokratyzuje się. Tak, demokratyzuje się w najlepszem tego słowa znaczeniu. W dwumilowych butach kroczy do celu

tym celem — jedna owczarnia. My, jak we wszystkiem, tak i w tem, podążamy w tyle za innymi narodami, ale podążamy. Niema już dziś chamskich dusz, ani dusz szlacheckich, są tylko—dusze. Dusze rozumieją coraz lepiej swą równość i wolność, pragną kochać i wiedzieć. Żadnym też «monopolom» nic w siebie wmusić, ani sobie narzucić nie pozwolą; chcąc je posiąść, trzeba je porwać lub przekonać.

«Zgadzam się, szanowny plebanie, że ogólna moralność rośnie. Jedynie w dworze wiejskim miałaby moralność upadać? Czyż być może! Pomijając wszelkie inne wpływy ogólnych, bardzo ogólnych prądów, policzmy się z czynnikami, które dwór w jego egzystencji utrzymują. Siły zewnętrzne sprawiły, że dwór zanika. A gdzie stawia losom opór i nie zanika, to ciężko pracuje i z góry wie, że zyski z jego pracy nie przekroczą nigdy najbardziej umiarkowanych odsetek. My, ziemianie, nie rozporządzamy żadnym rygorem, ani gwałtu, ani groźby wobec naszych robotników, z którymi stajemy do pracy; a jednak dla naszego i ich dobra staramy się wyrobić w nich zamiłowanie do ładu i porządku, zjednać sobie ich zaufanie i miłość przedewszystkiem.

«Marne są nasze zyski, marne też wynagrodzenie naszych pracowników. Jeżeli, pomimo to, ludzie całemi dziesiątkami lat wiernie nam i przychylnie służą, przy jednym i tym samym dworze rodzą się i starzeją, toć muszą wiązać ich z dworem silne nici wzajemnie wypróbowanej moralności. Lud nasz ma tak niewyczerpaną skarbnicę dobroci w swem sercu, a że zawsze drogą moralnego wpływu można do niego skutecznie trafić. Czyż człowiek, sam niemoralny, może umoralnić?Zatem, jeżeli, pomimo zewnętrznych sił, które jego egzystencji stale zagrażają, dwór jaki jeszcze egzystuje, to musiał z pewnością wytężyć wszystkie siły wewnętrzne, jakich w walce z zewnętrznemi użyć może, a więc w pierwszym rzędzie oprzeć się na moralności, bez której nic się nie ostoi. Twierdzę przeto, że dwór nasz zachował w sobie jeszcze dużo mocy moralnej, że nie podupadł tak dalece, żeby wśród dawnych dusz «chamskich» musiał szukać dla siebie wzorów...»

I dwór, i lud, i plebanja—to przecież jedna owczarnia.

ZJAZD GORZELNICZY W PETERSBURGU.

(Sprawozdanie «Kraju»).

II.

Przystępując w kolei obrad do określenia sposobu repartycji okowity pomiędzy gorzelnie, zjazd większością głosów oświadczył się przedewszystkiem za zniesieniem podziału na okręgi wobec zniesienia licytacyj okowity. Odtąd nabywanie okowity dokonywać się winno w całości w drodze repartycji; celem zaś zapewnienia pewnych przywilejów gorzelniom mniejszym, postanowiono oznaczyć pewne *minimum* wypędu, któreby skarb obowiązany był przyjmować w całości. Za takie *minimum* jen. Arapow, przemysłowiec gorzelany z Rosji środkowej, podał 15 tysięcy wiader, zaś p. A. Zan z guberni suwalskiej 20 tysięcy wiader, wskazując, że jest to najmniejszy wypęd, który zabezpiecza samodzielne istnienie gorzelni typu rolniczego. Kompromisowym wnioskiem była propozycja p. Muromcewa, właściciela gorzelni w gub. smoleńskiej, który oznaczył za *minimum* produkcji 17,500 wiader, jako przeciętną dzisiaj obowiązujących dla rozmaitych okręgów norm minimalnych

$$(10+15+20+25):4=17,5.$$

Następnie zwrócono się do naszkicowania projektu, w jaki sposób usunąć nadprodukcję, która, jak to w poprzednim artykule wykazaliśmy, wynosi za wyłączeniem produkcji gorzelni drożdżowych i melasowych, 8 milj. wiader. Po dłuższych debatach, większość członków zjazdu przyszła do przekonania, że wobec zniesienia licytacji i rozszerzenia skarbowej sprzedaży trunków na całe państwo, znika pobudka do wytwarzania okowity po nad potrzeby monopolu. Zainteresowane w zwiększeniu wytwórczości mogą być chyba tylko niektóre wielkie gorzelnie przemysłowe, wywożące część spirytusu zagranicę, albo też gorzelnie drożdżowe, dla których spirytus stanowi produkt poboczny i które stosują swą wytwórczość do stopnia zapotrzebowania drożdży. Wobec tego uznano za wystarczające określić tylko, w jaki sposób powinna być dokonana repartycja potrzebnej dla skarbu ilości okowity, oraz postanowiono dla unormowania produkcji zadowolnić się dziś określonemi normami maksymalnego wypędu dla każdej gorzelni. Otóż zdaniem większości członków zjazdu repartycja powinna być dokonana w ten sposób, że po za *minimum* wypędu—które określano, jak widzieliśmy, trojako: 15, 20 i 17,5 tys. wiader—reszta ma być podzielona pomiędzy gorzelnie stosownie do siły wytwórczej (maksymalnego wypędu), za potrąceniem odsetka tem większego, im znaczniejszą jest produkcja.

Do udziału w repartycji na zasadach ogólnych postanowiono z pewnemi zastrzeżeniami przyłączyć i nowopowstałe gorzelnie, natomiast celem uniknięcia dalszego wzrostu nadprodukcji uznano za pożądane, aby udzielanie pozwoleń na budowę nowych gorzelni możliwie ograniczyć, a nawet w ciągu jakichś 3 lub pięciu lat zupełnie wstrzymać. Szczegółowo omówiono także stosunek monopolu skarbowego do gorzelni drożdżowych i melasowych. Względem gorzelni, pędzących spirytus z melasy, jednogłośnie uznano, że te nie powinny być dopuszczone do repartycji, ponieważ przerabiając na spirytus melasę, produkt tak dla rolnictwa, a właściwie dla gospodarstwa hodowlanego potrzebny, nie zasługują na żadne poparcie. Co się zaś tyczy gorzelni drożdżowych, to otrzymywany przy fabrykacji drożdży spirytus może być przyjmowany do repartycji o tyle tylko, o ile wymagać tego będzie wzrost spożycia spirytusu lub zapotrzebowanie go do celów technicznych.

Wzmianka o użyciu spirytusu dla celów technicznych dała jednemu z członków zjazdu, p. A. Zanowi, sposobność do podjęcia tej sprawy, pomimo zastrzeżenia, zrobionego przez prezesa zjazdu zaraz na początku obrad, iż sprawa ta kompetencji zjazdu nie podlega. P. Zan wyłuszczył w swej przemowie wszystkie te względy, które przemawiają za najszerszem użyciem spirytusu do celów technicznych, a które przytoczyliśmy w poprzednim artykule; w końcu zaś zaproponował złożenie przez gorzelników 120 tys. rb. na premjum za wynalezienie zadawalniającego sposobu denaturalizacji. Propozycja ta, powitana przez zebranych oklaskiem, została jednak przez przewodniczącego uchyloną z tego względu, że ministerstwo skarbu, samo zainteresowane w użyciu technicznem spirytusu, czyni już wszystko możliwe, aby ten cel jaknajprędzej osiągnąć.

Na tem prace zjazdu zakończono. Ze względu zaś na to, że wobec wielkiej ilości przemówień i wyrażonych dezyderatów, do protokółów zebrań mogły łatwo się wkraść niedokładności, przewodniczący oznajmił, że uczestnicy zjazdu mają prawo składania memorjałów w tej sprawie na piśmie, które, o ile będą dostarczone przed d. 1 czerwca r. b., zostaną uwzględnione przy układaniu nowych przepisów. O ile wiemy, podobne memorjały zostały złożone przez reprezentantów większości stowarzyszeń rolniczych z Królestwa Polskiego oraz z Kraju zachodniego i zawierają, obok powtórzenia z nieznacznemi zmianami powyżej przytoczonych postulatów, jeszcze żądanie, aby do udziału w naradach, odbywających się corocznie przy ministerstwie skarbu celem oznaczenia cen na okowitę, byli zapraszani przedstawiciele gorzelnictwa po jednemu z każdej guberni.

Przewodniczącemu, senatorowi Kokowcewowi, członkowie zjazdu złożyli po ukończeniu obrad podziekę za bezstronne i umiejętne kierowanie dyskusją, a jednocześnie wybrano deputację do ministra skarbu z podziękowaniem za zwołanie zjazdu i opiekę nad przemysłem gorzelniczym. O składzie deputacji i

przebiegu audjencji podaliśmy szczegóły w poprzednim numerze «Kraju». Nazajutrz podobna deputacja, do której weszli: ks. Szczerbatow z gub. połtawskiej, Polakow z gub. tulskiej, ks. Mieszczerski i Muromcew z g. smoleńskiej, Kronenberg z Kraju nadbaltyckiego i A. Zan z Królestwa, udała się jeszcze do ministra rolnictwa. Deputacja miała na celu przedstawić ministrowi sprawę organizacji obrony interesów rolnictwa krajowego przy określaniu cen na spirytus, co wobec skasowania licytacyj i zakupu całej ilości okowity po cenach z góry oznaczonych, nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Minister przyjął deputację przychylnie i obiecał poprzeć tę sprawę.

J. G.

Z ROZMÓW I WRAŻEŃ.

Warszawscy rabini.

Niedawno odbyły się w Warszawie wybory pięciu nowych rabinów—fakt rzadki ze względu, że jest to urząd dożywotni. Obudziły też wybory te żywe zainteresowanie w kołach, mających w nich bezpośredni udział, tak dalece żywe, iż odbiło się ono nawet i po za temi kołami. Jak zwykle w takich razach, plotka i nieprawda szybciej dochodzi i łatwiej toruje sobie drogę, aniżeli fakt. Ponieważ ruch ten miał i swoją stronę społeczną, mogącą nasz ogół zainteresować, udaliśmy się po informacje do jednego z najpoważniejszych i najwpływowszych członków gminy.

— Ilu jest w Warszawie rabinów?

— Dwunastu, czyli tylu, ile cyrkułów. Obecnie wybierano aż pięciu, bo tyle okazało się miejsc wolnych.

— Czy pomiędzy warszawskimi rabinami jest jeden—główny, taki, jak Zadok-Kahan w Paryżu, albo Adler w Londynie?

— Takiego nie mamy. Ostatnim był rabin Meizels, głośny w ruchach roku 1863, rodem z Krakowa, gdzie był poprzednio rabinem i deputatem do sejmu; zmarł w r. 1870. Po jego śmierci, namiestnik hr. Berg, za pośrednictwem prezydenta miasta, jenerała Witkowskiego, zwrócił się do przedstawicieli gminy żydowskiej z żądaniem przedstawienia kandydatów na rabina głównego. Podano wówczas trzy nazwiska: rabina Ohrensteina z Brześcia litewskiego, Bornsteina z Katowic i Jakóba Gesundheita z Warszawy, spodziewając się, że władza, która zastrzegła, że nadal nie zatwierdzi rabina zagranicznego, obierze na to stanowisko Ohrensteina. Stało się jednak inaczej: nominację otrzymał Gesundheit, który miał wprawdzie za sobą klasę średnią, ale któremu byli przeciwni zarówno chasydzi, jak i postępowcy. Niedługo jednak pozostawał na tem stanowisku. Ciągłe niesnaski, skargi do władzy, rozprężenie stosunków gminnych doprowadziły do tego, że zarząd gminy wyjednał w końcu u rządu uwolnienie Gesundheita od obowiązków.

Odtąd nie było już i niema rabina głównego. Zarząd gminy powołał do życia kolegjum rabiniczne, złożone z dostatecznej liczby członków. W kolegjum tem przewodniczy jeden z nich co miesiąc kolejno. Głównym rabinem w znaczeniu moralnem, nie nominalnem, bywa zazwyczaj najpoważniejszy z tego grona. Ostatnio był nim zmarły przed kilku miesiącami rabin Klepfisz.

— Czy prawdą jest, co pisano o jego popularności nawet wśród chrześcjan, którzy podobno zwracali się do niego, jako do sędziego polubownego, w zatargach z żydami?

— Osobiście go nie znałem, ale trudno w to uwierzyć wobec faktu, że ten rabin nie władał prawie wcale językiem polskim.

— A jak się zapatruje na sprawę obioru głównego rabina w Warszawie obecna ludność jej starozakonna?

— Posiąść go pragną, bynajmniej nie w celach religijnych, przedewszystkiem sami prawie sjoniści, i oczywiście chcą widzieć na tem stanowisku kogoś ze swej partji, a przynajmniej takiego, o którym będą pewni, że się nie sprzeciwia sjonizmowi. Rabin ten nie może być «chasydem», bo ci prawie bez wyjątku są stanowczymi antysjonistami. Chasydzi wogóle uważają stan obecnego rabinatu warszawskiego, bez głównego rabina, za zadawalający. Oni mają swoich «rebów» na prowincji; jeżdżą do nich od czasu do czasu po «światło nauki», a w Warszawie wystarcza im obecność takich «more-horuów», którzy są również podlegli «rebom-cadykom».

— A co sądzi o potrzebie głównego rabina stronnictwo postępowe?

— Ono zgadza się na tym punkcie z chasydami, co zresztą nie powinno dziwić zbytnio ludzi, głębiej na sprawy patrzących i nieuprzedzonych. Za rządów d-ra Ludwika Natansohna, chlubnie znanego na rozlicznych polach szerszej działalności społecznej, który silną ręką dzierżył władzę w zarządzie gminy żydowskiej w Warszawie przez ćwierć wieku—za jego rządów utrwalił się ten sposób patrzenia na sprawę rabinatu. Dr. L. Natansohn stanowczo się sprzeciwiał nominacji nadrabina, uważając za niedobre powierzenie mu zbyt rozległej władzy. Jego ideałem był rabinat zbiorowy, zależny częściowo od zarządu gminy, o władzy ograniczonej. Zato w sprawach religijnych pozostawiał całkowitą swobodę orzeczeniom tego rabinatu. Taki podział czynności zadawalał wszystkich, ale przestał się podobać obecnie sjonistom warszawskim. Dotychczas panowała zgoda i harmonja, rzecz wyjątkowo rzadka w stosunkach gminno-żydowskich, zwłaszcza na prowincji, gdzie ustawicznie wre walka stronnictw z powodu nominacyj kahalnych, gdzie na porządku dziennym są kłótnie zawzięte, w rodzaju zatargów warszawskich po r. 1870 z powodu Gesundheita.

— A w chwili teraźniejszej co się dzieje wśród stronnictw warszawskich?

— Teraz wystąpili sjoniści z pretensjami. A to im potrzebna «reprezentacja» w postaci nadrabina warszawskiego. A to chcą mieć rabina—mówcę ludowego. To znowu szło o «ambicję»: Warszawa jest największą gminą żydowską na całym świecie, powinna więc starać się o rabinów «największych», a nad nimi ustanowić głównego rabina. Szukali i znaleźli. W Płocku rezyduje jeden z rabinów wybitniejszych, który—co najważniejsza—jest sjonistą, czy też sprzyja sjonizmowi. W każdym razie wiadomo, że należy do słynnej grupy «stu rabinów», zalecającej sjonizm żydom nabożnym i zapewniającej ich o niesprzeciwianiu się ruchu tego przepisom religijnym, czemu—nawiasem mówiąc—przeczą rabini. Sjoniści tedy mówili sobie: będziemy agitowali przy wyborach za tym rabinem płockim, a gdy wejdzie do składu rabinatu warszawskiego, pomyśli się o wyniesieniu go na krzesło nadrabiniczne.

— I jak się sprawa zakończyła?

— Porażką sjonistów. Zabrakło dla rabina płockiego pięciu głosów do wymagalnej większości. Na 230 głosujących przybyło 190 wyborców, a rabin płocki otrzymał tylko 94 głosy. Natomiast obrano rabina z Radomia, kandydata chasydów, niesjonistę, i 4 innych rabinów obojętnych. Sjoniści pioronują, zwłaszcza «Wschód» lwowski, chociaż jest pismem zdyskredytowanem, pismem, które nie zawahało się urągać pamięci Wawelberga po śmierci, z powodu... popularnego wydawnictwa Sienkiewicza!

Pokazał mi numer «Wschodu», w którym jakiś autor, mimo porażki, twierdzi, iż stronnictwo sjonistów po tej walce wyborczej «zyskało na spójności i sile duchowej» i że do niego «należy przyszłość».

— A co pan o tem sądzi? — zapytuję.

— W tem dużo byłoby prawdy, gdyby sjoniści mieli za sobą chasydów; to zresztą może się stać, jeżeli postępowcy będą obojętnie traktowali sprawy religijne, najbardziej żywotne. Ale sjoniści nic nie wskórają, jeżeli nastąpi sojusz postępowców z chasydami ku zwalczeniu sjonizmu. Że chasydzi chętnie dadzą pomoc postępowcom, nie należy wątpić. Historja żydów warszawskich powie o tem niejedno...

W. O.

ILLO TEMPORE.

Od prof. Połkotyckiego z Warszawy otrzymujemy list następujący:

Szan. Redaktorze!

Za czasów Rzeczypospolitej szlachta z pod miasta Rawy, czyli z ówczesnego województwa rawskiego, pisała się często *sub Rawa*, z czego z biegiem czasu powstała nazwa *szubrawiec*. Byli to, jak świadczą dzieje, ludzie bitni i ambitni, oraz odznaczający się prawdopodobnie szczerością, prawością i sarkastycznym charakterem, albowiem nie bez racji miano *szubrawców* przybrało pamiętne w Wilnie Towarzystwo (1817—1822), którego założycielem był znany wileński pisarz i dziennikarz Kazimierz Kontrym, a organem—humorystyczne pisemko—«Wiadomości Brukowe», wydawane przez Ignacego-Emanuela Lachnickiego.

Zadaniem tego Towarzystwa było poprawienie moralne spółziomków przez wyszydzanie złych nałogów i wad zakorzenionych, piętnowanie dowcipem próżniactwa, szulerstwa, niedołężności umysłowej, gnuśności, pieniactwa, złego obchodzenia się z włościanami, zmysłowości mężczyzn, przesadnej sentymentalno-

ści kobiet, francuzczyzny i skrzywionego domowego wychowania.

Pierwszym prezydentem Towarzystwa był uczony doktor medycyny i pisarz Jakób Szymkiewicz, pod pseudonymem Perkunas, a po jego śmierci, sławny profesor uniwersytetu Jędrzej Śniadecki, pod pseudonymem Sotwaros. Głównymi członkami Towarzystwa byli: profesor uniwersytetu i poeta Ignacy Szydłowski (Gulbi), Leon Borowski (Pergrubis), znakomity historyk Michał Baliński (Auszlawis) i wielu innych zacnych i znakomitych ludzi.

Były to czasy, kiedy młodzież ze wszystkich części dawnej Polski tłumnie gromadziła się do uniwersytetu wileńskiego, aby ztąd wyczerpawszy naukę, w rozmaitych zawodach stać się z czasem chlubą i ozdobą kraju. Znaczna część tej młodzieży, nie mogąc się szczycić zamożnością, przy nader szczupłym zapasie, z odległych stron Ukrainy i Podola, często pieszo prawie wędrowała do Wilna. Tu ich czekała rodzicielska opieka ludzi poczciwych, kochających młodzież, pomiędzy którymi czoło trzymał założyciel *Towarzystwa szubrawców*—Kontrym. On podał myśl, wprowadził w wykonanie, ułożył ustawę i przepisy dla *Towarzystwa wspierania niedostatnich uczniów*. Ze składek po dwa złote miesięcznie, wnoszonych przez członków, utrzymywało się około stu uczącej się młodzieży, z których niejeden zajął wysokie stanowisko w społeczności, a nauką i zacnością charakteru przyczynił się do wsławienia tej Batorowskiej szkoły, prawdziwej *Almae Matris*. Z grona tych wspieranych wyszedł Józef Sękowski, profesor języków wschodnich w Petersburgu, Tomasz Zan, poeta i przyjaciel Adama Mickiewicza i wielu innych [1]).

Taką jest geneza, taki charakter, takie zadanie *szubrawców*. Czy można wyobrazić sobie coś sprzeczniejszego, coś bardziej nieprawdopodobnego, jak społeczne przeistoczenie się pojęcia o *szubrawcach?* Czy może być większe sprofanowanie i zdeptanie szlachetnych społecznych zadań, prac i dążności, które tak dosadnie piętnuje p. Ernest Łuniński w swoim artykule (Nr. 10 «Kraju»)? Trudno pogodzić się z myślą, aby to wyłącznie «wyrosło — jak on powiada—na fali emigracyjnej, w wirze wzajemnych ambicyj, prywat, zazdrości i pęcherzowatych zachcianek, gdy urojone zdrady namnożyły się, a różne komitety skalpowały na sobie skórę na patrjotycznej licytacji»... Jeżeli jednak, czy to emigracja, czy wspólnie z nią i wywrotne krajowe żywioły, tak szacownemu i czcigodnemu niegdyś mianu—*szubrawiec*, nadały opaczne znaczenie, to czy nie byłoby rzeczą słuszną, a nawet dla poprawy społecznych wad pożądaną, postarać się o przywrócenie temu mianu jego poprzedniego, właściwego znaczenia? Czy nie należałoby wogóle pomyśleć o wskrzeszeniu stowarzyszenia szubrawców z całym jego ówczesnym programem, odpowiednio do obecnych czasów przystosowanym?

Wład. Połkotycki.

Warszawa.

[1]) Encyklopedja S. Orgelbranda, tomy 15 i 24.

W SPRAWIE KATEDRY.

Od stałego naszego współpracownika i korespondenta, piszącego pod pseudonymem Wierzbięty, otrzymaliśmy z Krakowa list następujący:

Sz. Redaktorze!

W artykule «O katedrę»» (Nr. 11 «Kraju») autor, omawiając głosy, krytykujące odnowę Wawelu, przeciwstawia «czujnej i sumiennej krytyce» «ludzi, mających prawo zabierać głos w tej sprawie»—«hałaśliwą nagankę», wypływającą z «dyletantyzmu i lekkomyślności sądu». W szeregu zaś zarzutów, podniesionych przez tę «nagankę», a opartych «bądź na przywidzeniu, bądź na przekręceniu», wymienia zarzuty, tyczące się witraży i rzeźb niemieckich, zbija je na podstawie artykułu (czy może półurzędowego komunikatu) «Czasu», karcąc mocno ich autorów i pouczając ich, że krytyka «wymaga ogromnéj sumienności, dokładności i ścisłości».

Inne zarzuty mię nie obchodzą. Te dwa jednak podniesione zostały po raz pierwszy (o ile wiem) publicznie przezemnie (por. «Kraj» Nr. 1 z r. 1901); powracałem do nich parokrotnie i miałem wreszcie to zadowolenie, że przeciw niemieckim witrażom na Wawelu podniosła stanowczo głos «hałaśliwa nagankа», złożona z wszystkich profesorów Akademji sztuk pięknych, z profesorów uniwersytetu, dyrektora Muzeum narodowego, wybitnych artystów z Malczewskim i Wyspiańskim na czele i t. d., i t. d. Że i tym ludziom dostała się nauczka o «dyletantyzmie, lekkomyślności sądu» i t. p., nic mię to nie obchodzi. Co do mych informacyj natomiast, oświadczam stanowczo, że nie znoszą one żadnego prostowania, a tem mniej karcenia, że, gdyby nie były całkowicie ścisłe, byłbym ja sam, na nikogo nie czekając, sprostował, a skoro tego nie uczyniłem, to widocznie nie można im przeciwstawić skutecznie żadnego półurzędowego komunikatu.

Autor artykułu «O katedrę» zawierzył na słowo twierdzeniu tego komunikatu, że opiera się na «najpewniejszych, nie podlegających wątpliwości informacjach», nie domyślał się, że komunikat ten służyć nie może za wzór «ogromnej sumienności, dokładności i ścisłości», i nie podejrzewał, że djablo się on nie nadaje na delficki trójnóg, z którego wieszczyćby można narodowi prawdę i karcić lekkomyślnych i próżniaczych dyletantów!

Ograniczam się do objaśnienia dwóch tych zarzutów, za które na mnie spada odpowiedzialność.

Co do niemieckich witraży, autor artykułu, opierając się na komunikacie «Czasu», powiada, że rozpacz nie potrzebna, «bo, pominąwszy parę dawniejszych zamówień, wszystkie zamówienia z ostatnich czasów dostały się polakom». Otóż «ogromna sumienność, ścisłość i dokładność» nakazuje natomiast stwierdzić, że przed poruszeniem publicznem tej sprawy *wszystkie* witraże zamawiano w fabrykach niemieckich (do nawy głównej i kaplicy Gamrata), suma zaś «*wszystkich* zamówień», które «dostały się polakom», równa się — jak nazajutrz, po

ogłoszeniu w «Czasie» komunikatu, wykazał p. Jasieński — dotychczas *zeru!* Publiczne poruszenie tej sprawy przerwało więc *wyłączny* stosunek komitetu odnowy z fabrykami niemieckiemi i rozpoczęto rokowania z artystami polskimi, które może uwieńczone zostaną skutkiem.

W sprawie rzeźb niemieckich nie nad tem rozpaczano, że «grosz publiczny utonął w kieszeniach rzeźbiarzy niemieckich», ale ganiono to, że Wawel zdobi się lichemi rzeźbami niemieckiemi. *Być może*, że rzeźby te są fundacją osób prywatnych (wszystkie bowiem czynności komitetu osłania tajemnica), ale i w takim razie osoby te miałyby «zupełne prawo do wyboru artysty» (słowa «Czasu») tylko wówczas, gdyby Wawel był ich kaplicą prywatną.

Wierzbięta.

Kraków.

Zamieszczając list powyższy, czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że szczegóły, przytoczone w artykule Wiernego «O katedrę», powtórzone były z «Czasu» z zacytowaniem źródła, a następnie, że, o ile rozumiemy, p. Wiernemu chodziło raczej o ogólną metodę traktowania kwestyj, odnoszących się do odnawiania zabytków sztuki, a nie o szczegółową krytykę. Co do tej krytyki zresztą, to słuszność nakazuje podkreślić następujące słowa Wiernego: «Każdy, kto zwiedzi Wawel sumiennie, będzie musiał przyznać, że są w liczbie tych zarzutów takie, których już nikt nie zbije».

RADA NADZWYCZAJNA

DO PODNIESIENIA ROLNIOTWA.

Utworzona w końcu stycznia r. b. na rozkaz Najwyższy Rada nadzwyczajna do podniesienia przemysłu rolnego, odbyła w lutym 3 posiedzenia organizacyjne. Sprawozdanie z tych posiedzeń podaje obecnie «Prawit. Wiestnik».

Pierwszem zadaniem Rady było określenie kompetencji i zakresu obrad. Na wniosek przewodniczącego, sekretarza stanu Wittego, Rada uchwaliła, że dla uniknięcia zbyt szerokiego stawiania kwestyj, mogących na lata całe przedłużyć pracę komisji, należy ograniczyć się do wyjaśnienia najbardziej pilnych potrzeb przemysłu rolnego oraz do określenia środków, skierowanych ku podniesieniu tego przemysłu, jako też związanych z nim gałęzi pracy ludowej, jak np. rozpowszechnienie wiadomości rolniczych, tworzenie związków rolnych, podnoszenie kultury ziemi, organizacja kredytu wiejskiego i t. p.

Ponieważ Rada z konieczności będzie zmuszona dotykać się spraw ogólnopaństwowych, przeto w tych wypadkach uchwalono poprzestać na

przedstawianiu poglądów Rady do uznania Najwyższego. Ułożenia szczegółowego programu obrad podjął się r. t. Kowalewski.

Przechodząc dalej do kwestji, w jaki sposób powinna być prowadzona praca, Rada, zgodnie z wnioskiem przewodniczącego, uchwaliła, aby w każdej kwestji programu układane były krótkie memorjały, które, po rozpatrzeniu ich przez Radę, oddawane być mają dla dalszego opracowania do komisyj przygotowawczych, poczem dopiero Rada rozstrzygać będzie o nich ostatecznie. Ażeby zaś w sprawach tak żywotnych zachować ciągły stosunek ze sferami rolniczemi, bezpośrednio zainteresowanemi w wyniku obrad, Rada uchwaliła powołać do życia osobne komitety gubernialne i powiatowe, z udziałem władz administracyjnych oraz działaczy miejscowych, gdyż ci dostarczyć mają wskazówek o potrzebach, których zaspokojenie jest dla ludności rolniczej w danej miejscowości najbardziej pilnem. Oprócz tego Rada przewidziała możność powoływania w niektórych wypadkach działaczy miejscowych do bezpośredniego udziału w komisjach przygotowawczych.

Skład komitetów gubernialnych, ześrodkowujących w sobie działalność komitetów powiatowych, został przez Radę określony dla guberni, posiadających *ziemstwa*, w sposób następujący:

Gubernator, jako przewodniczący komitetu, gubernialni i powiatowi marszałkowie szlachty, prezes i członkowie gubernialnego zarządu ziemskiego, prezesi zarządów ziemskich powiatowych, zarządzający dobrami państwa i izbami skarbowemi, pełnomocnicy ministerstwa rolnictwa, prezesi stowarzyszeń rolniczych i osoby, zaproszone przez gubernatora. Komitety zaś powiatowe mają się składać, pod przewodnictwem powiatowych marszałków szlachty, z prezesa i członków wydziałów powiatowych ziemskich, oraz z osób, zaproszonych przez marszałka szlachty.

Co się tyczy guberni *nieziemskich*, to przedewszystkiem uchwalono, że niema potrzeby zarządzać ankiety we wszystkich tych guberniach, zwłaszcza, że w niektórych rolnictwo znajduje się w stanie, nie wymagającym pomocy, a w innych znowu warunki kultury i skład ludności czynią niemożliwem zastosowanie ogólnych środków pomocy rolnictwu. Wybór zatem guberni, w których utworzenie podobnych komitetów byłoby pożądane, jak również skład tych komitetów Rada pozostawiła kompetencji przewodniczącego, mającego się porozumiewać z ministrami spraw wewnętrznych i rolnictwa.

Powyższe uchwały nadzwyczajnej Rady do spraw rolniczych zostały w d. 22 b. m. Najwyżej zatwierdzone.

Jednocześnie specjalna komisja, pod przewodnictwem r. t. Stiszyńskiego, przystąpiła do określenia składu komitetów gubernialnych i powiatowych w miejscowościach, nie posiadających ziemstw. Projekt komisji został zaaprobowany przez przewodniczącego Rady, sekretarza stanu Wittego, który porozumiał się z ministrami spraw wewnętrznych i rolnictwa. Na mocy tego porozumienia się postanowiono: dla dostarczenia danych i wniosków Najwyżej utworzonej nadzwyczajnej Radzie do spraw rolniczych, utworzyć gubernialne i powiatowe komitety o składzie następującym:

W Królestwie Polskiem (tylko *gubernialne* komitety): przewodniczący gubernator, stały członek urzędu gubernialnego do spraw włościańskich, zarządzający dobrami państwa, zarządzający Izbą skarbową, prezes dyrekcji szczegółowej Tow. kredytowego ziemskiego, prezesi towarzystw rolniczych i osoby zaproszone przez gubernatora, lub wskazani przez Radę.

W guberniach Kraju zachodniego—a) w komitetach *gubernialnych*: przewodniczący gubernator, gubernialni i powiatowi marszałkowie szlachty, członek stały zarządu gubernialnego, lub członek rządowy gubernialnego urzędu do spraw włościańskich—wedle wskazówki gubernatora, zarządzajacy Izbą skarbową i zarządzający dobrami państwa, reprezentant dóbr państwa, reprezentant miejscowy ministerstwa rolnictwa, o ile się znajduje, prezesi towarzystw rolniczych i osoby, zaproszone przez gubernatora lub wskazane przez Radę;

b) *w komitetach powiatowych*: przewodniczący powiatowy marszałek szlachty, urzędnicy wskazani przez gubernatora i osoby prywatne, zaproszone przez powiatowego marszałka szlachty.

W ten sposób zorganizowała się Rada nadzwyczajna, powołana do podniesienia przemysłu rolnego. Już z samej tej organizacji, ogłoszonej w dzienniku urzędowym, widać, jak wielką wagę zwrócił rząd na ekonomiczny rozwój całego państwa.

ECHA ZACHODNIE.

BUENOS-AIRES, w lutym.

[Spór Chili z Argentyną].

△ Znane są dzieje kłótni galicyjsko-węgierskiej o Morskie Oko w Tatrach. Kłótni tej dotąd nie załatwiono, albowiem spory tego rodzaju są zwykle długie i trudne do rozstrzygnięcia. Ale tu, w Buenos-Aires, mamy ciągle na ustach spór z Chili, o wiele dłuższy i trudniejszy, bo o granicę Kordyljerów.

Sprawa ta, jak tu ją pospolicie nazywają «Conflicto Chileno-Argentino», jest prawie tak dawną, jak obie te wielkie republiki południowo-amerykańskie. Początek sporu sięga roku 1843, kiedy Chili, lepiej zorganizowane państwowo niż Argentyna, założyło w Patagonji osadę, która stanowi obecnie miasto Punta-Arenas, a w podręcznikach i mapach, przeznaczonych dla szkół chilijskich, całą Patagonję zaczęto przedstawiać jako należącą do Chili.

Za historyczną granicę między Chili, a Argentyną uważano ogólnikowo góry Andy (*Cordillera de los Andes*). Granica ta zdawała się nie budzić najmniejszej wątpliwości. Inaczej jednak rzecz ma się w szczegółach. «Cordillera de los Andes» ciągnie się z północy na południe, tworząc granicę między Chili a Argentyną na przestrzeni przeszło 4 tys. kilometrów, i składa się ze szczytów nadzwyczaj wysokich i dolin, które są nie do przebycia. Jedyna kolej żelazna mająca połączyć dwie te republiki, rozpoczęta przed 20 laty, idzie w niektórych miejscach na wysokości 3,600 metrów, a więc wyżej od najwyższych szczytów Karpat. Proszę na takich wysokościach dokładnie oznaczyć granicę!

W 1881 przyszło do traktatu, według którego ogólną granicę miały stanowić najwyższe szczyty gór «Cordillera de los Andes», szczegóły zaś miały załatwić obopólne komisje znawców. W traktacie z 1893 roku, na żądanie Chili—do linji najwyższych szczytów dodano pomocniczą linję rozdziału wód — «*divortium aquarum*». Ale kiedy w r. 1898 komisje obu republik zeszły się, aby stosownie do powyższych umów oznaczyć granicę, przekonano się, że dwie te linje: linja najwyższych szczytów i linja «*divortium aquarum*», między oceanem Spokojnym i Atlantykiem są w wielu miejscach zupełnie różne i nieuchwytne. Chili poczęło upierać się przy linji «*divortium aquarum*», Argentyna zaś obstawała za linją najwyższych szczytów. Postanowiono zdać się na sąd trzeciego i wybrano na arbitra królowę angielską Wiktorję.

Trzeba podnieść jako wielce dodatnią stronę rządu argentyńskiego, że zawsze starał się załatwiać spory z sąsiadami sądem polubownym, pomimo nawet, że wyszły na jego niekorzyść. Przed dwoma laty, np. w sprawie granicznej między Argentyną a Brazylją, Stany Zjednoczone wydały wyrok, przyznający Brazylji sporne ziemie; w sprawie granicznej między Paragwajem i Argentyną na sędziego wybrano Szwajcarję. Tak więc Argentyna na długo wyprzedziła konferencję pokoju w Haadze.

A więc i obecny spór z Chili czeka na sąd polubowny; tymczasem zgodzono się na *status quo* i na zupełną neutralność ziem spornych. Tak umówiono się na papierze; w praktyce jednak, ściganie kontrabandzistów, złoczyńców, sprawy sądowe, zniewalają obie strony do łamania neutralności. Chili rozpoczęło w r. z. budowę dróg na spornym gruncie pod kontrolą władz wojskowych. To wywołało wybuch.

Rząd Argentyny zaprotestował najenergiczniej; rząd chilijski twierdził, że budowę dróg przedsięwziął jedynie w celu ułatwienia mającej zjechać na miejsce sporu angielskiej komisji rozjemczej. W Santjago i w Buenos-Aires, stolicach obu republik, przyszło do gwałtownych manifestacyj ulicznych; z obu stron żądano natychmiastowego wypowiedzenia wojny, do której omało co nie przyszło.

Dziś znowu sprawa graniczna weszła na pokojowe tory. W jakikolwiek jednak sposób się rozstrzygnie, nie zdoła

już naprawić złego, jakie obu republikom przyniosła. Wspólne niedowierzanie poradziło i tutaj ów *pokój zbrojny*, który chyba jest gorszy niż wojna; obie republiki obecnie zaprowadziły stałe armje, gotowe rzucić się na siebie. O co ten spór? O granicę, która gdzieś wije się w obłokach, albo spada w głębokie przepaście. Ludy zawsze mają powód do walki.

Udejs.

WIEDEŃ, 5 kwietnia.

[Sytuacja polityczna. Rokowania z Węgrami. Rozłam w stronnictwie wszechniemieckiem. Wiec socjalistów. Agencje korespondencyjne. Polskie święcone w Wiedniu].

△ Burza z powodu upadku rezolucji hr Stürgkha w sprawie gimnazjum cylejskiego ucicha, rozdrażnione umysły podczas feryj świątecznych powoli się uspakajają. W każdym razie położenie jest nie tak groźnem, jak się w pierwszej chwili zdawało. O zapowiedzianej przez niemców obstrukcji dziś już mało słyszymy, a i wiadomości o zachwianiu się stanowiska d-ra Koerbera były tylko wymysłem niektórych dzienników wiedeńskich. Natomiast urządzono ogólnoniemiecką nagankę na ministra do spraw Galicji za głosowanie w sprawie cylejskiej.

Dr. Piętak jest jedynym parlamentarnym członkiem gabinetu, którego nie krępuje neutralność urzędnicza, to też nie otrzymawszy od prezesa ministrów żadnej w tym względzie wskazówki, miał wolną rękę i głosował jako poseł polski i mąż zaufania Koła polskiego, solidarnie z Kołem; p. Piętak więc zgrzeszył, bo postąpił, jak był powinien. P. Koerber jest zanadto sprytny, aby osobę d-ra Piętaka poświęcić rozwścieklenia niemców, zwłaszcza, że minister czeski dr. Rezek—według jego własnych słów — solidaryzuje się z d-rem Piętakiem i w razie jego obalenia, sam natychmiast ustąpi. Tego zadośćuczynienia niemcy zatem nie otrzymają, nie obejdzie się jednak bez jakiegokolwiek ustępstwa ze strony Koerbera na ich rzecz... Parlament po ferjach świątecznych obradować będzie niedługo, bo z początkiem maja mają być zwołane delegacje; chcąc sobie przeto zapewnić spokojne załatwienie budżetu, dr. Koerber będzie musiał przejednać niemców, prawdopodobnie przez mianowanie ministra-rodaka. Spełni się w ten sposób dawne życzenie wszechniemców, inne stronnictwa niemieckie będą również z tego zadowolone i może jako tako się udobruchają. Narazie są to tylko domysły, właściwie zaś rzecz się wyjaśni dopiero z początkiem przyszłego tygodnia. Na pierwszem posiedzeniu przyjdzie prawdopodobnie do starć, a może nawet do demonstracji przeciw ministrowi Piętakowi, te też p. Jaworski wysłał do posłów polskich okólnik, aby Koło polskie przybyło w komplecie. To samo zarządził i klub czeski.

Podczas feryj wielkonocnych odbywały się konferencje ministrów austrjackich, węgierskich i wspólnych w sprawie budżetu wspólnego, taryfy celnej oraz traktatu celnego i handlowego. Po długich naradach udało się nareszcie ułożyć wspólny budżet. Na rzecz nowego uzbrojenia artylerji, które ma więcej niż 200 miljonów kosztować, wstawiono do budżetu tylko 10 miljonów, a więc $^1/_4$ kwoty, zażądanej przez ministra wojny, i w ten sposób uratowano tegoroczny budżet od nadmiernego obciążenia.

Trudniej poszła sprawa z autonomiczną taryfą celną, której, mimo rozlicznych konferencyj, dotąd jeszcze nie załatwiono.

Wolf budzi się do nowego życia. Wydalony haniebnie z partji, wiedząc, że Schönerera już chyba nigdy nie przebłaga, stara się stworzyć nową organizację wszechniemców pod swoim patronatem. Nie na rękę to Schönererowi. Ubóstwiany przywódca boi się konkurencji, to też ostro zwraca się przeciw tworzeniu nowej organizacji, upewniając, że on sam tylko jest twórcą programu wszechniemieckiego, że przeto on jedynie może być przywódcą całego stronnictwa. Z Wolfem solidaryzuje się kilku innych posłów, organizacja przeto prawdopodobnie się uda, przez co nastąpi rozłam partji wszechniemieckiej.

W miarę zbliżania się wyborów do sejmu dolno-austrjackiego, wszystkie stronnictwa rozpoczynają gorliwą pracę agitacyjną. Wiec socjalnych-demokratów, zwołany do Wiednia, naradzał się też głównie nad stanowiskiem partji socjalistycznej wobec wyborów sejmowych. Postanowiono stawiać własnych kandydatów, tam zaś, gdzie socjaliści widoków nie mają, partja ma iść ręka w rękę z niemieckimi ludowcami i postępowcami, ostro zwalczając kandydatów antysemickich. Socjaliści spodziewają się conajmniej trzech mandatów poselskich.

Na założenie biura korespondencyjnego będzie obecnie w Austrji potrzebne pozwolenie rządu. Minister Koerber oświadczył wprawdzie deputacji korespondentów dziennikarskich, że im nie grozi żadne niebezpieczeństwo, bo rozporządzenie wymierzono tylko przeciw obcym ajencjom, ale w ogólności trzeba, w powyższym reskrypcie widzieć zamach na swobodę dziennikarstwa. Wierzymy, że p. Koerber nie zamyśla swem rozporządzeniem utrudnić położenia korespondentów dziennikarskich, cel bowiem reskryptu z góry był inny, powody jego o wiele głębsze. Idzie tu o c.-k. biuro korespondencyjne, które p. minister z biegiem czasu pragnie zabezpieczyć przed prywatną konkurencją, niedogodną dla rządu.

Wiedeńskie polskie stowarzyszenia: «Strzecha» i «Ojczyzna» urządziły święcone, w którem wzięło udział wiele osób. Przy tej sposobności omawiano potrzebę założenia domu polskiego w Wiedniu i sprawę tę powierzono osobnemu komitetowi.

Novus.

△ **Kraków.** W tych dniach odbyło się inauguracyjne przedstawienie w nowym, własnym budynku teatru ludowego. Prolog w formie djalogu napisała panna Zofja Wójcicka, młodziutka autorka konkursowego dramatu „Psyche". Na dalszą całość złożyły się „Hanusia Krożańska" Parviego i „Takich więcej!" Wdowiszewskiego. Teatr był nabity, nastrój uroczysty; artystów witano owacyjnie. Dowodzi to, jak dalece potrzebnym był dostępny teatr dla szerszych warstw ludności krakowskiej.

△ **Poznań.** Siedmiu redaktorów pism polskich spędziło święto Zmartwychwstania w pruskich więzieniach. W więzieniu we Wronkach (w Poznańskiem) odsiadują karę: redaktor „Pracy" dr. Kazimierz Rakowski i redaktor „Górnoszlązaka" Wojciech Korfanty; w Gnieźnie redaktor „Lecha" Piotr Paliński, w Ełku na Mazurach pruskich—Karol Bahrke, redaktor mazurskiej „Gazety Ludowej"; w jednej z fortec pruskich odbywa karę półrocznego więzienia redaktor „Wielkopolanina" Józef Szmyk, zaś w Grudziądzu wypoczywają redaktorzy „Gazety Grudziądzkiej" Różanowicz i Sobiechowski. Położenie dwóch ostatnich, Różanowicza i Sobiechowskiego, nie różni się niczem od losu zwykłych rzezimieszków i oszustów; jedyna ulga, jaką zdołali uzyskać, polega na tem, że nie potrzebują z innymi więźniami chodzić do pracy, i że wolno im nosić własne ubranie i własną bieliznę.

△ Przed poznańską Izbą karną toczył się dnia 26 marca proces przeciwko nauczycielowi Mielcarkiewiczowi z Podstolic. Proces wytoczył prokurator na wniosek p. Kaczmarka o sponiewieranie w szkole jego syna, który, jak stwierdził dr. Krzyżagórski, poraniony był aż do krwi na głowie, szyi i na twarzy. Świadek, inspektor szkolny Schulz, bardzo pochlebnie zeznał o nauczycielu Mielcarkiewiczu. Opierając się na tem zeznaniu, prokurator wniósł o jego uwolnienie. Trybunał Mielcarkiewicza uwolnił, orzekając, że przysługującego mu prawa karania nie przekroczył, a świadectwo d-ra Krzyżagórskiego jest bez znaczenia!

△ Najwyższy trybunał pruski zawyrokował, że zbieranie składek przez redakcje dzienników nie jest kolektą, na którą potrzeba pozwolenia władz.

△ Ostatni polski asystent kolejowy w Poznaniu został przesiedlony w niemieckie strony. Jest nim p. Barczyński, którego „w interesie służby" wyślą od 1 kwietnia do Frankfurtu nad Odrą. Jest to człowiek w statecznym wieku, kawaler, nie zajmował się nigdy polityką, a wypełniał sumiennie obowiązki służbowe. I co on mógł szkodzić państwu pruskiemu?

△ **Toruń.** „Gazeta Toruńska" podała następującą wiadomość: „Po lokalach publicznych w Toruniu, w których bywają polacy, kręcą się od dłuższego czasu tajne szpiegi, podsłuchując rozmów i wypytując służbę. Niech tylko dwaj lub trzej polacy zasiądą w kawiarni lub restauracji do poufnej pogawędki o sprawach najobojętniejszych, a zaraz usadowi się w pobliżu indywiduum i, zatapiając się napozór w gazetach, nadstawia uszu w nadziei, że wyśledzi jakiś tajny spisek polski. Ponieważ zaś polacy spisków nie knują, sługom nieużytecznym zaś nikt płacić nie chce, przeto szpiegi zmyślają i donoszą swoim chlebodawcom niestworzone rzeczy, a są ludzie, którzy świadomie korzystają z fałszywych doniesień, byle tylko mieć pretekst do znęcania się nad polakami. Jak się dowiadujemy, w Poznaniu snuje się po lokalach publicznych zgraja szpiegów".

△ **Lipsk.** Sąd Rzeszy odrzucił rewizję wyroku toruńskiego w sprawie kółek gimnazjalnych. W procesie toruńskim oskarżonych było 60 gimnazjastów, z tych 15 uwolniono od kary, 10 odebrało naganę, 35 skazano na więzienie, mianowicie: dwóch na jeden dzień, dziewiętnastu na jeden tydzień, dwóch na dwa tygodnie, siedmiu na trzy tygodnie, trzech na sześć tygodni, jednego (b. kleryka Orszulaka) na dwa miesiące, jednego (stud. med. Markwitza) na trzy miesiące więzienia.

△ **Praga.** Zmarł w Marsylji na paraliż serca znany poseł młodoczeski, Ignacy Horzica, urodzony w 1859 r. w Bernie morawskim. Po ukończeniu szkoły realnej w mieście rodzinnem, a następnie szkół kadeckich w Bernie i Trjeście, służył do roku 1884 w wojsku, poczem wystąpiwszy z armji, oddał się zawodowi literackiemu i publicystycznemu. Był współpracownikiem kilku czeskich pism, a od r. 1890 członkiem redakcji „Narodnich Listów". W politycznem życiu bardzo gorliwy i czynny brał udział, jako jeden z członków poselskiego klubu młodoczechów. Horzica był mężem znanej i we Lwowie z występów gościnnych wybitnej artystki „Narodnego Divadla" w Pradze, p. Laudowej. Zmarły poseł często bywał w Galicji, chętnie zwłaszcza bawił w Zakopanem.

Z MIAST I WSI.

WILNO, 24 marca.

[Upadek drugiego Tow. wzajemnego kredytu. Następstwa i powody tego upadku. Ujemny wpływ wysokiej składki asekuracyjnej na rozwój działalności Tow. ubezp. wzajemn. Lombard miejski. Pstrągarnia w ogrodzie po-misjonarskim. Teatr japoński].

□ Komisja, likwidująca interesy drugiego wileńskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, przystępuje do ściągania z byłych uczestników Towarzystwa części gwarancji w sumie, wynoszącej 50 proc. wartości udziału. Innemi słowy: mający udział w sumie 1,000 rb., stracił ten tysiąc w krachu i ma jeszcze dopłacić 500 rb. Co wywołało tę upadłość? Kilka przyczyn. Najprzód Towarzystwo zostało okradzione na 30 tys. rb. przeszło przez kasjera i buchaltera, i chociaż uchwałą ogólnego zgromadzenia postanowiono pokryć ten deficyt z kieszeni udziałowców, nie wszyscy jednak wnieśli wyznaczoną dopłatę. Następnie Bank państwowy odmówił w ostatnich czasach redyskonta weksli, dyskontowanych w Towarzystwie. Brało ono za dyskonto weksli 9 proc., samo zaś płaciło Bankowi tylko 6 proc., czyli zarabiało 3 proc. Oczywiście, im więcej było w obrocie weksli, tem większe były zyski. Wobec tego niedość zwracano uwagi na zdolność płatniczą dłużników, gdy zaś Bank państwa odmówił redyskonta, znaleziono się w posiadaniu masy wątpliwych należności.

W uzupełnieniu sprawozdania o stanie Towarzystwa miejskiego ubezp. wzajemn., powtórzę uwagę, jaką uczynił p. Bolcewicz na posiedzeniu ogólnego zgromadzenia stowarzyszonych. Zdaniem p. B., powolny, nawet, powiedzmy: za powolny rozwój materjalny Towarzystwa przypisać trzeba zbyt wygórowanym opłatom za ubezpieczenia. Gdybyśmy mniej płacili—powiedział p. B.—mielibyśmy i więcej ubezpieczeń, i więcej kapitału zapasowego. P. B. zestawia opłatę asekuracyjną towarzystw ogniowych petersburskiego i wileńskiego. W Petersburgu p. B. za swój dom, ubezpieczony w sumie 90 tys. rb., płaci 53 rb., w Wilnie zaś za dom, ubezpieczony na sumę 60 tys. rb., tenże p. B. płaci aż 124 rb. 70 kop. Tak więc w Petersburgu od tysiąca rubli szacunku płaci się 60 kop. składki, tutaj zaś 1 rb. 70 kop. Przeciwnicy nizkiej opłaty wyrażają obawę przywabienia nią liczniejszego zastępu osób, spekulujących na podpalaniu ubezpieczonych domów. Słuszną czyni uwagę p. B., że przeciwko niebezpieczeństwu podpalania istnieje środek radykalny: szacowanie domu nie wyżej od istotnej jego wartości. Na temże posiedzeniu uchwalono przyjmować do ubezpieczenia fabryki, zakłady przemysłowe i teatry.

Postanowienie przyjmowania tańszych fantów wpłynęło dodatnio na obroty i rozwój lombardu miejskiego. Uprzednio lombard wykazywał deficyty, a co najwyżej wiązał koniec z końcem. W przeszłym zaś roku (pierwszy raz od czasu swego założenia) lombard dał czystego zysku przeszło 2 tys. rb.

Rozwijając w dalszym ciągu działalność swą, Towarzystwo rybackie przystąpiło do zarybienia specjalnej pstrągarni, urządzonej na bystrym strumieniu w po-misjonarskim ogrodzie. Wpuszczono w tym tygodniu do tej sadzawki 500 miesięcznych pstrągów, sztucznie wylęgłych w rybnym zakładzie w Wace.

O japońskim teatrze, jaki oglądało Wilno zaprzeszłej niedzieli, zdania są podzielone. Gdy jedni rozwodzą się nad pełną naturalizmu artystycznego grą japońskich artystów, inni uważają się za wciągniętych w zasadzkę za pomocą szumnej reklamy. Ci ostatni znajdują, że sztuka dramatyczna japońska—niewiele wyżej stoi od pantominy.

A. R. Z.

□ **Kowno.** „Wilenskij Wiest." opisuje pożegnanie b. gubernatora kowieńskiego, A. P. Rogowicza, obecnie mianowanego dyrektorem departamentu spraw ogólnych w ministerstwie spraw wewnętrznych. Odprowadzali go na dworzec przedstawiciele wszystkich władz miejscowych i wiele innych osób. „Przyjemnie i trudno jest—pisze „Wil. Wiest." — pozyskać takie sympatje w naszym kraju różnowierczym i różnoplemiennym, zwłaszcza to można powiedzieć o gub. kowieńskiej. W Kraju zachodnim gub. kowieńska jest punktem najbardziej bojowym; tu najczęściej wypada stykać się z wrogiemi prądami, idącemi do Rosji z zagranicy; tu grunt jest zdatny, gdyż tu wiele jest żywiołów nierosyjskich". Wice-gubernator, P. P. Niekludow, ofiarował odjeżdżającemu dygnitarzowi obraz Antonjusza, Joanna i Eustachego, trzech męczenników prawosławnych, pogrzebionych w wileńskim monasterze św. Ducha.

□ Miejscowe „Gub. Wied. ogłaszają, że dla 18 mieszkańców gub. kowieńskiej, usuniętych przez władze angielskie z Afryki południowej, otrzymano 16,178 rb. wynagrodzenia.

POŁĄGA, 23 marca.

[Zamordowanie J. Świętorzeckiego].

□ Od paru dni jesteśmy pod wrażeniem zbrodni, spełnionej na pełnomocniku Feliksa hr. Tyszkiewicza, Janie Świętorzeckim. Morderstwo, według obiegających pogłosek, popełniło dwóch chłopów, strzelając przez okno gdy p. Świętorzecki kładł się na spoczynek. W chwili wystrzału, żona p. Świętorzeckiego, mówiąc mężowi «dobranoc», obejmowała go za szyję; strzał rozerwał jej tylko rękaw stanika, lecz męża zabił na miejscu. Dziecku, opodal leżącemu w kołysce, nic się nie stało. Według krążących wieści, zbrodnia wywołana została zemstą.

Przed kilkudziesięciu jeszcze laty, nieżyjący dziś Aleksander hr. Tyszkiewicz wyznaczył włościanom kawałki ziemi, rozrzucone w różnych miejscach Połągi. Czynsz za tę ziemię włościanie płacili niewielki, a niektórzy nawet nic nie płacili, wszyscy zaś posiadali ziemię bez kontraktów. Obecny właściciel Połągi Feliks hr. Tyszkiewicz, polecił p. Świętorzeckiemu uregulować sprawy z włościanami w ten sposób, by w zamian zajmowanych przez nich kawałków ziemi w różnych miejscach, wyznaczono wszystkim takie same działki w jednem miejscu. Oprócz tego hrabia polecił pozawierać z włościanami piśmienne umowy i stale czynsz pobierać. Niektórzy włościanie nie chcieli się zgodzić na nowe warunki i prosili hr. Tyszkiewicza o pozostawienie ich na miejscu. Hrabia proszących nie usuwał z siedzib i nieraz jeszcze datkiem obdarzył, tych zaś, którzy o nic nie prosili, rugował p. Świętorzecki. Wskutek tego włościanie przyszli do przekonania, że sprawcą rugów oraz podwyższenia czynszu był p. Świętorzecki.

W przeddzień podpisania kontraktów a na trzeci dzień po wyroku sądowym, zmuszającym chłopów do przyjęcia innych gruntów, popełniono zabójstwo. Na miejsce zjechał sędzia śledczy i towarzysz prokuratora z Libawy, którzy już natrafili na ślad przestępców.

A.

□ **Z Witebska** piszą do nas: D. 20 marca odbyło się roczne ogólne zgromadzenie członków witebskiej spółki rolniczej, pod przewodnictwem p. Hugona Obrąpalskiego. Zebrało się tylko 19 członków, posiadających 163 udziały na sumę 20,700 rb. Dyrektor-zarządzający p. M. Szerwiński w sprawozdaniu z zeszłorocznej działalności spółki zaznaczył, że zarząd, mając na celu rozpowszechnienie narzędzi, niezbędnych do wzorowej uprawy roli, otworzył skład filjalny w Dźwińsku, aby ułatwić rolnikom z powiatów przyległych zaopatrywanie się w narzędzia rolnicze. W ciągu 9 miesięcy istnienia filja ta sprzedała towarów na sumę około 14 tys. rb., i to za gotówkę. Inna filja, w Bieszenkowiczach w pow. lepelskim, miała obrót nieco mniejszy, bo wynoszący 9 tys. rb. Nadto na propozycję nowego Towarzystwa „drysieńskich gospodarzy wiejskich" postanowiono założyć przy tem Towarzystwie jeszcze jedną filję składu. Przy głównym składzie w Witebsku skasowano dział towarów kolonjalnych, a natomiast zaczęto sprowadzać żelazo na sprzedaż. Rezultat działalności składu okazał się bardzo pomyślny, choć czystego dochodu otrzymano tylko 800 rb., gdyż ustanowiono bardzo nizkie ceny, w tej myśli, aby użycie narzędzi i maszyn rolniczych rozpowszechniało się nawet wśród włościan. Otrzymano pozwolenie na zmniejszenie składkowego kapitału o połowę (ze 100 tys. na 50 tys. rb.). Według zdania zarządu, takie zmniejszenie może mieć skutki ujemne, albowiem kredyt prywatny jest niezmiernie trudny, a Bank państwowy wcale nie dyskontuje weksli właścicieli dóbr ziemskich. Spłata udziałów odbywa się nieakuratnie, istnieją zaległości, których dawno być nie powinno. Zarząd, wspomniawszy jeszcze, że właściciele udziałów spółki zalegają dotychczas z opłatą należności, wyraził nadzieję, że z czasem zapewne nastąpi zmiana na lepsze; w obecnej zaś chwili należy zadowolnić się przekonaniem, że spółka, jakkolwiek nie daje dywidendy uczestnikom, zasługuje mimo to na poparcie, gdyż przynosi korzyść ogółowi, pomagając ziemianom w ich walce z handlarzami, mającymi na celu jedynie własne zyski. — Na dyrektora-zarządzającego ponownie został obrany p. M. Szerwiński. *J. N.*

□ **Witebsk.** W miejscowych „Gub. Wied." ogłoszono, że, stosownie do postanowienia p. o. gubernatora witebskiego, wice-gubernatora, z d. 12 marca, 29 rzemieślników-żydów za urządzenie zebrania w celu występnym, zostali skazani na areszt: 10 osób na dwumiesięczny i 19 osób na miesięczny. Właściciel zaś mieszkania, za użyczenie lokalu na zebranie, został skazany na areszt trzymiesięczny.

KIJÓW, 25 marca.

[Reforma samorządu rzemieślniczego. Cechy i ich historja. Urząd rzemieślniczy w Kijowie. Jubileusz sądów pokoju].

□ Na zasadzie rozporządzenia ministerstwa spraw wewnętrznych, kilka dni temu w Kraju południowo-zachodnim

skasowane zostały instytucje rzemieślnicze, których funkcje będą pełnić obecnie zarządy miejskie, a po części policja. I społeczeństwo, i opinja publiczna, i prasa, i nawet sami zainteresowani bezpośrednio rozporządzeniem, zachowali się i zachowują dość obojętnie względem nowych przepisów, gdyż właściwie nie dotknęły one żadnych żywotnych interesów ludności.

Kraj nasz, jako pozostałość po dawnem prawie magdeburskiem, z którego niegdyś korzystały miasta, posiadał cechy na wzór istniejących zagranicą. Tylko uczestnicy cechów mieli prawo zajmowania się tem lub innem rzemiosłem i sprzedawania swoich wyrobów. Każdy cech miał swoje tradycje, przyjmował do swego grona tylko wybranych; którzy, dbając o reputację swoich wyrobów, starali się być artystami swego fachu. Cechy miały więc swoje dobre strony, ale miały i złe. W każdym razie były to organizacje, oparte na zasadzie odrębności i przywileju. Cech zamieniał się powoli w stan zamknięty sam w sobie, niedopuszczający do swego grona obcych, zachowujący wszystkie prawa i korzyści dla swoich członków.

Nastały inne czasy, zmieniły się poglądy. Zasada, w imię której istniały cechy, nie miała jak się okazało żadnych podstaw poważniejszych. Obrońcy cechów mówili: są one konieczne, bo chronią publiczność od fuszerki i wyrobów w złym gatunku. Na to odpowiedziało życie: publiczność będzie się broniła sama: mając do wyboru towar zły i dobry, wybierze ten ostatni; fuszerowi uda się oszukać nabywcę raz jeden tylko, bo drugi raz już nikt doń nie pójdzie.

Tym więc sposobem cechy traciły rację bytu, pozostawały jednak w wielu miastach, jako zjawisko szczątkowe. W Kraju południowo-zachodnim zniesiono cechy trzydzieści lat temu prawie, ale zamiast cechów wprowadzono samorząd rzemieślniczy, tak zwany skrócolub «uproszczony». Cechów przeto niema, ale wszyscy rzemieślnicy w każdem mieście stanowią jedno zgromadzenie, niby jeden cech. Zgromadzenie wybiera ze swego grona zarząd, złożony z przewodniczącego («starosty») oraz kilku ławników. Nadto przy zarządzie istniał cały szereg komisyj ekspertów, których zdania zasięgał zarząd w tych wypadkach, gdy nie mógł sam określić, czy dany kandydat zasługuje na przyznanie mu tytułu majstra. Mieć własne zakłady rzemieślnicze mogły u nas tylko osoby, które uzyskały od zarządu odpowiednie zaświadczenie. W zasadzie więc prawo zajmowania się tem lub innem rzemiosłem było u nas i nadal przywilejem, a korzystało zeń wiele osób, które nie były rzemieślnikami. Tak więc kupcy mogli sprzedawać w swoich sklepach wyroby rzemieślnicze, fabryki mogły wyrabiać masy obuwia, ubrania, mebli, nie pytając się o pozwolenie zarządu rzemieślniczego. Natomiast uboższych rzemieślników, którzy nie byli w stanie zdobyć się na zapłacenie wszystkich podatków, jakich wymagano od członków cechu, gnębiono; nie pozwalano im mieć szyldów, sklepów, sprzedawać otwarcie swoich wyrobów.

Samorząd rzemieślniczy nabył przeto właściwości niesympatycznych. Nadto zarządy rzemieślnicze cieszyły się złą opinją z powodów następnych. Jak wiadomo, w Kijowie nie wolno mieszkać żydom, z wyjątkiem żydów-rzemieślników. Otóż podobno zarządy udzielały bardzo chętnie świadectw na tytuł rzemieślnika żydom, którzy rzemieślnikami wcale nie byli i rzemiosłem się nie trudnili. Urzędy rzemieślnicze prowadziły wieczną walkę z policją, na której leży obowiązek przestrzegania przepisów, dotyczących praw żydów. Ta ostatnia okoliczność oraz względy charakteru bardziej ogólnego są powodem zniesienia instytucyj cechowych. Rządy gubernialne rozkazały zwołać zgromadzenia rzemieślnicze i ogłosić im, że zarządy rzemieślnicze zostają rozwiązane, i że nadal każdy ma prawo zajmowania się wszelkiemi rzemiosłami, niezależnie od posiadania lub nieposiadania tytułu majstra cechowego. Rzemieślników wyznania mojżeszowego, nie zajmujących się swojem rzemiosłem, nakazano niezwłocznie wydalić z Kijowa.

Dziś posiada jeszcze urzędy rzemieślnicze jeden tylko Berdyczów, gdzie wobec szczególnych warunków miejscowych, tymczasowo pozostawiono *status quo ante*. Rzemieślnicy kijowscy, jako najliczniejsi i najzamożniejsi, wysłali do Petersburga deputację, która ma prosić władze wyższe o wprowadzenie w Kijowie instytucyj cechowych dawnych, lub w ostateczności o zachowanie obecnego stanu rzeczy. Słowem w chwili, gdy zdecydowano zniszczyć wszelką wyłączność cechową, nasi rzemieślnicy myślą o wskrzeszeniu zapomnianych już prawie cechów. Nadmienić należy, że urząd rzemieślniczy w Kijowie posiada dość znaczny majątek, kamienicę i kapitały, które obecnie przejdą na własność miasta.

W tych dniach upłynęło trzydzieści lat od dnia wprowadzenia w naszym kraju sądów pokoju. Instytucje te, które wkrótce mają być zamienione przez sądy naczelników ziemskich i sędziów miejskich, cieszyły się uznaniem powszechnem. Dziś dla upamiętnienia rocznicy odbyć się ma wielka uczta zbiorowa w sali jednego z pierwszorzędnych hoteli. Za kilka miesięcy sądy pokoju będą istniały tylko w Kijowie, bo inne miasta i powiaty otrzymają już instytucje nowej formacji.

Sam.

☐ Komisja, złożona z budowniczych, brandmajstra i urzędników policyjnych, uznała za konieczne zamknąć trzeci teatr w Kijowie, będący własnością p. Bergogner'a, a to z powodu niebezpieczeństwa, jakiem grozi stary budynek w razie pożaru. Teatry są dziś przedmiotem ciągłych sporów i debatów. Pomiędzy prezydentem a niektórymi radnymi wybuchła gorąca polemika o to, czy miał prawo, czy nie miał zarząd miejski wydać przeszło 900 tys. rb. na budowę nowego teatru? Teatr spółki budowlanej wraz z hotelem „Continental" sprzedany został z licytacji, ponieważ zaś obecnie czynne teatry są bardzo drogie, więc na porządku dziennym stoi sprawa budowy jeszcze jednego teatru miejskiego o tanich, przystępnych miejscach. Sam teatr ma być nazwany „przystępnym".

☐ Na Padole, w pobliżu cerkwi św. Mikołaja, odkryto w tych dniach sklep starożytny, który jest — zdaniem znawcy starożytności kijowskich, prof. Pietrowa — starą piwnicą dominikańską. Tu wielebni ojcowie trzymali swoje miody, które słynęły w swoim czasie szeroko.

☐ Żegluga na Dnieprze i jego dopływach już została otwarta. Powodzi w tym roku niema i najniezawodniej nie będzie, gdyż spłynęły już wszystkie lody i śniegi. To też w domu kontraktowym, gdzie zazwyczaj na wiosnę znajdują schronienie mieszkańcy przedmieścia Obołoni, zalewanego przez wodę, w tym roku odbywają się przedstawienia teatralne, urządzane przez Towarzystwo wstrzemięźliwości.

Z WOŁYNIA, w marcu.

[O serwitutach na Wołyniu].

☐ Chcę poruszyć sprawę serwitutów polnych i leśnych u nas, na Wołyniu, nie jako prawnik, ale jako rolnik-gospodarz, przypatrujący się od dwunastu lat miejscowym stosunkom.

Po uwłaszczeniu włościan w r. 1861 nadane im zostało, jak wiadomo, tymczasowe prawo używalności niektórych części własności dworskiej, a mianowicie: prawo wypasu na polach i w lesie, prawo koszenia siana w lasach, prawo wodopoju i gdzieniegdzie prawo rybołóstwa. Od owego czasu sprawy serwitutów nie uregulowano. W takim stanie znajdują się prawie wszystkie gospodarstwa prywatne na Wołyniu, co odbija się na nich bardzo niekorzystnie. Rozpatrzmy każdą formę służebności osobno.

Serwituty polowe polegają na prawie włościan pasienia inwentarza na polach dworskich, które znajdują się w ugorze, lub po zbiorze zboża; wówczas i dziedzic ma prawo paść swój inwentarz na polach włościańskich. Forma ta prawie zawsze idzie w parze z tak zwaną szachownicą pól.

Zaledwie w wyjątkowych warunkach, dzięki przyrodzonemu położeniu niektórych większych kompleksów pól np. między łąkami lub za rzeką, zaprowadzono płodozmiany, choćby częściowe, w majątkach nierozgraniczonych, ale dopiero po przejściu długich i uciążliwych procesów, które opierały się aż o Senat. Większość gospodarstw nierozgraniczonych zmuszoną jest prowadzić trójpolówkę, a zdaje się, że wszyscy wiedzą, jak dalece forma ta gospodarstwa polnego jest anormalną, zwłaszcza w ciężkich warunkach, w jakich rolnictwo obecnie się znajduje.

Przytoczę przykład. W majątku, w którym pola są w szachownicy, między wsią a polami włościańskiemi leży pole dworskie. W latach, gdy pola włościańskie są w ugorze, powinno i pole dworskie być także w ugorze, bo inaczej nie mieliby włościanie przepędu na swój ugór-pastwisko. Na takiem więc polu niema mowy o racjonalnem gospodarowaniu. Chów inwentarza w większych rozmiarach również jest niemożliwy w nierozgraniczonym folwarku: sztucznych pastwisk zaprowadzić nie można, a ścierniska są tak wypasione natychmiast po sprzęcie przez inwentarz włościan, którzy nietylko w dzień, ale i w nocy pasą, że utrzymanie trawy na czas dłuższy jest niepodobieństwem. Inwentarz dworski, który musi być z konieczności trzymany, latem źle się żywi, o ile nie pasie się na łąkach naturalnych, często dopiero zimą poprawia się na suchej paszy. Trzymamy więc najczęściej cienkowełniste owce, które jeszcze stosunkowo najlepiej wyżywić się są w stanie na chudych pastwiskach.

Wartość włościańskich pól jako pastwiska dla dworskiego inwentarza jest żadna, bo są one zawsze spasione i stłuczone odrazu na wiosnę i nie nadają się na wyżywienie letnie inwentarza. Na polach nierozgraniczonych wszystkie sterty trzeba grodzić, co pociąga koszt i trzebież lasu, przyczem dodać należy, że włościanie pasą aż do śniegu, jeżeli pole nie jest podorane.

Dla włościan serwitut polowy również wielkich korzyści nie przedstawia. Dworskie ugory są zawsze wcześnie orane, jak również i jesienne podorywki; to też czas pasienia na polach dworskich jest często bardzo krótki, zważywszy, że pasą się także jednocześnie inwentarze dworskie, najczęściej owce. W gospodarstwach większych, zamożniejszych, w których są pastwiska naturalne, orzą pola bezpośrednio po zwiezieniu kóp z pola; wówczas pola te nie mogą służyć jako pastwisko dla włościan. Widzimy więc prawie zawsze obustronne niezadowolenie, a gdy dodamy do tego ciągłe sprawy o szkody, spowodowane wypasieniem zboża na pniu lub w kopach, będziemy mieli obraz nieszczęśliwego stanu naszych stosunków rolnych.

Drugi rodzaj serwitutu jest serwitut leśny. U nas, w południ.-zachodnim kraju, serwitut leśny ogranicza się do prawa pasienia bydła w lasach dominialnych, lub koszenia siana w t. z. «dąbrowach». Serwitut «pastwiskowy» powstał na Wołyniu w ten sposób: w d. 4 sierpnia 1866 r. za Nr. 2355, ogłoszono cyrkularz kijowskiego jen.-gubernatora Bezaka, tyczący się Polesia wołyńskiego. Tam wśród lasów dworskich pozostały, po nadziałach, liczne kawałki łąk włościańskich; aby ułatwić korzystanie z tych łąk, pozwolono w owym cyrkularzu włościanom przepędzać bydło przez las obywatelski, ku tym łąkom, ewentualnie paść bydło w tym lesie. Rozporządzenie to zostało później przez komitety urządzające rozciągnięte na cały kraj. W chwili wprowadzenia serwitutów leśnych, włościanie mieli bydła niewiele, a lasy dworskie były gęste, więc niszczące skutki pasienia nie były zbyt widoczne. Dziś stosunki zupełnie się zmieniły. Ze wzrostem ludności powiększyła się ilość inwentarza w każdej wsi; dziś śmiało liczyć można u włościan cztery razy więcej bydła, niż przed trzydziestu kilku laty. Prócz bydła rogatego, włościanie pasą w lesie, zazwyczaj do żniw, konie, a w jesieni świnie, gdy zaś ugory są już poorane, to pasą także owce, jednem słowem wszelki inwentarz żywy. Przepisów lub ograniczeń jakichkolwiek co do jakości pasionego inwentarza, lub co do czasu pasienia, nie ma żadnych.

Na tysiącach dziesięcin lasu dworskiego, objętego serwitutem pastwiskowym, nie znajdzie się ani jedno młode drzewko; wszystko jest zgryzione, zdeptane, połamane przez pastuchów. Nie trudno sobie przedstawić, jak wygląda las, w którym się pasą przez pół lata setki koni w dnie i w nocy, w jesieni ryją świnie, szukając żołędzi, a prawie przez cały rok depcze mnóstwo bydła rogatego. Serwitut leśny jest największą klęską, niszczącą leśne bogactwo naszego kraju i uniemożliwiającą jakąkolwiek racjonalną kulturę i ochronę zwierzyny. Wprawdzie ustawa o ochronie lasów pozwala urządzić zagajniki i wstrzymać pasienie bydła przez piętnaście lat z zastrzeżeniem jednak, żeby przestrzeń zagajników nie przekroczyła czwartej części przestrzeni lasu. Aby jednak uzyskać wstrzymanie pasienia, trzeba przeprowadzić z włościanami długi i uciążliwy proces sądowy, a wykonanie wyroku połączone jest z takiemi trudnościami i kosztami, że nikt prawie nie ucieka się do tego ostatecznego środka, by choć część lasu od zagłady uratować.

Mojem zdaniem i dla włościan korzyści z serwitutu pastwiskowego w lesie są bardzo małe i nie może być obawy o materjalny dobrobyt ludu, po ogólnem zniesieniu serwitutów, których znaczenie dla włościan tak często jest przecenianem.

Parę słów o projektach ewentualnego skasowania szachownicy polnej i serwitutów pastwiskowych, tak leśnych, jak i polowych. Pożądanem bardzo byłoby, przed zniesieniem serwitutów leśnych, które nastąpić powinno koniecznie, ograniczyć czas pasienia bydła i koni w lesie do dwóch miesięcy w roku, t. j. przez maj i czerwiec do żniw. Takie rozporządzenie, które bardzo łatwo i bez wszelkich wstrząśnień weszłoby w życie, przygotowałoby włościan do zupełnego zniesienia serwitutów, a tymczasem przyzwyczaiłoby ich ograniczać się i nie patrzyć na las dziedzica, jak na swoją własność. Im dłużej jednakże czekać będziemy na reformę stosunków serwitutowych, tem więcej kraj będzie ubożeć, lasy będą ginąć, a nieporozumienie będzie ciągle wzrastać, stosunki bowiem już dziś są bardzo naprężone.

J. M. z F.

☐ **Z Odesy** piszą do nas: Administracja kościoła tutejszego zamierza teraz zająć się odnowieniem zabudowań kościelnych, które oddawna wymagają gruntownej naprawy. Mimo jednak widocznej potrzeby, administracja i dziś zniewoloną jest wydatki na ten cel ograniczać do *minimum*, ponieważ wszystkie niemal dochody z domów kościelnych idą na utrzymanie zakładów dobroczynnych przy kościele.—Tow. ros. żeglugi i handlu o tyle rozszerzyło stosunki z Warszawą, że zaszła potrzeba osadzenia tam własnego agenta, jako przedstawiciela dla Królestwa Polskiego.—Nadmienialiśmy już, że odeska rada miejska, stosując się do orzeczenia Senatu w sprawie d-ra Szpakowskiego, musiała całe zajście jego z zarządem miejskim szczegółowo rozpatrzyć. W d. 8 marca zwołana w tym celu specjalna komisja uznała za niezbędne wynagrodzić krzywdę lekarzowi, którego niesłusznie usunięto z posady dyrektora psychjatrycznego szpitala miejskiego. Podobno d-rowi Szpakowskiemu ma być wyznaczona od miasta emerytura, w sumie 1,500 rb. rocznie. *T—dar.*

☐ **Z Moskwy** piszą do nas: W d. 17 b. m. odbyło się doroczne zgromadzenie katolickiego Tow. dobroczynności w Moskwie. Sprawozdanie zeszłoroczne wyjaśniło, że praca zarządu była bardzo owocną. Zakupiono bardzo korzystnie dom, w którym obecnie mieści się ochronka dla dziewcząt. Dzięki szczególnym zabiegom jednego z członków zarządu otwarto bibljotekę i czytelnię, cieszące się znacznem powodzeniem. W końcu roku otrzymano pozwolenie na otwarcie ambulatorjum dla biednych, które również znajduje się w domu Tow. dobroczynności. Działalność zarządu zaznaczyła się pomyślnie w zwiększonej sumie dochodów i wydatków. Odczytano zgromadzonym część testamentu zmarłego niedawno Djonizego Porzezińskiego, który pozostawił dom (wartości około 100 tys. rb.) w dożywocie swojej małoletniej córce, ofiarowowując go po jej śmierci na rzecz naszego Tow. dobroczynności. Towarzystwo uczciło pamięć ofiarodawcy przez powstanie. Zasługuje na uznanie ofiara jen. Alfreda Szaniawskiego, w sumie rb. 1,000, na żelazny kapitał nowootworzonej bibljoteki, celem nabywania z procentów najnowszych dzieł literatury polskiej. Nie możemy pominąć i sympatycznej ofiary ks. Ant. Wasilewskiego, który podarował bardzo cenne dzieło: ilustrowaną Biblję w języku polskim, wartości około 160 rb., przeznaczaczając sumę osiągniętą ze sprzedaży książki na rzecz Towarzystwa. Na członków zarządu zostali ponownie powołani trzej dawni członkowie oraz dr. Ignacy Dyski, wybrany również poprzednio na zarządzającego ambulatorjum. *Chorąży.*

☐ **Moskwa.** Delegowany przez moskiewskie Tow. słowiańskie do W. Ks. Poznańskiego, Galicji i Bukowiny, lejtn. L. L. Kozlaninow na zgromadzeniu tegoż Tow. zdawał sprawę ze swych wrażeń. Zaznaczył on — według doniesienia „Mosk. Wied." — że sympatje do Rosji wzrastają nietylko wśród rusinów galicyjskich, ale również wśród polaków, zwłaszcza po ogłoszeniu ofiary moskiewskiego Tow. słowiańskiego na rzecz skazanych we Wrześni. Sprawozdawca mówił dalej, że władze austrjackie starają się temu przeszkodzić, dowodząc, że Rosja dąży do politycznego podboju wszystkich ziem słowiańskich. Prezes Towarzystwa, p. A. I. Czerep-Spiridowicz, wygłosił odczyt o tępieniu słowian w wieku XX i wykład swój ilustrował licznemi faktami z dziejów W. Ks. Poznańskiego oraz Macedonji.

☐ **Kaukaz.** Wysłany na rozkaz Najwyższy fligiel-adjutant Jego Cesarskiej Mości, ks. Oboleński, do Szemachy, dla przekonania się na miejscu o rozmiarach klęski i dla okazania doraźnej pomocy ludności tamtejszej — złożył raport ze swojej podróży, ogłoszony w „Prawit. Wiest." Okazuje się, że w zburzonem przez trzęsienie ziemi mieście wydobyto z pod gruzów 806 trupów i 21 ludzi żywych. Ogółem zaś zginęło 914 osób, z których 108 nie doliczono się, ponieważ po części pochowano je bez zawiadomienia policji, po części zaś nie zdołano ich znaleźć pod gruzami zburzonych domów. „W ogólności — pisze ks. Oboleński — wywiozłem wrażenie, że nieszczęście, które spadło na pow. szemaski, jest istotnie straszne ze względu na liczbę ofiar i na rozmiary spustoszeń. Straty wielu ludzi nie mogą być powetowane. Jakkolwiek komitet pomocy posiada obecnie pieniądze na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb poszkodowanej ludności, mimo to jednak niezbędne będą jeszcze bardzo znaczne środki na to, żeby ludność ta mogła się otrząsnąć z nieszczęścia".

☐ **Kwantung.** Naczelnik sztabu tutejszego — według informacji „Prawitielstw. Wiestn." — donosi, że na placówkę pułku strzelców w pobliżu miasta Starego Niuczuanu napadło 600 chunchuzów. Strzelcy odparli napastników, którzy zostawili na placu 20 towarzyszy zabitych. Rosjanie stracili 2 zabitych podoficerów, a nadto zostali zranieni: podporucznik Bielechow, jeden podoficer i trzej żołnierze. Zorganizowano energiczny pościg za chunchuzami.

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 6 kwietnia.

[Zamiast wystawy powszechnej, prosimy o szereg prowincjonalnych. Towarzystwo kredytowe ziemskie w przeddzień wyborów].

+ Projekt powszechnej wystawy krajowej, po raz już drugi postawiony na porządku dziennym dyskusji publicznej, został tym razem, jak się zdaje, za-

niechanym ostatecznie. Nie brakło wprawdzie wymownych głosów w prasie, uzasadniających i potrzebę i pożytek takiej wystawy, skoro jednakże dyskusja poczęła się wiązać około pierwszego realnego i szczegółowego punktu: zgromadzenia funduszu gwarancyjnego—pokazało się odrazu, iż projekt cały nie jest na czasie. Z jednej strony bowiem wiara w wystawy powszechne utraciła swój kredyt w całym świecie przemysłowym, a sceptycyzm ten nie wpływa zachęcająco i na naszych wytwórców; z drugiej—stan obecny przemysłu naszego wcale też do popisów nie zachęca: przemysł ten walczy bardzo ciężko o utrzymanie się na zajętych pozycjach i na paradę nie ma ani czasu, ani środków.

Jeżeli trudno odmówić słuszności głosom, które się podniosły przeciwko temu projektowi, z całem przekonaniem popierać należy inny, pokrewny projekt, jaki podało «Echo Płockie i Łomżyńskie»: urządzenia całego szeregu wystaw prowincjonalnych. Wystawa ma wogóle tem większą rację bytu, im mniej jest powszechną, im więcej specjalną. Wystawa prowincjonalna nie będzie miała charakteru ani popisu, ani parady, ponieważ nie będzie posiadała szerokich ambicyj. Wystawa powszechna zdaje się wołać wielkim głosem:

— Podziwiajcie nas! Patrzcie, co my umiemy i możemy!

Wystawa prowincjonalna zdaje się mówić z dyskretnym uśmiechem:

— Widzicie więc, że i my tu się ruszamy...

O ile jedną wystawę powszechną urządzić jest trudno, o tyle szereg prowincjonalnych łatwo; i o ile szanse udania się jednej wielkiej wystawy problematyczne, o tyle powodzenie bezpretensjonalnych wystaw prowincjonalnych niemal pewne. Zeszłoroczna wystawa lubelska zainicjowała szereg prowincjonalnych popisów. Na kogo teraz kolej? Jabym głosował za Kaliszem. Nowa kolej uczyni to piękne miasto dostępnem dla świata; rozwój przemysłu i rolnictwa kaliskiego zrobić może wystawę interesującą. Ograniczam się na oddaniu mojego głosu, uważając że reszta należy do uprzejmego kolegi naszego, pana Radwana, redaktora «Gazety Kaliskiej».

Zbliżają się terminy wyborów na stanowiska radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego, a wraz z tem—zwykłe w naszym świecie rolniczym ożywienie—ożywienie, sięgające nieraz tu i owdzie, «w gorętszych guberniach», znacznego napięcia, zawsze jednak pełne powagi i dyskrecji. Władze Towarzystwa ogłosiły, w przeddzień dni krytycznych, swoje opinje i odpowiedzi na wnioski stowarzyszonych. Pouczający i charakterystyczny to memorjał. Przedewszystkiem ogromna ilość podanych wniosków—mianowicie *70*—dowodzi, jak żywo rolnicy nasi interesują się swoją instytucją kredytową, jak dokładnie badają podstawy, formy i cele jej działalności. Oto niepozbawiona pewnego interesu tabelka statystyczna ilości wniosków według guberni: lubelska 1, kielecka 1, radomska 1, piotrkowska 2, warszawska 3, łomżyńska 4, kaliska 9, płocka 10, suwalska 14 i siedlecka 24.

Najpoważniejsza pretensja stowarzyszonych dotyczy zbyt wielkiego kapitału rezerwowego, co tamuje do pewnego stopnia swobodę ruchów finansowych. Władze odpowiadają na to poważnym argumentem o przezornym gospodarzu, i z dumą cytują opinję, jaką sobie Towarzystwo wyrobiło w świecie finansowym, opinję wzorowej gospodarki. Przegląd innych wniosków świadczy wymownie o pełni zdrowia i sił tej drogiej nam wszystkim instytucji. Wnioskodawcy domagają się rzeczy wogóle drobnych, ulepszeń drugorzędnych; nie poprzestają na tem, iż jest *dobrze*, pragnęliby, aby było jeszcze *troszkę lepiej*. Charakterystyczną jednak jest rzeczą, iż władze Towarzystwa bodaj że ani jednego z tych *siedemdziesięciu* wniosków w całej pełni nie przyjęły i nie uwzględniły. Prawda i to, że podano pewną ilość wniosków identycznych, i że niektóre z wniosków władze przyrzekły rozpatrzeć gruntowniej, na co potrzebują dłuższego czasu. Myliłby się też, ktoby upatrywał jakiś antagonizm pomiędzy stowarzyszonymi a władzami Towarzystwa; w instytucji wyborczej, skupiającej nasze obywatelskie warstwy, wspólna praca, choćby w niektórych szczegółach i różnie pojmowana przez różnych, nigdy przybrać nie może form rzeczywistego i trwalszego antagonizmu.

Władze Towarzystwa pochwalić się mogą zresztą ważną zdobyczą: oto udało się wprowadzić listy zastawne ziemskie na giełdę wrocławską, a to znaczy, iż wejście ich i na giełdę berlińską jest już kwestją czasu. Doniosła to rzecz, nic skuteczniejszego bowiem nie można było uczynić dla podniesienia i utrzymania poziomu kursu tych listów zastawnych. Dziś giełda warszawska notuje 4½ proc. listy ziemskie po 99 rubli, podczas gdy 5 proc. miejskie idą po 100 rb., a 4½ proc. miejskie po 93 rb.

A propos tej zdobyczy—dziwi mnie, że nasi bojkotowcy nie zażądali od p. Ludwika Górskiego, aby cofnął nasze papiery z giełdy niemieckiej...

Zastępca.

WARSZAWA, 5 kwietnia.

[Kwietniowa zima. Mascagni. Teatrzyki *in spe*. Z prasy].

+ Dwa tematy zajmowały w tygodniu poświątecznym najbardziej tych wszystkich, którzy przebywać muszą wiele na ulicy i tych, którzy nie wychodzą z salonów; pierwsi mówili o pogodzie, drudzy o Mascagnim.

Niebo wypłatało nam szkaradnego figla jeszcze przed *prima-Aprilis*, sypnąwszy taką śnieżycą na same święta Wielkanocne, jak gdyby to miało być Boże Narodzenie, zaś w kilka dni później lunęło deszczem i zagrzmiało, niby podczas kanikuły i znowu powróciło do śniegu. Ucierpiał na tem ludek warszawski, który sobie obiecywał dużo uciechy na zabawach tradycyjnych i na przechadzkach po mieście. Zabawy przepadły zupełnie; drugi rok urządzano je w pobliżu cmentarza Powązkowskiego, w miejscu nie bardzo odpowiedniem do głośnej uciechy tłumów, ze względu na tak blizkie sąsiedztwo z nieboszczykami i z poświęcaną «rolą śmierci». Wybór innego placu jednak jest dosyć kłopotliwym w mieście, które zacieśniło się w sobie i pokurczyło tak, że o większą przestrzeń wolną i niezabudowaną trudniej dziś w Warszawie, niż o 100 tys. rubli na nowy dom.

Co do Mascagniego, to stwierdził nasze przewidywania; przyjechał, przywiózł z sobą kwartet solowy, złożony z artystów nie najwyższej firmy, ale dobrych, stanął przed pulpitem i wywołał odrazu entuzjastyczne oklaski, jakiemi tylko koncertowe sale w Warszawie rozbrzmiewają w chwilach wyjątkowego podniecenia.

Przed laty dziesięciu, zaraz po wystawieniu «Rycerskości wieśniaczej», bylibyśmy może z niego zdarli frak i porwali go na strzępki, obcięli mu wszystkie włosy na pamiątkę, zasypali go lawiną albumów i sztambuchów—dzisiaj zrobiliśmy tylko gorącą owację, gdy się ukazał na koncercie Filharmonji w przeddzień występu, i rozchwytali wszystkie bilety przez cztery wieczory z rzędu, aby go podziwiać jako dyrygenta i kompozytora.

Zeszłej soboty zasiadł w orkiestrze Teatru wielkiego i kierował osobiście swoją «Cavalerią» wobec wytwornej publiczności, która zapełniła aż po ostatnie kąciki całą widownię.

Jako dyrygent, nie należy do pierwszorzędnych w rodzaju np. Nikischa lub nieboszczyka Bülowa, ale odznacza się prawdziwie południowym temperamentem w każdym calu, i ta *furia italiana* udziela się nietylko orkiestrze, śpiewakom, chórom, ale i publiczności; z pałeczką w ręku zamienia się Mascagni w jakąś żywą, ruchliwą, elastyczną sprężynę, która porusza wszystkie instrumenty i nawzajem przez nie zdaje się być w ruch wprawianą. Na wyrazistej jego fizjognomji, w bystrych, czarnych, płomiennych oczach odbijają się wszystkie uczucia, które w danej chwili muzyka ma wywoływać; jest w tem niezaprzeczenie dużo szczerego przejęcia się prawdziwie artystycznej natury, ale i dużo afektacji kapelmistrza «na pokaz», który wie, że się na niego więcej patrzy publiczność, niżeli słucha.

W bliższym stosunku towarzyskim Mascagni robi bardzo miłe i ujmujące wrażenie, jest wesoły, swobodny, dowcipny, nie pozuje na wielkość i nie stara się nikomu imponować swoją wielkością; popularność mu pochlebia, ale nie chełpi się nią i rozmawia o niej nawet z pewnym odcieniem lekceważenia.

Muzyce polskiej i Filharmonji powiedział kilka komplimentów, zdaje się, że zupełnie szczerych, z zachwytem wyrażał się o Chopinie, nazwawszy go «wielkim poetą muzyki i największym lirykiem stulecia, w którego przejmującej duchowej spowiedzi językiem tonów drgają wszystkie tęsknoty i bóle serdeczne, wszystkie uroki, a w której tkwi zapowiedź przyszłego rozwoju muzyki polskiej». O muzyce współczesnej wogóle wypowiedział dużo zdań bardzo rozsądnych i śmiałych, znamionujących umysł inteligentny i wykształcony, a krytykę dzisiejszą w bardzo niepochlebny sposób scharakteryzował, nazwawszy ją «jadowitym płazem, który przewodzić usiłuje artystycznemu rozwojowi, a wpływa na niego raczej krępująco i szkodliwie».

Stając w obronie twórczości wobec krytyki, wyrażał się przed interviewerem «Echa»:

— Miałem o tem odczyt publiczny, który zakończyłem apostrofą, mogącą podkopać niejednokrotnie wymawianą mi

popularność; powiedziałem poprostu: «Pretensjonalni sędziowie! zstąpcie z katedry krytyki i siądźcie na skromnym stołeczku kroniki»; ta przynajmniej, o ile będzie szczerą i wierną, przyniesie jakąś korzyść w przyszłości. Przemówieniem tem jednak odebrałem sobie raz na zawsze prawo głosu w sprawach artystycznych!...

Pomimo powodzi koncertów dla popisu i na cele dobroczynne, publiczność zapełnia sale i gromadzi się nawet tłumnie, aby posłuchać dobrej muzyki; melomanja tedy jeszcze bardziej wzrosła od czasu otwarcia Filharmonji—opera i dramat mniej mają słuchaczy i widzów. Gwebrowie teatralni czekają nowych «gwiazd», nie poprzestając na naszych miejscowych «słońcach»; ta sekta jest niepoprawną.

Jakkolwiek zasypani jesteśmy śniegiem i wiosna jeszcze za górami, wcześniej od bocianów rozpoczął się zlot wędrownego ptactwa Melpomeny, które upatruje sobie gniazd ogródkowych; o dwóch teatrzykach letnich na pewno już wiemy:—w Bagateli osiądzie trupa łódzka pod dyrekcją p. Grubińskiego—w Wodewilu, najkorzystniejszym dla sprytnych dyrektorów, nowa spółka przedsiębiorcza zamierza próbować szczęścia w przyszłym sezonie. Pp. Buchner (redaktor «Muchy»), Orłowski i monologista Zawadzki utworzyli zbiorową dyrekcję, która chce pod względem gry, repertuaru i wystawy podnieść bardzo znów obniżony poziom scen ogródkowych; panowie ci humoru i pomysłowości mają dużo, pieniędzy im starczy i dobrych chęci nie brak—może co z tego będzie.

Trójlistek naszej prasy humorystycznej pozyskał czwarty narostek: jest nim wcale dowcipne, a zwłaszcza przyzwoite i starannie wydawane pisemko p. t.: «Nasz Kurjerek Humorystyczny», który będzie wychodził przygodnie i zmieniał nazwę odpowiednio do aktualnej treści; kilku zdolnych rysowników-malarzy i humorysta p. Wukar zajęli się kierownictwem nowego dwutygodnika.

Gama.

+ Pomocnik dowódcy wojsk okręgu warszawskiego, jenerał piechoty A. K. Puzyrewski, powrócił do Warszawy z podróży zagranicznej.

+ W d. 3 kwietnia magistrat ostatecznie zdecydował budowę rzeźni centralnej i targowiska bydlęcego na b. forcie śliwickim (na gruntach wsi Golędzinów) kosztem 485 tys. rb. Uchwałę tę przedstawiono do zatwierdzenia władzy wyższej. Pod rzeźnię i targowisko będą zajęte przeszło 54 dziesięciny.

+ Sprzedaż kart pocztowych z ilustracjami uległa ograniczeniu. Tylko te sklepy będą miały prawo karty takie sprzedawać, które uzyskają zezwolenie komitetu cenzury.

+ Warszawski korespondent dziennika „Nowoje Wremia“, p. Aleksiejew pisze, że w ostatnich czasach bardzo rozpowszechniły się w Warszawie samobójstwa i zabójstwa na tle romantycznem, pojedynki i t. p. chorobliwe objawy, których przyczyna, według zdania dziennikarzy polskich, leży w teraźniejszej literaturze dekadenckiej, demoralizującej młodzież. Niektóre dzienniki zagraniczne—pisze p. A.—twierdzą, że literatura zrodziła się na gruncie ujemnych warunków politycznych, na co p. A. odpowiada, że gniazdem dekadenckiej „Młodej Polski“ jest Galicja. Autor dowodzi dalej, że dotychczasowe programy polityczne polskie tracą znaczenie i kończy swój list słowami: „Z jednej strony zrodzenie się rusofilstwa w Poznańskiem i z drugiej—bardzo wrogi dla Rosji ruch wszechpolski oraz wzmocnienie się socjalizmu narodowo-polskiego z mocnem zabarwieniem antyrosyjskiem, czyż nie świadczą o tem, że polacy przebywają teraz okres walki nowych prądów politycznych?“ A ponieważ — zdaniem p. A.—polacy moralność zawsze czynią zależną od polityki, przeto wskutek zamieszania pojęć politycznych, nastąpiło u nich zamieszanie pojęć moralnych. Oczywiście tę hypotezę etyczną należy przyjąć na odpowiedzialność p. Aleksiejewa.

+ Mówiąc o próbach bojkotu towarów niemieckich w Królestwie, „Warsz. Dniew.“ uważa je za chybione i dodaje od siebie taką sentencję: „Sądzimy, że najgłówniejszą przyczyną, nie pozwalającą na zerwanie stosunków handlowych z niemcami, byli i będą żydzi, od których całkowicie zależy nadanie handlowi tego lub owego kierunku. Cokolwiekbądź przedsiębrać będą tutejsi kupcy i przemysłowcy — wszystko pójdzie na marne, dopóki te próby nie znajdą poparcia wśród żydów. A że jej nie znajdą—to rzecz pewna“.

+ Z Warszawy znikł p. Alfons Grzesiewicz, znany w szerokich kołach tamtejszych wspólnik firmy „H. L. Malhomme i Grzesiewicz“ (agentura ruskiego Tow. żeglugi i handlu“), łowczy honorowy Tow. prawidłowego polowania. Jak się okazało, p. Grzesiewicz nadużył zaufania p. H. Malhomma i sprzeniewierzył na jego szkodę około 85 tys. rb. Pomiędzy innemi przywłaszczył sobie około 40 tys. rb., nadesłanych do firmy dla I. K. Poznańskiego w Łodzi, nadto zdyskontował wiele wekslów w Banku handlowym i w Banku państwa, opatrzonych podpisami p. Malhomme, który zaprzecza autentyczności podpisów.

+ W prasie warszawskiej zaszło, jak donosi “Wiek“, wiele zmian. „Tygodnik Polski“, wydawany przez p. L. Rejchsmidta—przestał wychodzić. „Kurjer Świąteczny“ zmienił kierownika literackiego, którym został p. Artur Gliszczyński. „Czytelnia dla Wszystkich“ została nabyta przez p. W. Umińskiego.

+ Utworzyło się poważne konsorcjum ziemiańskie, które prowadzić odtąd będzie na własny rachunek wydawnictwo „Słowa“. Na czele listy udziałowców spotykamy nazwiska Górskich, Krasińskich, Łubieńskich, Potockich, Radziwiłłów, Tarnowskich, Wielopolskich. Na redaktora i kierownika feljetonu ma być podobno zaproszony p. Jan Baliński, poeta, urzędnik prokuratorji.

++ **Z Łodzi.** Założona przez kupców łódzkich męzka szkoła handlowa otwiera od wakacyj siódmą i ostatnią klasę z wykładem nauk specjalnych.—Tutejszy Salon artystyczny coraz żywszą ujawnia działalność, pozyskując zarazem szersze koła zwolenników sztuki. Obecnie między innemi wystawiono większy obraz Fr. Żmurki p. t.: „Dramat w haremie“, rozgłośną „Ucieczkę słoni przed pożarem w stepie“ Wil. Kuhnerta oraz wiele płócien Michała Wywiórskiego, L. Hirszenberga i in. — Zapytywane przez sfery rządowe, chrześcjańskie Tow. dobroczynności przychylną wydało opinję o projekcie wprowadzenia kuchni ruchomych w Łodzi.—W sferach przemysłowo-handlowych z zadowoleniem przyjęto wiadomość o uwzględnieniu prośby wytwórców krajowych w sprawie założenia przez flotę „ochotniczą“ własnej agentury w Królestwie. Tym sposobem znakomicie ułatwią się bezpośrednie stosunki handlowe ze Wschodem dalekim, na które w ostatnich czasach Łódź szczególną zwróciła uwagę. W tych dniach wyjechało też kilku przedstawicieli firm tutejszych, w celu zawiązania stałych stosunków w Persji. — Dochód z wygłaszanych obecnie odczytów prelegenci przeznaczyli na rzecz niedawno utworzonego oddziału dla suchotników przy szpitalu im. Poznańskich. *M.*

UWAGI.

Petersburg, 29 marca (11 kwietnia).

P. Kuyper, prezes gabinetu holenderskiego, przyjechał do Berlina. Oczywiście nie obyło się bez interview'ów. Pytano wiec pana ministra, czy spodziewa się rychło zakończenia wojny; pytano go, czy przyjechał, aby niemców namówić do pośredniczenia między anglikami i boerami; pytano, czy wierzy w niepodległość Transwaalu. P. minister odpowiadał grzecznie, starając się powiedzieć każdemu gościowi to tylko, o czem gość już przed wizytą wiedział.

Ale znalazł się reporter nie w ciemię bity. Ten postanowił zapuścić sondę dziennikarską pod samo serce jego ekscelencji. Zadał też p. Kuyper'owi takie pytanie, iż holender tym razem nie zdołał wykręcić się sianem. „A coby też ekscelencja myślał o przyłączeniu Holandji do cesarstwa niemieckiego?“

Strzał był celny. Po takim strzale trudno było zachować dyplomatyczną oględność. Zadraśnięty do żywego, holender wypadł z równowagi. „Ach, panie szanowny, powstałaby przez to druga Irlandja, a dla Niemiec byłoby to zgubą!“

Wrażenie, jakie ta odpowiedź sprawiła, było piorunujące. Oto holender, krew z krwi i kość z kości taki sam boer, jak ci, nad którymi naród niemiecki rozrzewnia się codzień, powiada bez ogródki, że w połączeniu z pobratymczymi niemcami byłoby jego ludowi tak dobrze, jak irlandczykom pod batem angielskim.

Oto przedstawiciel pokrewnego szczepu śmie równać łagodne i sprawiedliwe rządy niemieckie z krwiożerczem panowaniem anglików!

Nic też dziwnego, że dzienniki niemieckie, zamieściwszy wiadomość o tej rozmowie z cierpkim komentarzem, ucięły nagle, jak na komendę—i milczą.

P. Kuyper odezwał się w samą porę. Polityka kolonjalna zajmuje dziś umysły niemieckie daleko żywiej, niż się napozór wydaje. To powszechne zajęcie podsycane jest nieustannie z Berlina. Zapał kolonizacyjny łączy się w umysłach niemieckich z chęcią posiadania coraz większej floty, a myśl, zwrócona w tym kierunku, biegnie w dal i snuje fantastyczne obrazy przyszłych wojen morskich z państwami, które uprzedziły niemców w dziedzinie osadnictwa zamorskiego. Jakżeby się podczas takiej wojny przydały porty holenderskie i holenderskie statki!

A tu p. Kuyper śmie porównywać ów przyszły stan błogi z niedolą Irlandji!... Czyżby w Haadze wiedziano o Wrześni, o komisji kolonizacyjnej, o zakazie pokazywania ubogim dzieciom polskich liter na polskim elementarzu?

Minister oświaty w gabinecie austrjackim, p. Hartel, umie w swych przemówieniach zdobywać się na zwroty niespodziane, niekiedy patetyczne, niekiedy jowialne, przykuwające uwagę parlamentu i rozbrajające przeciwnika. Gdy niedawno poseł Romańcznk ostro nacierał na rząd, domagając się założenia uniwersytetu rusińskiego we Lwowie, p. minister odparł, że nim powstanie całkowity uniwersytet rusiński, znaleźć się pierwej musi odpowiednie grono rusińskich uczonych. „Zakładać uniwersytety tam, gdzie niema sił naukowych, jest to — powiada p. Hartel — tyle, co kiełzać konia od ogona". Przenośnia podobała się Izbie. O uniwersytecie rusińskim nie było więcej mowy.

Sens moralny tego przemowienia jest jasny. Pragnienia narodów powinny stosować się do sił i środków. Niecierpliwość nie zda się na nic. Rusini galicyjscy, którzy w ostatnich trzydziestu latach poczynili postępy niezaprzeczone, a nieprzewidywane poprzednio, nie rozporządzają dziś jeszcze takim zasobem sił, iżby porywać się mogli odrazu na wszelkie przedsięwzięcia narodowe. Nie wątpimy, że nadejdzie, nadejść musi dzień, w którym we Lwowie otworzą się podwoje uniwersytetu rusińskiego, ale największy przyjaciel Rusi musi przyznać, że dzieł takich nie stwarza się odrazu, i że przyszły ten uniwersytet tylko w takim razie będzie odpowiadał wszystkim wymaganiom nauki nowożytnej, jeżeli rusini potrafią uzbroić się w cierpliwość.

Tymczasem obecnie dzieje się wprost przeciwnie. Przywódcy ruchu rusińskiego wysilają się na to, ażeby w swym narodzie rozbudzić jaknajwiększe pożądania, ażeby go utrzymywać bez przerwy w stanie gorączkowego rozdrażnienia, ażeby podniecać go do żądania wszystkiego na raz.

Ztąd wynikają objawy, które muszą pozbawiać rusinów sympatji nawet wśród polaków najżyczliwiej usposobionych. Do takich objawów zaliczyć musimy artykuły, ziejące nienawiścią do polaków, a zamieszczane przez rusinów galicyjskich w najskrajniejszych organach hakatyzmu pruskiego.

Właśnie temi dniami ukazał się taki artykuł w „National Zeitung", piśmie, nienawidzącem z głębi serca wszystko, co polskie i słowiańskie. Gdybyż przynajmniej artykuł ten miał pozory słuszności! Ale cóż powiedzieć o dziennikarzu, który dowodzi, że rusini galicyjscy, mający tysiąc kilkaset szkół rusińskich, są nieszczęśliwsi od polaków poznańskich, nie mających ani jednej szkoły polskiej, lub, że rusini, posiadający kilka gimnazjów rusińskich, są nieszczęśliwsi od polaków poznańskich, nieposiadających ani jednego.

Konia się od ogona nie kiełza. Podszczuwaniem hakatystów na Poznań nie zjednają sobie rusini kół, rządzących Galicją, a pozbawić się mogą sympatji w innych ziemiach słowiańskich.

Mowa, którą hr. Hoensbroech wypowiedział w pruskiej Izbie panów, przyczyniła się z wielu względów do oświetlenia mniej jasnych stron w położeniu polaków pod panowaniem niemieckiem.

Hrabia jest katolikiem i wyznaje zasady zachowawcze. Nie powstrzymało go to od przestrzegania rządu przed kapłanami polskimi, udającymi się do zachodnich krajów niemieckich, by nieść słowo Boże i posługę duchowną dziesiątkom tysięcy robotników polskich, szukającym tam chleba. Dla wszystkich nieprzyjaciół Polski był to kąsek nielada.

Z tem większą radością stwierdzić było można rozumne i zacne zachowanie się prasy katolickiej niemieckiej. Równie „Germania", jak „Koelnische Volkszeitung" skarciły katolickiego mówcę za jego napaści na duchowieństwo polskie. Pokazało się znowu, że sytuacja polityczna bywa większą potęgą, niż chwilowe sympatje i antypatje jednostek. Stosy bibuły można było zapisać traktatami o konieczności rozwodu między polakami a partją katolicką. Ostatecznie wystarczyło nietaktowne wystąpienie jednego posła, ażeby te dwa stronnictwa zbliżyć znowu do siebie.

Pokazało się coś więcej. Pokazało się, jak wiele prawdy jest w zarzutach, które w „Kraju" czyniono reprezentacji polskiej. Żaden z polaków nie odpowiedział Hoensbroechowi, bo żadnemu z polskich członków Izby panów nie chciało się przyjechać na posiedzenie.

Galicja pospolicie uważaną jest za dzielnicę najbardziej wolną od wpływów obcych, najbardziej wystawioną na działanie kultury swojskiej. A jednak to złudzenie, jeśli mamy wierzyć „Gazecie Narodowej". Galicja dopiero ma zacząć pracę nad wyrobieniem własnej, czysto narodowej duszy, którą w niej została uśpiona przez germanizm. Przed stoma laty wtłaczano nas w germanizm najbrutalniej, a nie mieliśmy wtedy sił odpornych—pisze „Gazeta".—Gdy Galicja otrzymała samorząd, wówczas, zamiast „odkopywać krynice narodowe, zadowoliła się formami zewnętrznemi: strojem, pieśnią, uroczystościami", a całe życie duchowe snuła w ramach „przemocą narzuconych". Charakterystyczne wyznanie to „Gazeta" uzasadnia w sposób przekonywujący:

„Dzieci uczyliśmy dalej z książek niemieckich, być może, że na polskie przełożonych, lecz o duchu niemieckim; od niemców braliśmy hasła i prądy umysłowe i społeczne, ich literaturę i sztukę, naśladowaliśmy ich obyczaje i zwyczaje, przyjmowaliśmy ich modę, nawet to, cośmy brali z pięknej kultury francuzkiej lub mądrej angielskiej, braliśmy przez alembik niemiecki. Jeżeli ktoś powiedział: nasza stolica, to rozumiał pod tem Wiedeń—Wiedeń, który kulturę i humanizm czuje i rozwija podług wskazówek pangermańskich... Coraz bardziej ciążyliśmy ku Wiedniowi, równocześnie coraz bardziej rozluźniając nici z innemi polskiemi prowincjami. Duch polski malał, karłowaciał, nie ożywiony, nie pielęgnowany, wiądł pod tym pokostem niemieckim, raz po raz grubiej nakładanym, który go już przenikać poczynał. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, nie czuliśmy, podobnie jak ten, kto dotknięty długą, chroniczną chorobą, oswaja się z nią i do niej tak przywyka, iż niemal jej nie odczuwa, chociaż go ona powoli, ale pewnie zabija".

A z tego „Gazeta" wyciąga wniosek, że Galicja ma najpilniejszy obowiązek pracy wewnętrznej w sercach i duszach nad unarodowieniem swej kultury i pojęć. Hasło kulturne: „precz z Wiedniem"— to, cokolwiekbądź, hasło nowe i dotąd niesłyszane.

Kiedy przed dwoma miesiącami ogłoszony został rozkaz Najwyższy o utworzeniu Rady nadzwyczajnej (*osoboje sowieszczanje*) do spraw rolnictwa, prasa rosyjska, opierając się na wyjątkowo doniosłym składzie tej konferencji, złożonej z ministrów i członków Rady państwa, a pozostającej pod przewodnictwem ministra skarbu Wittego, przypisywała jej zadanie i cele bardzo rozległe. Zdanie powszechne głosiło, że obok spraw techniki i ekonomji rolniczej, zadaniem Rady będą zasadnicze reformy w układzie stosunków prawno-społecznych na wsi, oraz w systemie dotychczasowej państwowej polityki ekonomicznej, i że to właśnie zadanie będzie głównym celem obrad.

Tymczasem z ogłoszonego sprawozdania o przebiegu kilku pierwszych organizacyjnych posiedzeń Rady, które podajemy na innem miejscu, widać jasno, że Rada zrzekła się tak szerokich planów i postanowiła nie schodzić

z realnego gruntu ekonomicznych warunków bytu rolnictwa. Przemogły w danym wypadku względy praktyczne, mianowicie chęć nie zaciągania pracy na długie lata. Postanowienie to wydaje się tembardziej słuszne, że stosunki prawno-społeczne wsi są już przedmiotem obrad innej komisji, zorganizowanej, jak wiadomo, przy ministerstwie spraw wewnętrznych.

Doniosłego znaczenia i bardzo szczęśliwem w pomyśle jest postanowienie Rady, uchwalające powołanie do życia komitetów gubernialnych i powiatowych, mających za zadanie dostarczyć gruntownych danych i wskazówek o potrzebach poszczególnych miejscowości państwa. Zasięgnięcie opinji warstw bezpośrednio zainteresowanych daje bowiem gwarancję, że ostateczne wnioski Rady będą miały łączność z życiem realnem, a nie będą wyłącznie wytworem rozumowań abstrakcyjnych. Z drugiej zaś strony powołanie do pracy nad podniesieniem dobrobytu klasy rolniczzej sił miejscowych i stworzenie reprezentacji interesów poszczególnych guberni, a nawet powiatów, wywrzeć powinno wpływ ogromnie dodatni na uobywatelenie ogółu i będzie nową pobudką do zastanowienia się nad potrzebami kraju i nad środkami ich zaspokojenia.

Przy omawianiu organizacji pomienionych komitetów w łonie Rady ujawniły się pewne wątpliwości co do tego, czy należy we wszystkich bez wyjątku prowincjach państwa tworzyć owe komitety pomocnicze. Przy tej sposobności wypowiadane były zdania, że w niektórych miejscowościach stan rolnictwa jest o tyle zadawalniający, że nie wymaga żadnej pomocy, oraz że zarówno warunki kultury, jak i skład ludności czynią w innych niemożliwem zastosowanie ogólnych sposobów pomocy. Ostatecznie jednak względy natury ogólnej przeważyły i uchwalono utworzyć komitety we wszystkich prowincjach państwa. Dla Królestwa Polskiego, ze względu na małe terytorjalnie gubernie, ograniczono się tylko do komitetów gubernialnych.

W taki sposób przed społeczeństwem otwiera się nowe pole pracy—i mamy nadzieję, że poważne traktowanie sprawy zapewni jej owocność.

Opinja publiczna żywo interesowała się w ostatnich czasach losami „Słowa", którego wydawnictwo, skutkiem nagłej śmierci Lucjana Wrotnowskiego, znalazło się w położeniu dość krytycznem. Nie brakło i horoskopów, że pismo z tak wyraźnie zarysowanym programem umiarkowanym i trzeźwym, wobec ogólnej apatji, jaka ogarnęła umysły, utrzymać się wogóle nie może. Fakty zadały kłam tym „najserdeczniejszym" przepowiedniom. Na pierwszą wieść o tem, że spadkobiercy ś. p. Wrotnowskiego podjąć się dalszego wydawania „Słowa" nie mogą, utworzyło się poważne konsorcjum, które uznało za rzecz nieodzowną utrzymanie „organu ziemiańskiego, opartego na zasadach zachowawczych: obrony religji i narodowości, poszanowania własności i praw rodziny", i postanowiło poprzeć go moralnie i materjalnie przez przystąpienie do współwłasności pisma. Na liście udziałowców spotykamy najpoważniejsze nazwiska krajowe, reprezentujące i stanowiska i zasługi społeczne. Nie ulega już wątpliwości, że pismo, które zawsze odważnie i wytrwale służyło idei dobra publicznego, i tyle przyniosło pożytku, i nadal istnieć będzie. Nad jego istnieniem i rozwojem, nad jego działalnością i kierunkiem czuwać odtąd będzie nie jeden człowiek, ale całe grono poważnych obywateli, prawie wyłącznie ziemian. Będzie to więc w całem znaczeniu tego słowa organ szerokich sfer społecznych.

Odrodzonemu na nowych zasadach pismu zapewniony został i nadal cenny współudział zasłużonego publicysty, gruntownego znawcy stosunków ekonomicznych, d-ra Ant. Donimirskiego. To jedno nazwisko daje nam już rękojmię, że nić tradycji dawnego „Słowa" nie zostanie zerwaną. A to niewątpliwie wszystkim przyjaciołom pisma najwięcej leży na sercu.

Ukazem Najwyższym, datowanym d. 21 marca, biskup wileński ks. Stefan Zwierowicz uwolniony został z zajmowanego stanowiska.

W okólniku kuratora okręgu naukowego warszawskiego, Nr. 9, wydrukowano:

„Na skutek wszczętej przez kuratora okręgu naukowego warszawskiego kwestji w sprawie języka, w którym prowadzony ma być wykład nauki religji katolickiej dla uczniów-katolików nie polaków, oraz nie życzących sobie uczyć się języka polskiego, minister oświaty zawiadomił kuratora, dla należytego zastosowania, iż Jego Ekscelencja podziela opinję kuratora co do pożytku wykładania religji katolickiej wymienionym uczniom w znanym im języku rosyjskim, w którym to celu nauczyciel religji może poświęcać czas odpowiedni z liczby godzin wykładowych, wyznaczonych na naukę tego przedmiotu".

Pisma krakowskie przynoszą szczegóły z ciekawej rozprawy prasowej, której widownią był w zeszłym tygodniu trybunał w Krakowie. Chodziło o głośne „Legendy" p. Andrzeja Niemojewskiego, skonfiskowane przez prokuratorję. Konfiskata była już raz zatwierdzona przez sąd; obecnie odbyła się rozprawa opozycyjna. Trybunał składali przewodniczący Morelowski oraz sędziowie Turowicz i Ursel. Na krześle oskarżyciela zasiadł prokurator Doliński, o którym „Naprzód" codzień niemal donosi: „Doliński znowu nas dziś skonfiskował". Publiczność na czas rozpraw wykluczono ze względu na ich treść, gdyż „Legendom" zarzucano bluźnierstwo. Rzecz charakterystyczna, że na posiedzenie sądu przybył z Warszawy sam p. Niemojewski, aby wespół ze znanym adwokatem lwowskim, d-rem Grekiem, bronić swych legend. Pan Niemojewski zaopatrzony był w Biblję i inne księgi i podobno dowodził, że ojcowie Kościoła podzielają jego poglądy. Trybunał jednak okazał się twardy na jego wymowę. Nie uznał wprawdzie umyślnej zbrodni bluźnierstwa, ale zawyrokował, że w „Legendach" zawiera się obraza religji (§ 303 austr. kod. karn.), że nawet sam tytuł „Legendy", w zastosowaniu do faktów, uznanych przez Kościół za dogmaty, jest karygodny. Trybunał przeto zatwierdził ponownie konfiskatę „Legend".

Zupełnie naturalne bolesne rozdrażnienie, wywołane w sercach polskich przez sprawę wrzesińską, poczyna, na mocy jakiejś fatalnej logiki objawów psychicznych, wywierać skutki rozumowo trudne do ogarnięcia. Występuje na jaw taki zamęt pojęć, że niekiedy słowo chłodniejszej rozwagi, mające na celu tylko skuteczniejszą samoobronę żywiołu polskiego przed zamachami pruskiemi, poczytywanem bywa przez zaślepione krwawym bólem serca za zaparcie się ideałów narodowych i oddanie się w ręce prześladowców. Oto otrzymaliśmy od jednego z obywateli ziemskich Królestwa list, w którym w zaciekłych i jaskrawych wyrażeniach inkryminowaną jest nam Uwaga z N-ru 10 „Kraju", gdzie *zgodnie z całą prasą wielkopolską* i w myśl odezwy, wydanej przez obywatelstwo wielkopolskie, ostrzegaliśmy młodzież wielkopolską przed niebezpieczeństwem zawierania tajnych związków, w celu uczenia się historji i literatury polskiej, „których znajomość daje się bezwarunkowo osiągnąć i na innej drodze—bez ofiar, a może z pewniejszym skutkiem". Tylko zaślepienie może w tak wyraźnem zdaniu dojrzeć namawianie do zarzucenia tej nauki. Protestowaliśmy przeciwko dekoracjom, zbytecznym przy nauce, w rodzaju protokółów posiedzeń, wyboru prezesów, wice-prezesów i sekretarzy, pieczęci, spisów członków, sprawozdań kasowych — przeciw temu, co wydaje młodzież w chciwe ręce śledcze, nauce nie pomaga. Nie wiadomo, jakim sposobem Uwaga nasza wywołać mogła przypuszczenie, że sprzeciwiamy się kupowaniu podręczników i wymianie zdań pomiędzy uczącymi się, gdy kupno podręczników nie wymaga tworzenia tajnych organizacyj, a wymiana zdań możliwą jest zawsze przy każdem zejściu się kolegów, bez szumnych posiedzeń związkowych i urzędowych protokółów. Uczciwa myśl, która wynikła z obawy, abyśmy własnemi rękoma nie dostarczali broni władzom pruskim, zostaje wykręconą przez umysły, które pod wrażeniem bolesnych wstrząśnień zatra-

ciły zupełnie trzeźwość sądu. Zaiste jest to objaw bardzo smutny—jeden z najsmutniejszych skutków hakaty...

Komitet Sienkiewiczowski, utworzony w celu uczczenia 25-letniej działalności literackiej najznakomitszego z pisarzy naszych, ogłosił w pismach szczegółowe sprawozdanie. Głównym jego zamiarem było zebranie funduszu na dar narodowy dla Sienkiewicza, a cel ten osiągnięty został w zupełności. Jak wiadomo, komitet zbierał te fundusze nie przez subskrypcję publiczną (co było wykluczonem przez władze), ale na tak zw. listy poborowe, rozesłane osobom prywatnym. Na owe listy wpisano przeszło 73 tys. rubli; członkowie komitetu jubileuszowego (w liczbie jedenastu) dodatkowo wnieśli przeszło 3 tys. rb.; nadto w materjałach budowlanych i ruchomościach ofiarowali czciciele talentu Sienkiewicza około 30 tys. rb., tak iż ogólna wartość daru narodowego wynosi pokaźną cyfrę *107 tysięcy rubli*. Za ten fundusz kupiono Sienkiewiczowi głośny już dzisiaj Oblęgorek w gub. kieleckiej, rozszerzono i upiększono rezydencję dworską i zaprowadzono gospodarstwo. Trzeba uznać, że komitet doskonale wywiązał się ze swego zadania.

O agitacji „wszechpolskiej".

Poważne pisma zakordonowe zajęły się rozpatrzeniem objawów istniejącego już od lat kilku w Galicji tak zwanego ruchu wszechpolskiego. Ruch ten na gruncie galicyjskim powstał koło 1895 roku, to jest mniej więcej od czasu, gdy zaczął wychodzić we Lwowie miesięcznik p. t.: «*Przegląd Wszechpolski*»; w kilka lat później pewien odłam młodzieży akademickiej zaczął wydawać w tym samym duchu prowadzoną «*Tekę*», organ, poświęcony sprawom szkolnym. Oprócz tego wychodzi w Galicji pismo ludowe p. t.: «*Polak*» i pismo codzienne «*Wiek XX*».

W duchu tego programu wychodzi również w Berlinie «*Dziennik Berliński*» i w Poznaniu «*Goniec Wielkopolski*». W pewnej mierze do tego samego obozu zaliczyć można i «*Górnoszlązaka*». Program «wszechpolski» przyjęła również wychodząca w Chicago «*Zgoda*».

Genezie tego ruchu poświęciła niedawno kilka trafnych uwag «*Gazeta Narodowa*», stwierdzając jednocześnie, że prócz pracy społecznej, oddawna oczekującej czynnej ręki, otworzyło się teraz w Galicji pole naglącej pracy narodowej.

„My tu w Galicji—pisze wspomniane pismo—mamy w tej mierze duże grzechy zaniedbania. Uzyskawszy wolność rozwoju narodowościowego, zadowolniliśmy się samym tym faktem. Dla pielęgnowania ducha i myśli czyniliśmy przez ostatnie lat dwadzieścia coraz mniej, aż doszło do tego, że zdawało się nam, jakobyśmy spełniali wszystkie obowiązki, urządzając uroczystości pamiątkowe, które teraz odbywają się coraz skromniej i zupełnie już zdane są samej młodzieży".

Jaki był skutek takiego zaniedbania?

„Jak w pracy społecznej wyparli nas socjaliści i radykaliści, tak teraz w pracy narodowej próbują zastąpić nas inni ludzie z zamkniętemi jeszcze przyłbicami, którzy znowu nie budować spokojnie, lecz porwać chcą nas w przepaście, nie wiadomo co w swych głębinach kryć mogące".

Zaznaczając następnie, że, dzięki pewnym okolicznościom, głosy prasy galicyjskiej uważane są zupełnie niesłusznie za głosy całej opinji polskiej — «Gazeta Narodowa» pisze w dalszym ciągu:

„Rozpoczęła się ta akcja, zainicjonowana prawdopodobnie przez ostatnich epigonów walk, nie pojmujących już doby dzisiejszej, nie rozumiejących pracy spokojnej, osiadłych na obczyźnie, a także przez garść fantastów czy mesjanistów, która od wydawanego od kilku lat małego pisemka przybrała nazwę akcji wszechpolskiej. Rozwiniętą także została agitacja ustna, która w Galicji objawiła się na zewnątrz kilka razy nieszczęśliwie, a nawet fatalnie; a że tej nowej agitacji odrazu tamy nie położono, wzmogła się ona, działając na umysły zwłaszcza młode, rozmarzone".

Znalazłszy grunt tak podatny, ruch wszechpolski rozwijał się coraz bardziej: powstał cały szereg pism i pisemek, propagujących nowe hasła z gorliwością, godną lepszej sprawy, i dochodzących w swoich rozumowaniach do ostatnich granic niedorzeczności. Wobec takiego stanu rzeczy «Gazeta Narodowa» stwierdza, że:

„pojawiają się już objawy na zewnątrz, które budzą poważne obawy. To wszystko skutkiem niedbalstwa naszego społeczeństwa niemal nas zaskoczyło".

Ztąd płynie dla prasy galicyjskiej „obowiązek rozwinięcia roztropnej pracy, zwłaszcza tu w Galicji, gdzie już te nawoływania głośno rozbrzmiewają. Ale niedość wskazywać, że głosy te nie są głosami wdzięczności opinji polskiej, niedość wydać jedną lub drugą odezwę, nawołującą do pracy pozytywnej. Jeżeli tej agitacji dawać będzie posłuch tylko garstka młodzieży, już ogromne ztąd mogą być szkody.

„Tej agitacji potrzeba przeciwstawić ogromną pracę narodową i tę pracę z umiłowaniem wziąć w ręce, a tym, którzy wysuwają hasło „pracy nielegalnej", odpowiedzieć, że tylko jawnością możemy stać się silni, a do takiej jawnej pracy tu większe, tam mniejsze, a wreszcie gdzieindziej malutkie tylko jest, ale jest, pole. Z drobnych cegieł budują się olbrzymie gmachy".

Z tego samego założenia wychodzi i «*Czas*», zwracając w szeregu artykułów uwagę całego społeczeństwa na konieczność poznania przeciwnika, ocenienia jego sił i obmyślenia środków obrony. Nie należy bowiem zapominać, że każde pismo staje się z natury rzeczy czynnikiem politycznym, który zawsze wywiera wpływ na stałego czytelnika, dla którego w większości wypadków nie wystarczy napiętnowanie fałszu. Trzeba mu przedewszystkiem udowodnić nieprawdę, wykryć prawdziwe zamiary informatorów, trzeba przemówić do jego rozumu i sprawić, aby wziął górę nad uczuciem i temperamentem. Z tego powodu «Czas» uważa za wskazane zająć się t. zw. «prasą czerwoną» i szerzoną przez jej organy agitacją.

Na wstępie organ krakowskich konserwatystów daje następującą charakterystykę tego odłamu prasy galicyjskiej:

„Mamy na myśli naturalnie tylko prasę polityczną. Uderza na pierwszy rzut oka, że autorowie artykułów i rozpraw, które się tam pojawiają, nie mają doświadczenia politycznego, jeżeli przez politykę rozumieć będziemy dążenie do osiągnięcia politycznych celów za pomocą legalnych publicznych instytucyj. Nawet wówczas, gdy stronnictwa radykalne mają swoich reprezentantów w legislatywie, nie zmieniają oni sposobów swojego działania i, należąc do opozycji, rozwijają taką samą, zupełnie taką samą działalność, jaką uprawiają w prasie. Nie zetknąwszy się z pracą, która wiedzie do rezultatów przez cały labirynt państwowych komplikacyj, która usuwa sprzeczności i konflikty, nie zdają sobie sprawy z trudności, z jakiemi walczyć musi każdy projekt. Cecha ta tłómaczy z jednej strony radykalizm tych stronnictw i ich prasy, z drugiej zaś zupełną abstrakcyjność jej poglądów. Nigdzie nie operuje się w tak wysokim stopniu formułkami, i tylko formułkami, jak właśnie tam. Nie wiadomo, zkąd zrodzone i na czem oparte, formułki te nabierają w lot znaczenia dogmatu, mają udowodnić wszystko, lub wszystko obalić. Raz wszczepiona formułka taka staje się punktem wyjścia wszelkich rozumowań i poglądów i nic nie jest w stanie osłabić jej znaczenia".

Konsekwencją, która z powyższego założenia wynika, jest to, że robota, nie prowadzona za pomocą legalnych publicznych instytucyj, nabiera charakteru roboty nie-publicznej, ze wszelkiemi wynikającemi ztąd skutkami. Drugą cechą, która z tej prasy przebija, jest wysuwanie na pierwszy plan kwestji «uświadomienia narodowego» za pomocą «budzenia ducha» całym szeregiem środków, wyciągniętych z arsenału przeszłości.

W prasie «czerwonej» dają się dziś zauważyć w Galicji dwa odmienne kierunki:

„kierunek socjalistyczny i kierunek, reprezentowany przez „wszechpolskich" narodowców. Wychodzą z zupełnie innych przesłanek, mają zupełnie odrębny charakter, dążą do czego innego, wojują z sobą zawzięcie, a jednak obydwa—z różnych narazie powodów—są zgubne i niebezpieczne. Z brutalną, deprawującą umysłowo i moralnie, międzynarodową socjalną demokracją nie może się pogodzić—rzecz naturalna—idealistyczny, romantyczny „wszechpolski" demokratyzm".

Ale od czasu, kiedy ten ostatni zaczyna już wchodzić w sferę czynu, zatracając zupełnie swój charakter «dydaktyczny», staje się on również niebezpiecznym, jak i socjalizm,

Przechodząc do właściwego programu «Przeglądu Wszechpolskiego», «Czas» robi następującą uwagę:

„Gdyby „wszechpolska" narodowa demokracja ograniczyła się była do zadania, które sobie początkowo postawiła, to jest do narodowego uświadamiania ludności polskiej, i gdyby w tym kierunku dążyła do sformułowania swego programu, uniknęłaby z pewnością wielu bałamuctw i sprzeczności w swoim rzekomym programie. Ambicja jednak stworzenia nowego kierunku politycznego myślenia, współzawodnictwo partyjne, a przedewszystkiem oderwanie od

gruntu realnej pracy, sprawiły, że program ich wybujał po nad miarę, że chwieje się wśród sprzecznych zasad i ani nie łączy ich, ani nie oświadcza się stanowczo tylko za jedną z nich. Widzimy to prawie na każdej kwestji, którą tam od szeregu lat poruszają".

Stojąc na gruncie pracy nielegalnej, musiał określić «Przegląd Wszechpolski» swoje stanowisko do pracy legalnej. Potępić ją z góry, oznaczałoby, rzecz prosta, głoszenie zasady samobójstwa narodowego, z drugiej zaś strony legalizm wyklucza nielegalną drogę postępowania. Jak tu wyjść z tego labiryntu sprzeczności? «Przegląd Wszechpolski» wpadł na pomysł wpływania drogą rozmowy i t. p. na koła ludzi, oddających się pracy legalnej i tym sposobem prowadzenia jej w duchu pracy nielegalnej. Pomysł ten nazywa «Czas» bardzo trafnie «walenrodyczną formą pracy nielegalnej», wykazuje całą jego sprzeczność wewnętrzną i zarzuca wprost «Przeglądowi Wszechpolskiemu», że «*działalność jego jest ciągłą wiwisekcją, dokonywaną na narodzie*», i że «cała ta robota wpadnie prędzej czy później w ręce socjalistów, bo w radykaliźmie licytacja nie ma granic».

«Przegląd Wszechpolski» i pokrewne mu organy, jak «Teka», «Goniec Wielkopolski», «Dziennik Berliński», lub «Wiek XX», wychodzą z założenia, że wszelkiemi siłami należy zwalczać apatję i obojętność ogółu. Ale w jaki sposób? Trzeba ofiar i prześladowań, trzeba łez i majątkowej ruiny. One jedne potrafią wstrząsnąć uśpioną duszą społeczeństwa. W gruncie rzeczy, program ten jest powtórzeniem tylko dawnego zgubnego hasła: «im gorzej tem lepiej».

„Teorja to smutna nad wyraz—zaznacza słusznie „Czas" — bo świadcząca o patologicznym stanie jej twórców i o niezwykłych warunkach, wśród których żyją jej zwolennicy".

A na innem miejscu niemniej trafnie zaznacza, że:

„Cała ta teorja, ze wszystkiemi próbami urzeczywistnienia jej, jest chorobą, jest wypływem psychopatycznego stanu jej twórców i jej zwolenników, a społeczeństwo nasze jest zdrowe i przeciwko tej zakaźnej chorobie odporne.

„Z obowiązku zwracamy uwagę na to jedno więcej gniazdo, zkąd wychodzą zgubne prądy. Ale niebezpieczeństwa, ztąd płynącego, nie przeceniamy. Jest ono w związku z całą niezdrową literaturą, która i u nas miała swoich zwolenników, a jednak minęła i dla przyszłości nie przyniosła poważnej straty. Tak będzie i z tą polityką zmienionego co do formy romantyzmu w teorji.

„Podając ogólną charakterystykę czerwonej prasy, pisaliśmy, że jest abstrakcyjną. Zadawalając się konkretnym rozwojem narodowości, w ciągłej pogoni za napięciem i wytężaniem uczucia, a więc bez celu określonego i konkretnego — bo temperatura uczucia nie jest nim — wisi ta cała teorja w powietrzu, jest krwawym, powrotnym romantyzmem.

„Na takie to manowce schodzi myśl ludzka, gdy ją zaczyna ponosić manja wielkości i ambicja torowania nowych dróg, a gdy brak jej podstaw, jakie daje zdrowie, a zarazem trzeźwość sądu, doświadczenie, oraz zetknięcie z życiem realnem i jego tysiącznemi komplikacjami. Żadna formułka, choćby najsubtelniej zbudowana, nie przyniesie nam zbawienia. Przeciwnie, gdy się dostanie do głów słabych i bałamutnych, jest szkodliwą i zgubną. A cóż dopiero, gdy te formułki nie są ani wykończone, ani logiczne! „Wszechpolska" demokracja twierdzi, że się jeszcze ciągle wyrabia i doskonali. Czy to kształcenie się jednak nie odbywa się za wielkim powszechnym kosztem, niech na to odpowiedzą sumienia jej przewódców!"

W odezwie, zamieszczonej w marcowym zeszycie «Przeglądu Wszechpolskiego» czytamy słowa następujące:

„Bezwładne ciało, poruszone z miejsca, w którem spoczywało, toczy się po pochyłości, dopóki jakiej zapory nie spotka, a bezwładny duch, raz owiany atmosferą ruchu, pędzi ślepo naprzód, niezdolny do świadomego zatrzymania się, gdy to rozum i sumienie publiczne nakazuje".

Przytaczając te słowa, «Czas» pisze od siebie

„nic niema do dodania nad wyrażenie pełnego boleści zdziwienia, że ci, którzy na papierze wygłaszają takie poglądy, w czynach swych, wbrew własnym zamiarom, zbliżają tylko owo ślepe nieszczęście".

Do bezimiennych więc twórców organizacji, do tego powtórnego wydania «niepoprawnych», do garstki chorobliwych doktrynerów odezwać się winno społeczeństwo własnemi ich słowami:

„Co przez wasze organizacje „pragniecie osiągnąć, tego nikt nie wie, bo czyny słabych charakterów nie mają celu". Historja i doświadczenie nie nauczyło was nic, z własnej duszy nie zaczerpnęliście też przekonania, że charakter objawia się właśnie w trudnych i ciężkich warunkach i w ich pokonywaniu, a rozpaczliwe szamotanie się jest tylko dowodem jego słabości".

A na drugiem miejscu dodaje «Czas»:

„To narzucanie się wszechpolskiej demokracji społeczeństwu, mnożenie „organów", propagujących jej poglądy, owo afiszowanie i wywlekanie na światło dzienne jakiejś organizacji, o której sami piszą, że jest tajną, jest najlepszym dowodem słabości i nikłości całego tego rzekomego ruchu politycznego. Organizacja, która ma być — wedle własnych ich zapewnień—tajną, a o której kilkanaście pism przynosi prawie codzień przeróżne wiadomości, której odezwy drukuje się i rozrzuca, taka organizacja potrzebuje widocznie reklamy, aby żyć, i tą reklamą tylko stoi.

„Społeczeństwo polskie ma dosyć odwagi, siły i wyrobienia politycznego, aby tę garstkę mącącą odosobnić, a wszelkie, przez nią tworzone organizacje, choćby jeszcze głośniej szukały reklamy, potępić, społeczeństwo to bowiem pragnie rozwoju i wzrostu, a nauczone doświadczeniem, wie, gdzie szukać dla nich warunków. Nie znaleźliśmy ich i nie znajdziemy w takiej robocie, jaką propagują wszechpolskie dzienniki i przeglądy, bo ona wiedzie za sobą tylko nowy ucisk i nowe prześladowania. Nowych eksperymentów nie myśli nikt rozsądny ani robić, ani też nie będzie patrzył na nie bez stanowczego protestu".

Taki stanowczy protest założył już «*Dziennik Poznański*» przeciwko proroczemu zapałowi «Przeglądu Wszechpolskiego», który niedawno napisał, że:

„jak w bitwie pod Grünwaldem, cały lud polski w państwie pruskiem jednomyślnie powstanie z tęsknotą, ale z prawdziwie chłopską, podziwienia godną cierpliwością, oczekując chwili, w której głośno zabrzmi zwycięzkie hasło: „bijcie psubratów!"

Otóż artykuł ten został przetłómaczony w niemieckiej «Schlesische Zeitung», której dawniejszy redaktor jest obecnie szefem urzędowego biura prasy w pruskiem ministerstwie spraw wewnętrznych, czem się właśnie tłómaczy pojawianie się na łamach tego pisma od czasu do czasu tłómaczeń z polskich pism szowinistycznych.

Zamieszczając ten «niemożliwy, jakby specjalnie dla celów policyjnych pisany» (według słusznego zaznaczenia «Dziennika Poznańskiego») artykuł z «Przeglądu Wszechpolskiego», redakcja «Schlesische Zeitung» opatrzyła go komentarzem następującym:

„Lepszego usprawiedliwienia programu, jaki hrabia Bülow nakreślił dla polityki polskiej rządu pruskiego, jak ten artykuł, nie można chyba sobie pomyśleć".

Słusznie też przeciwko takiej niedźwiedziej przysłudze redakcji «Przeglądu Wszechpolskiego» zaprotestował «Dziennik Poznański»:

„Bardzo wygodnie i bezpiecznie tym panom pisać we Lwowie takie rzeczy i taką pisaninę uważać za szczyt patrjotyzmu, ale skutek jej jedyny jest taki, że ją skwapliwie chwyta policja i śle do tak zw.: „biura prasy" w pruskiem ministerstwie spraw wewnętrznych, jako żywy dowód rewolucyjnych zamiarów polaków w Prusach, choć te głupstwa pisano we Lwowie.

„Protestujemy przeciw temu, żeby na nas zwalano winę i żebyśmy mieli cierpieć na to, że się owym panom we Lwowie w ich „wszechpolskiej" fantazji podoba pisać o nowym Grünwaldzie i: bijcie psubratów!

„Panowie, przestańcie się bawić, bo się źle bawicie. Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie!"

A «*Dziennik Polski*» z tego powodu wypowiedział skromne życzenie:

„ażeby zbyt gorączkowa redakcja „Przeglądu Wszechpolskiego" zechciała uwierzyć, iż obok patrjotyzmu koniecznym jest również w publicystyce—rozsądek".

PRASA ROSYJSKA.

CHARAKTERYSTYKA A. P. ROGOWICZA.

W «Graždaninie» ukazała się charakterystyka b. gubernatora kowieńskiego, A. P. Rogowicza, powołanego obecnie na stanowisko dyrektora departamentu spraw ogólnych w ministerstwie spraw wewnętrznych. W charakterystyce tej znajdujemy uwagi o stanie rzeczy w gub. kowieńskiej.

„Przez takt wrodzony i serdeczność swoją A. P. Rogowicz osiągał piękne rezultaty w sprawie łagodzenia różnych nierówności i usuwania „przeklętych" kwestyj i incydentów, w które przeszłość niedawna naszych kresów tak bardzo obfitowała, a którym w prasie i wśród publiczności częstokroć na-

dawano złowieszcze polityczne znaczenie. Dziś złośliwi milkną, niezadowoleni uspokoili się, swarliwi godzą się".

Autor sądzi, że działalność A. P. Rogowicza wpłynęła niezmiernie na zmianę usposobienia miejscowej szlachty i duchowieństwa.

„Słychana-ż to była dotąd rzecz?—w miejscowem Tow. rolniczem, zorganizowanem także przez bardzo godnego rosjanina, marszałka szlachty P. A. Stołypina, obywatele polacy i litwini wygłaszają obszerne referaty i prowadzą rozprawy w języku *rosyjskim*. Duchowieństwo katolickie, niegdyś dostarczające tyle kłopotów administracji, boć w licznej jego rodzinie (600 osób) zawsze zdarzać się musiały „wyrodki", oczywiście godzić się poczyna, przynajmniej u nas, z ideą rosyjskiej państwowości. Łaska Monarsza w formie zniesienia pewnych praw ograniczających w stosunku do duchowieństwa i obywateli-katolików (zniesienie zakazu stawiania nowych krzyżów na drogach, zniesienie podatku kontrybucyjnego), uprzejmość i takt wyższej administracji w guberni, poruszyły „dobre uczucia" i w duchownych. Już dawniej duchowieństwo katolickie zbierało dziesiątki tysięcy dla chorych i rannych żołnierzy rosyjskich, a obecnie, przed wyjazdem A. P. Rogowicza, miejscowa szlachta w kilka dni zebrała przeszło 4 tys. rb., a duchowieństwo katolickie około 2 tys. rb. na stypendja imienia sprawiedliwego i humanitarnego naczelnika guberni. Jak chcecie—jest to objaw znamienny!"

Artykuł kończy się następującemi słowami:

„Dawajcie nam więcej i częściej tego rodzaju „rusyfikatorów", jak pp. Rogowicze, Suchodolscy (dawniejszy gubernator kowieński) i Stołypinowie, ludzi z umysłem światłym i dobrem sercem—a na granicy z *dobrze* życzącymi nam sąsiadami - niemcami miljony swarliwych i niezadowolonych inowierców i obcoplemieńców, których dawniej to drażniono, to zastraszano, nabędą ufności względem nas, zleją się z nami w idei państwowej i „Carskim nieprzyjaciołom sił ubędzie".

Wywody «Graždanina», który niedawno zwracał także uwagę na spokój, panujący w gub. wileńskiej, stanowią pod pewnym względem przeciwwagę innych głosów prasy rosyjskiej, stale upatrującej w tych guberniach ferment niepokoju i przypisującej nawet towarzystwom rolniczym jakieś tendencje polityczne.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Urzędowe.

× Ukazał się następujący komunikat «Rosyjskiej Ajencji telegraficznej»: «W jednym z ostatnich numerów dziennika «Times» umieszczono wiadomość, że przedstawiciele Anglji, Japonji oraz północno-amerykańskich Stanów Zjednoczonych zawczasu zostali uprzedzeni o ugodzie *w zakresie spraw mandżurskich*, zawartej między Rosją a Chinami. Wiadomości tej nie należy nadawać znaczenia, ponieważ przytoczony przez «Times» tekst ugody zawiera niedokładności wyraźnie tendencyjne. Według informacyj wiarogodnych, oryginał ugody będzie niebawem ogłoszony».

× W «Prawit. Wiestniku» ogłoszono następujący ukaz Najwyższy do Senatu rządzącego z d. 21 marca (3 kwietnia): «Wileńskiego biskupa rzymsko-katolickiego *Stefana Zwierowicza* zwalniamy ze stanowiska».

× W «Prawit. Wiestn.» ogłoszono następujący komunikat urzędowy: «Większość osób, winnych przygotowania *zaburzeń* z d. 9 i 17 lutego r. b. w Moskwie i uczestniczenia w tych zaburzeniach, została, na zasadzie rozkazu Najwyższego, skazana na karę zamknięcia w więzieniu i na miejsce odbycia tej kary zostało wyznaczone tymczasowe więzienie w Archangielsku. Przed wywiezieniem do Archangielska, uwięzione osoby trzymane są w etapowem więzieniu w Moskwie; ich postępowanie, wyrażające się gwałtami, nieposłuszeństwem względem przepisów więziennych i naruszeniem karności, dowodzi, iż nagromadzenie tak znacznej liczby osób na dość długi względnie okres czasu w jednem więzieniu może pociągnąć za sobą skutki bynajmniej niepożądane, które znowu mogą sprowadzić konieczność zastosowania środków nadzwyczajnych. Wskutek tego, oraz przez wzgląd na zabezpieczenie zarówno oddzielnych więźniów od szkodliwego wpływu ich towarzyszy, jako też porządków więziennych, Jego Cesarskiej Mości spodobało się Najwyżej rozkazać, aby pierwotny zamiar zgromadzenia wszystkich skazanych na zamknięcie osób w więzieniu archangielskiem, zastąpić rozmieszczeniem ich na czas kary niewielkiemi grupami w więzieniach różnych miast w państwie.

× Rząd rosyjski zezwolił Bankowi dyskontowo-pożyczkowemu *w Persji* na kupno *nowej pożyczki* w sumie 10 milj. rb., zaciąganej przez Persję na zastaw dochodów celnych i na warunkach tych samych, co i pożyczka z r. 1990, w sumie 22½ milj. rb.

× Ogłoszony został rozkaz zarządzającego ministerstwem marynarki, adm. Tyrtowa, zalecający, aby *dowódcy okrętów* oszczędnie wydawali zagranicą pieniądze na zaopatrywanie statków w różne potrzeby, i żeby pamiętali, iż pieniądze te powinny być używane na pożytek samego państwa, nie zaś «na wzbogacenie cudzoziemców».

Ogólne.

×× Dowiadujemy się, że projekt organizacji emerytalnych kas górniczych w Królestwie został ostatecznie przez Radę państwa zatwierdzony.

×× Dowiadujemy się, że primadonna opery Cesarskiej w Petersburgu, p. Adelajda Bolska (hr. Szczawińska-Brochocka), mianowaną została solistką Jego Cesarskiej Mości. Hr. Brochocka miała szczęście przedstawiać się Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu.

× W połowie kwietnia—jak donoszą pisma — w departamencie gospodarczym ministerstwa spraw wewnętrznych zaczną się narady komisji w sprawie *reorganizacji zarządów miejskich* w Królestwie Polskiem.

× Zamykając *zjazd rękodzielniczy*, minister rolnictwa, z powodu uchylenia przez prezesa zjazdu kilku spraw, jako nie mających związku z zadaniami zjazdu, wyraził się, że «poruszanie takich spraw nie dziwi go: życie wogólności trudno bowiem wtłoczyć w jakieś ramki określone». Gdy te słowa zostały wygłoszone, rozległy się—jak donosi «Graždanin» – burzliwe oklaski zgromadzonych.

W Petersburgu.

= **Osobiste.** Bawili w Petersburgu, w charakterze przedstawicieli z Królestwa na zjazd techników i wytwórców cementu, pp.: Bol. Eiger, Gust. Kamiński i Jerzy Majer. Ks. Hieronim Drucki-Lubecki, członek rady Tow. roln. mińskiego i delegat tegoż Tow. na zjazd przedstawicieli przemysłu domowego, po parotygodniowym pobycie w Petersburgu, wyjechał do Mińska. Bawią w Petersburgu artyści - malarze: W. Kotarbiński, Włodz. Nałęcz, E. Lilien. Jan Rosen, po trzytygodniowym pobycie nad Newą, opuścił nasze miasto.

= **Pułk. Marchand,** znany bohater Faszody, wracając z dalekiego Wschodu do Francji, zatrzymał się na dni kilka w Petersburgu. Przedstawił się ministrowi wojny i był gościnnie podejmowany przez sfery dworskie, wojskowe i towarzyskie.

= **Nauka bezpłatna.** Komisja, opracowująca program uroczystości jubileuszowych na pamiątkę dwóchsetlecia Petersburga oświadczyła się za tem, aby od r. 1903 wykształcenie elementarne w Petersburgu udzielane było bezpłatnie. Wniosek ten ma być podany do zatwierdzenia Radzie miejskiej.

= **Nowy kościół.** Petersburska Rada miejska wyznaczyła pod katolicki kościół francuzki miejsce w ogrodzie Inżynierskim w pobliżu cyrku. Plac ten ofiarowało miasto bezpłatnie. Założenie fundamentów kościoła odbędzie się zapewne w początkach maja w obecności prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej.

= **Wystawę ilustracyj** do dzieł H. Sienkiewicza, otwartą w gmachu Pasażu, raczył zwiedzić J. C. W. W. Ks. Konstanty Konstantynowicz. Pisma petersburskie w ogólności z wielkiem uznaniem odzywają się o tej wystawie, choć niektóre zapatrują się na nią z oryginalnego punktu widzenia. Tak np. „Pietierb. Listok" pisze: „W ogólności wystawa jest interesująca dla naszej publiczności, ponieważ na niej można zobaczyć naocznie całą wspaniałość, piękność i swawolę magnatów polskich i „wielmożnych panów", z czasów świetności i największego rozkwitu potęgi państwa polskiego".

= **Wystawa gemm.** W Pasażu otwarta została w zeszłym tygodniu wystawa „gemm", czyli drogich kamieni z artystycznemi rzeźbami, znalezionych na południu Rosji przez znanego archeologa p. Kibalczica. Wystawione przedmioty, w liczbie tysiąca, pochodzą z pierwszych wieków chrześcijaństwa oraz z czasów starogreckich.

= **Z Lutni.** W sobotę d. 30 b. m. odbędzie się ostatni w sezonie koncert z udziałem najlepszych naszych artystów, śpiewaczki p. Miry Heller, solisty J. C. M. prof. Wierzbiłłowicza, młodego pianisty p. Lalewicza i innych. Po koncercie solistów popisywać się będzie orkiestra ludowa z Kieleckiego. Usłyszymy więc szereg utworów narodowych Noskowskiego, Namysłowskiego, Ogińskiego, Gawrońskiego.

= **Na dochód młodzieży.** W przyszły wtorek, 2 kwietnia, p. Bolesławski daje w sali Pawłowej, przy ulicy Troickiej, przedstawienie na dochód Kółka pomocy uczącej się młodzieży, istniejącego przy tutejszem Towarzystwie dobroczynności. Odegraną będzie pięcioaktowa komedja J. Szutkiewicza „Popychadło", ciesząca się wielkiem powodzeniem na scenach polskich. Bilety są do nabycia w księgarni K. Grendyszyńskiego (ul. Jekaterynińska 2).

= **Dzieci dla dzieci.** Pod tem hasłem d. 25 marca (7 kwietnia) w sali Kononowa głównie staraniem p. L. Piekarskiej, zostało urządzone przedstawienie amatorskie na rzecz kolonij letnich katolickiego Tow. dobroczynności. Artystami-amatorami były wyłącznie dzieci, które pod umiejętnem kierownictwem p. Lewestama wyuczyły się ról wybornie. Dano trzy sztuczki jednoaktowe: „Zamieńmy się", „Kajtuś plotkarz" i „Dobra wróżka". a nadto chór dzieci wykonał szereg piosnek. W antraktach dziatwa słuchała z zachwytem dźwięków włościańskiej kapeli z gub. kieleckiej, która dziarsko wygrywała wszelkie tańce polskie, przyśpiewując sobie przy mazurze. Zabawa udała się wyśmienicie; dochód czysty wynosi przeszło 400 rubli, za które spory zastęp ubogiej dziatwy miejskiej odetchnie w lecie świeżem powietrzem na wsi.

= **Teatr polski.** Serję przedstawień bieżącego tygodnia otworzono wesołą komedją „Mąż z grzeczności". Miał w tej sztuce pole do popisu w roli tytułowej bardzo uzdolniony artysta komedji p. Pawłowski, przerzucając się od dobrze odegranej potulności do hazardownego zuchwalstwa. Wyborną partnerką jego w tej roli była p. M. Sznage w roli żony, wziętej z grzeczności. Na tle komedji przewijały się żywo odegrane postacie ckliwej starej panny (Micińska), pretensjonalnej teściowej (Konarska) butnego kapitana (Szymborski), służbisty Wojtka (Orliński). Jedna z najlepszych fars polskich, dorównywająca najzręczniejszym w tym rodzaju francuzkim i niemieckim, „Żołnierz królowej Madagaskaru" nie przyciągnął nazajutrz wiele publiczności; ale ubawił mocno tych, którzy się stawili. Talent p. M. Sznage dokonał w tej sztuce zgrabnego *salto mortale*, bo artystka, ku zdziwieniu widzów mało ją znających, od ról naiwnych dziewczątek przeszła do roli baletnicy w szeregu zabawnych póz. Moralistą o spojrzeniu kota, „cnotliwym mecenasem z Radomia", Mazurkiewiczem, uwiedzionym przez baletnicę, był zawsze charakterystyczny p. Szymborski. Bardzo figlarnym synem wesołego ojczulka okazała się p. Łącka-Pawłowska, szczęśliwie wyrabiająca się młoda artystka. Pomiędzy trupą p. Bolesławskiego a publicznością nawiązuje się coraz więcej sympatycznych nici, o czem świadczy deszcz kwiatów, któremi zasypano wszystkich artystów na poniedziałkowem przedstawieniu.

= **Z teatrów i widowisk.** Znakomita śpiewaczka p. Olimpja Boronat, w piątek 29 b. m. kończy swoje występy w wielkiej sali Konserwatorjum. Na pożegnalny benefis, stosownie do żądania publiczności, wybrano „Cyrulika Sewilskiego", w którym partnerem benefisantki będzie Mazini. Pani Bolska, primadonna opery Cesarskiej, nowomianowana solistka Jego Cesarskiej Mości, na początku przyszłego tygodnia wyjeżdża do Wilna, gdzie we czwartek 4 (17) kwietnia, wystąpi z własnym koncertem wespół z utalentowanym pianistą p. Jerzym Lalewiczem. Z Wilna p. Bolska, która jest członkiem komitetu budowy pomnika Chopina, udaje się do Warszawy na posiedzenia komitetowe, poczem wraca do Paryża. Prostując mylnie podaną w „Kraju" wiadomość, nadmieniamy, że w koncercie dobroczynnym w salonach von Derwiza d. 15 b. m. zaszczyconym obecnością Najjaśniejszych Państwa—brali udział: pani Bolska, panna Klemens (pianistka) i p. Butkiewicz, wiolonczelista, nie zaś p. Budkiewiczowa, artystka opery Cesarskiej.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Z TYGODNIA.

Malowniczy Orjent turecki przypomina się coraz częściej Europie zaburzeniami i melodramatami rewolucyjno-zbójeckiemi. W ogniu agitacji powstańczej stoi już nietylko Macedonja, ale i sąsiednia Albanja, a w Starej Serbji dzieją się gwałty i staczają się bitwy formalne. Plemię albańskie mirydytów uruchomiło się i zajęło posterunkami zbrojnemi cały obszar od Skodry do Prizrenu, poddając kraj swojej władzy i biorąc do niewoli całe oddziały wojsk regularnych tureckich. W wilajecie Janiny powstanie rozpowszechnia się błyskawicznie. W samej Janinie wojsko tureckie, nie otrzymujące od wieków ani żołdu, ani ubrania, ani obuwia, stanęło w otwartym rokoszu, dla którego stłumienia komendant był zmuszony przyaresztować skarb wilajetu i uwięzić skarbnika. Czarnogóra wzmacnia posterunki na granicy. Z Cetynji idzie wieść o rzekomej umowie austro-włoskiej co do wspólnej przez wojska obu mocarstw okupacji Albanji i o przygotowaniach do wymarszu załóg austrjackich w Bośnji i Hercogowinie. Prasa przebąkuje coś o możliwości skierowania oddziałów armji austro-węgierskiej do Starej Serbji, gdzie panuje anarchja zupełna, wśród której przywódcy oddziałów zbrojnych muzułmańskich mordują ludność chrześcjańską i zapuszczają się nawet w granice królestwa serbskiego. Do miasta Nowego Bazaru wtargnęła niedawno banda kilkuset albańczyków i rozgospodarowała się tam po swojemu. Serbowie płacą turkom pięknem za nadobne, i oddziały junaków pustoszą osady muzułmańskie, nie szczędząc nikogo. Z powodu formowania się tych oddziałów w Serbji, przedstawiciele Rosji i Austro-Węgier mieli poczynić w Belgradzie stosowne przedstawienia.

Cokolwiek mówią i piszą, że sprawa wschodnio-turecka stała się dziś z politycznej czysto ekonomiczną, że współzawodniczącym w Stambule państwom chodzi nietyle o zwycięztwo dyplomatyczne, ile o koncesje kolejowe i inne dla ich poddanych — koloryt polityczny nietylko nie zdaje się w sprawie tej zanikać, ale w czasach ostatnich nabiera szczególnej jaskrawości. Zaniepokoił się nawet sułtan Abdul-Hamid, który dotąd drżał tylko o siebie, nie zaś o Turcję samą. Wydano z Ildiz-Kiosku rozkaz utworzenia w ministerstwie wojny departamentu mobilizacyjnego, zarząd zaś marynarki tureckiej otrzymał polecenie przyśpieszenia zmiany uzbrojenia floty i budowy nowych torpedowców i krzyżowców. Porta otomańska poczyniła przedstawienia w Kwirynale co do zbytniej ciekawości, jaką odznaczają się marynarze włoscy w zakresie badań nad linją brzegową Trypolitanji. Rząd włoski rozumie się, dał jaknajbardziej stanowcze zapewnienia, że o wyprawie na wybrzeża Afryki tureckiej nie myśli i nawet przez półurzędową «Tribunę» ogłosił to całemu światu.

Kanclerz niemiecki podróżuje. Zatrzymał się na krótko w Innsbruku, zkąd ruszył dalej nie wprost na Monachjum, ale na Wiedeń. Hr. Gołuchowski będzie miał przyjemność spędzenia ze swym kolegą nadsprewskim dłuższych *tête à tête*. Po dworach państw Rzeszy niemieckiej podróżuje hr. Posadowsky, podobno w zamiarze wytłómaczenia ich kierownikom, że dalsze ustępstwa dla ligi agrarnej nic nikomu nie zaszkodzą i są konieczne ze względu na potęgę i «patrjotyzm» tego stowarzyszenia. Ale ani w Monachjum, ani w Sztuttgardzie uwagi hr. Posadowskiego nie znalazły posłuchu—odjechał przeto z kwitkiem.

Zbliżają się dwie uroczystości. W Londynie koronować się będzie w czerwcu król Edward VII, władca największego, tak pod względem obszaru jaki zaludnienia państwa na naszym globie, a nieco wcześniej w Madrycie obejmie ster rządów młodociany król Alfons XIII, dziedzic korony owego Filipa II, w którego państwach słońce nigdy nie zachodziło, jak dziś nie zachodzi w posiadłościach angielskich. Jest w tem zestawieniu jakaś myśl dziejowa i wskazówka tem widoczniejsza, że jak niegdyś kruszyć się zaczęła potęga hiszpańska o opór holendrów, tak dziś upór ich potomków afrykańskich więzi całą armję angielską w Oranje i Transwaalu. Tylko, że historja rzadko się powtarza, a anglicy mają doświadczenie przeszłości i zmysł praktyczny i wiedzą, że po złożeniu broni, trzeba dać boerom samorząd jaknajszerszy i utworzyć wolną federację kolonij afrykańskich, gdzie obie rasy mogłyby żyć i rozwijać się duchowo i materjalnie obok siebie. Nawet zmarły Cecil Rhodes mawiał, że gdyby kiedykolwiek stał się pierwszym ministrem przyszłej federacji, miałby zawsze teki ministerjalne dla Stejna, Deweta i Bothy.

J. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francja. W Paryżu rozeszła się pogłoska o zamachu na prezydenta Loubeta. Okazało się, że pewien urzędnik, chory na umyśle, zbliżył się na dworcu kolejowym do prezydenta i oświadczył, że żąda sprawiedliwości. Aresztowano go i w kieszeni znaleziono rewolwer, i to dało powód do pogłoski o zamachu.

Anglja. Z Irlandji donoszą, że nieporozumienia między angielskiemi posiadaczami ziemi i fermerami irlandzkiemi, tudzież uwięzienie organizatorów związku irlandzkiego wywołały wrzenie wprost rewolucyjnego charakteru. — Zmarły niedawno Cecil Rhodes zapisał około 60 milj. rb. „na cele pożyteczne dla imperjum brytańskiego" i około 20 milj. rb. na wielką liczbę stypendjów w uniwersytecie oxfordzkim dla studentów z kolonij angielskich i z Ameryki. W artykule dodatkowym Rhodes utworzył 15 stypendjów w Oxfordzie dla studentów z Niemiec, uzasadniając ten zapis tem, że zgoda pomiędzy Anglją, Niemcami i Ameryką zapewnia pokój wszechświatowy. Nawet przeciwnicy Rhodesa oświadczają, że dowiódł on prawdziwej miłości ojczyzny, i że zebrał swój olbrzymi fundusz dla wielkich patrjotycznych celów.

Austrja. Stan oblężenia i środki wyjątkowe, zastosowane do Trjestu, rozporządzeniem ministerjalnem zostały zniesione.

Belgja. W Brukseli w Banku narodowym nastąpiła eksplozja bomby. Z ludzi nikt nie ucierpiał; przestępca dotąd nie wykryty.

Hiszpanja. Z powodu zbliżającego się przyjścia króla Alfonsa do pełnoletności, królowa-regentka wysyła do Ojca św. osob-

ne poselstwo, celem podziękowania mu za moralne poparcie dynastji w czasie małoletności króla, tudzież wręczenia mu kosztownych upominków. Program nowego gabinetu Sagasty zapewnia, że dekret o kongregacjach będzie utrzymany i wykonany. Ojciec św. poczynił swoje zastrzeżenia przeciw niemu, wszakże prawa państwa muszą być zawarowane. Rząd zajmie się kwestją socjalną w zamiarze ustawodawczego uregulowania stosunku kapitału do pracy.

Turcja. Nadchodzą wiadomości, że ruch rewolucyjny w rozmaitych wilajetach Albanji gwałtownie wzrasta. Prasa wiedeńska radzi w razie konieczności obsadzić Albanję wojskami austrjackiemi. Poseł rosyjski Zinowjew zaproponował Porcie zarządzenie energicznych środków przeciw niespokojnym żywiołom, ale równocześnie oszczędzanie ludności spokojnej. Z Berlina donoszą, że w tamecznych sferach rządowych śledzą bez głębszego zaniepokojenia ruch w Bałkanach, utrzymując, że nie jest on silniejszy, jak zwykle na wiosnę. Spokojniejszym być można tem bardziej, że Porta postanowiła stłumić siłą zbrojną wszelkie objawy ducha rewolucyjnego w Macedonji, a mocarstwa gotowe są poprzeć ją w tych zamiarach.

Transwaal. Minister Balfour oświadczył w Izbie gmin, że nic nie może zakomunikować w sprawie pertraktacyj pokojowych z boerami. Angielski sąd wojenny skazał na rozstrzelanie dwóch oficerów angielskich za nieprawne rozstrzelanie dziesięciu boerów. Angielski oddział wywiadowczy, pod dowództwem brata Kitchenera, napadł na boerów około rzeki Hart. Boerzy otrzymali posiłki i następnie uderzyli na anglików. Wtedy oddział angielski szybko się okopał. Odbyła się zacięta bitwa, w której obie strony poniosły znaczne straty, lecz żadna nie może przypisać sobie zwycięztwa.

Japonja. Korespondent „Now. Wr." donosi z Tokjo, że od czasu opublikowania odpowiedzi franko-rosyjskiej na porozumienie anglo-japońskie, prasa japońska z pewną trwogą omawiała notę rosyjską. Niektóre pisma, uganiające się za popularnością, dostrzegły w niej kapitulacji przed sojuszem anglo-japońskim. Po za tem dzienniki japońskie interesują się postawą, jaką zajmą Niemcy w tej sprawie. Obecnie jednak w tych dziennikach, zapewne z nakazu rządowego, kwestja traktowaną jest oględniej, niż przedtem.

KRONIKA.

Kościół i duchowieństwo.

* **Z Włocławka** donoszą „Przeglądowi Katolickiemu": „W dniu 18 marca kapituła z dziesięciu osób zebrana, gdyż kan. Rożniewski i Pawłowski przybyć nie mogli dla słabości zdrowia, po mszy o Duchu św., jednomyślnie na wikarjusza kapitulnego obrała J. E. ks. biskupa Henryka Kossowskiego, sufragana i dotychczasowego oficjała jeneralnego, dla głębokiej nauki i cnót kapłańskich, przez duchowieństwo djecezji wielce poważanego. Nie długo wszakże przyjdzie mu dźwigać ten ciężar, gdyż, jak słychać, wyznaczony już jest kapłan z odpowiedniemi przymiotami dla objęcia wysokiej godności pasterza djecezji". O porządku, w jakim odbyło się ustąpienie z urzędu ks. biskupa Bereśniewicza, „Przegląd Katolicki" donosi: „Prośba biskupa Bereśniewicza o zwolnienie go dla słabości zdrowia z obowiązków pasterza djecezji, wysłana do Stolicy Apostolskiej, nosi datę 11 listopada 1901 r.; przyjęcie rezygnacji przez Ojca św. nastąpiło 3 lutego r. b., a ukaz Cesarski w d. 14 (27) lutego, t. j. w 43 rocznicę odebrania konsekracji biskupiej, która miała miejsce w Petersburgu 27 lutego 1859 r.; złożenie zaś obowiązków pasterza odbyło się d. 15 marca r. b., w samą rocznicę prekonizowania go biskupem kujawskim, co było 15 marca 1883 r.".

* Z niewiadomych przyczyn **spalił się we Władywostoku kościół katolicki.** Gazeta miejscowa „Wostocznyj Wiestnik" powiada, że wśród parafji katolickiej panuje z tego powodu silne rozgoryczenie, wielu oskarża księdza o brak czujności i należytego nadzoru nad świątynią. W zgliszczach szukano resztek drogocennych sprzętów, kielichów, krzyżów srebrnych i t. d., lecz niczego nie znaleziono. Istnieje wobec tego przypuszczenie, że kościół najpierw okradziono, a potem podpalono. W d. 10 lutego odbyło się zgromadzenie parafjan, celem wynalezienia środków na budowę nowej świątyni.

* Z rozporządzenia J. E. ks. arcybiskupa Kłopotowskiego, **rekolekcje dla młodzieży** w kościele św. Katarzyny w Petersburgu odbędą się w następującym porządku: 7 *kwietnia* o godz. 2 i pół nauka; hymn „*Veni Creator*"; *8 i 9 kwietnia* o godz. 9 i pół rozmyślanie, msza św., nauka, różaniec przed wystawionym Najśw. Sakramentem, błogosławieństwo; o godz. 4 i pół rozmyślanie, nauka, rachunek sumienia, psalm „Przed oczy Twoje" przed wystawionym Najśw. Sakramentem, błogosławieństwo. *10 kwietnia* o godz. 9 msze św. i komunja. Naukę ostatnią po komunji wygłosi J. E. ks. arcypasterz.

* Ks. arcybiskup **Hryniewiecki**, który w ubiegłym miesiącu za poradą lekarzy wyjechał był na Południe, bawił z początkiem z. m. w Kairze, następnie wyjechał do Port-Said, gdzie przepędził święta Wielkanocne, obecnie zaś przebywa w Jerozolimie.

* W Warszawie zmarł ś. p. ks. Ignacy **Domagalski**, kanonik katedralny warszawski, który w r. 1862 został regensem konsystorza warszawskiego, a następnie był sędzią-surogatem.

* Papież wydał dekret apostolski, zatwierdzający ostatecznie regułę i **zakon oo. Zmartwychwstańców.** Dotąd oo. Zmartwychwstańcy byli tylko zgromadzeniem, a nie zakonem.

* Według statystyki urzędowej jest na całym świecie **251,510 księży katolickich**, 109,049 zakonników i 457,660 zakonnic.

Prawo i sądy.

** Na ogólnem zgromadzeniu Senatu w tych dniach zapadła decyzja, iż przedawnienie dotyczy także gruntów miejskich.

** W sprawie małżonków Myszkowskich Senat wyjaśnił, iż **urząd hipoteczny** nie ma prawa decydować, czy suma zarejestrowanej **hipoteki prawnej** jest słuszną, oraz rozpoznawać żądania o zmniejszeniu tej sumy. Sprawy tego rodziaju podlegają kompetencji sądu.

** W sprawie Wańkowskiego Senat wyjaśnił, iż **zagrodzenie komukolwiek jazdy** i nie dawanie się wyminąć na szosie publicznej, pomimo próśb o ustąpienie drogi, ma charakter występku, przewidzianego w art. 142 ust. karnej.

** W sprawie Mordkowicza Senat wyjaśnił niedawno, iż zgoda wierzyciela na **szacunek zastawionego majątku** nie ma dla niego znaczenia zobowiązania się do przyjęcia majątku w sumie szacunku, i że wierzyciel ma zawsze prawo, w razie nie dojścia do skutku licytacji, zatrzymać majątek w sumie zastawu, chociażby przedtem był przystał na wyższy szacunek majątku dla licytacji.

** Niedawno w sprawie hr. Grabowskiego z administracją Ignatjewowej, Senat orzekł, że **wierzyciel**, który po wystawieniu na sprzedaż majątku zastawionego objął administrację jego do chwili licytacji, **ma prawo żądać eksmisji** z majątku właściciela.

Szkoły i młodzież.

*** Podkomisja pod przewodnictwem kuratora Anrepa do **reformy szkół średnich**, uchwaliła, że nowe szkoły powinny zatrzymać nazwę gimnazjów, i wyraziła zdanie, że ćwiczenia fizyczne winny odbywać się codziennie oraz, że lekarze winni korzystać z praw członków rad szkolnych i kierować wychowaniem fizycznem młodzieży. Na śpiew przeznaczono pół godziny, dwa razy na tydzień. Celem głównym jest kształcić podrastające pokolenia w duchu szczerze religijnym i narodowo-rosyjskim, to też należy utworzyć w każdej klasie chór do śpiewania pieśni patrjotycznych i narodowych rosyjskich. Szkoła winna pomagać rodzicom w kształceniu dzieci w muzyce; nauczanie pracy ręcznej zalecono w gimnazjach, posiadających pensjonaty.

*** W celu przygotowania lekarzy weterynarji, pragnących wstąpić do służby wojskowej, jak donosi „Warszawskij Dniewn.", zamierzono, na wzór Niemiec, urządzić wkrótce **instytut wojskowo-weterynaryjny** z kursem półrocznym, gdzie będą przyjmowani weterynarze pragnący poświęcić się służbie w armji. W instytucie tym wykładane będą: administracja, prawoznawstwo, kucie, postawa zewnętrzna i jazda konna.

*** W niektórych gimnajach warszawskich, jak donosi „Gazeta Polska", zwierzchność szkolna odczytała uczniom treść nowych przepisów, dotyczących **promowania do klas wyższych.** Uprzedzono młodzież, iż uczniowie, czyniący słabsze postępy w pewnych przedmiotach, będą mieli zadawane ćwiczenia na czas feryj letnich.

*** Wydział rolniczy na uniwersytecie w Halli ukończył p. Jan **Strawiński** z gub. grodzieńskiej.

BIURO INFORMACYJNE

PRZY REDAKCJI „KRAJU"

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

1122. *(W. dr. Choc. w Choł).* Sprawa reformy zarządu do spraw ziemskich w 9 guberniach Kraju zachodniego załatwioną obecnie została w t. zw. „Sojedinionnom prisutstwji" (radzie połączonej) 4 departamentów Rady państwa, a mianowicie: „praw", „ekonomji państwowej", „spraw cywilnych i duchownych", oraz „przemysłu, nauk i handlu". Za 2—3 tygodnie projekt wniesiony zostanie na „ogólne zebranie" członków Rady państwa, w którem biorą udział wszyscy członkowie Rady, zarówno zasiadający w departamentach, jak i nie zasiadający, oraz wszyscy ministrowie. Wszystkich członków Rady państwa jest obecnie 72 (do grona ich świeżo został zaliczony ks. Aleksander Oboleński, b. pomocnik warszawskiego jen. gubernatora, a brat ks. Aleksieja, b. towarzysza ministra spraw wewnętrznych), z nich zasiada w departamentach 33. Prezesem Rady państwa jest J. C. W. W. Książę Michał Mikołajewicz. Prezesowie i członkowie departamentów bywają co rok wyznaczani przez Najjaśniejszego Pana. Skład osobisty departamentów na r. b. podaliśmy w N-rze 1.

1123. *(W. St. Ł. w Gr.).* O ile słyszeliśmy, z trzech projektów normy wytwórczości gorzelnianej, przedstawionych na zjeździe właścicieli gorzelni (15, 17½ i 20 tys. wiader), największe szanse ma projekt średni — 17½ tys. wiader. Pomysły i projekty co do denaturalizacji i technicznego zastosowania spirytusu, które wywołały szereg zastrzeżeń ze strony prezesa zjazdu, r. t. Kokowcewa, znalazły bardzo przychylne przyjęcie u ministra skarbu S. J. Wittego. Ma być ogłoszona nagroda 100 tys. rb. na wynalezienie najlepszego systemu denaturalizacji.

1115. *(W. Sam. w Rad.).* Mimo starań, nie zdołaliśmy dowiedzieć się, jak stoi sprawa, którą sz. pan w liście swym porusza.

1124. *(W. W. w Tam.).* Niech sz. pan zwróci się do miejscowego adwokata.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZYNY.

W Warszawie w kościele św. Józefa Oblubieńca pobłogosławiony został związek małżeński, zawarty między Włodzimierzem **hr. Olizarem**, inżynierem, synem Zygmunta i Jadwigi z Bohdanowiczów, a panną Urszulą **Andrychiewiczówną**, córką ś. p. Władysława Andrychiewicza, b. dyrektora Towarzystwa ubezpieczeń „Przezorność", i Marceli z Odrowąż-Pieniążków.

W dniu 1 kwietnia w kościele św. Ducha w Warszawie ks. rektor Zygmunt Chełmicki pobłogosławił związek małżeński p. Stanisława **Boguckiego**, utalentowanego artysty-śpiewaka z teatru „Nowości", z panną Różą **Rapacką**, najmłodszą córką p. Wincentego Rapackiego, artysty dramatu.

P. Zygmunt **Radwan**, syn Władysława i Zofji z Sobieskich, zaręczył się z panną Lilą **Wertheim**, córką jeneralnego konsula per kiego w Warszawie i znanego przemysłowca p. Piotra Wertheima i małżonki jego, Aleksandry z Leów.

DONIESIENIA.

Wystawa obrazów

do powieści

Henryka Sienkiewicza

otwarta codziennie od godziny 10-tej rano do 10 wieczór

w **PASSAŻU**, 3 piętro, Newski prosp.,

wejście na wystawę 45 kop., dla uczących się 20 kop., w poniedziałki wejście 1 rb.

Dr. Leon Kryński,

profesor chirurgji uniwersytetu Krakowskiego, mieszka przy ul. Foksal № 16 w Warszawie i przyjmuje codziennie od godz. 5—6 pop.

U KOCHA w Warszawie, Miodowa 2, można się dobrze tanio ubrać. (618)

Ogród pomologiczny d-ra **Karola Zawady** w Częstochowie, odznacz. **I-szą nagrodą** na powszechnej wyst. paryzk. 1900 r., sprzedaje ładne **drzewka owocowe** w koronach po 30 i 50 k., **róże** nizko **szczepione w 100 odmianach** po 20 k. Katalogi na żądanie.

NEKROLOGJA.

Ś. p. Justyn Osiecimski,

urodzony w Niestanowiczach na Litwie, w 1846 r., po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzony św. Sakramentami, zmarł w Gries pod Bozen, w Tyrolu, d. 21 marca 1902 r. Tymczasowe złożenie zwłok do grobu odbędzie się w Gries w poniedziałek 24 marca 1902 r.

Pogrążona w ciężkim żalu wdowa prosi krewnych, przyjaciół i znajomych o „Zdrowaś Marja".

LISTA ZMARŁYCH.

† **Bernacki** Władysław, ksiądz, lat 67— w Garbowie. **Borowski** Władysł., b. obyw. ziemski, lat 67—w Warszawie. **Krassowski** Ludwik, dziedzic dóbr, lat 63 — w Pieszej-Woli. **Kraszewski** Jan, współpracownik pism warsz., lat 37—w Warszawie.

† **Baranowski** Leon, b. urzędn. magistr. warsz.—w Odesie.

† **Hr. Łubieńska** Helena—w Nicei. **Hr. Zamoyska** Rozalja, lat 92—we Lwowie.

EKONOMISTA.

Z TYGODNIA.

(Zjazd w sprawie drobnego przemysłu. Nowe przepisy o szkołach i warsztatach technicznych. Realizacja pożyczki rosyjskiej).

Równocześnie z wystawą przemysłu drobnego odbył się w Petersburgu i zjazd działaczy na polu przemysłu domowego. Już sama liczba uczestników, przeszło 400, świadczyła o ogromnem zainteresowaniu się publiczności tą gałęzią przemysłu, przez teoretyków oddawna skazaną na zagładę. W inauguracyjnej mowie swej prezes zjazdu, minister rolnictwa Jermołow, słusznie zrobił, podkreślając bezpodstawność tego twierdzenia. Przemysł drobny nietylko może, ale i powinien istnieć obok rozwoju przemysłu wielkiego, fabrycznego, uzupełniając go niejako, wprowadzając do wyrobów czynnik indywidualizmu, zatraconego w fabrykacie maszynowym, a stanowiąc dodatkowe źródło zarobku dla ludności rolniczej. Jako taki zasługuje też przemysł drobny na jaknajszersze poparcie zarówno ze strony rządu, jak i ze strony społeczeństwa, i pod tym względem zjazd obecny, zainicjowany przez rząd, a tak licznie obesłany przez społeczeństwo, stwierdza znakomicie słuszność tego hasła.

W zjeździe tym brali udział także reprezentanci przemysłu drobnego w Królestwie i w Kraju zachodnim. Referaty, odczytane przez nich o stanie tego przemysłu u nas i o jego potrzebach, zasługują na bliższą uwagę. Ks. Hieronim Drucki-Lubecki stwierdził, że w Kraju północno-zachodnim przemysł drobny znajduje się w stanie bardzo słabego rozwoju. Zdaniem księcia, jest to nawet jedna z głównych przyczyn coraz to wzrastającej emigracji z tego kraju, ludność bowiem rolnicza, nie znajdując zarobku dodatkowego na miejscu, zmuszona jest do poszukiwania go po za granicami kraju. Dla podniesienia przemysłu drobnego konieczną jest pomoc postronna. W Cesarstwie rolę tę spełnia z powodzeniem ziemstwo, w Kraju zachodnim mogłyby to w pewnej mierze robić stowarzyszenia rolnicze, ale brak im do tego stosownych pełnomocnictw. Byłoby bardzo pożądanem utworzenie drobnych lokalnych kuratorjów dla przemysłu domowego, którym do pomocy rząd przysyłałby instruktorów. Na podstawie referatu ks. Druckiego-Lubeckiego sekcja ekonomiczna zjazdu powzięła uchwały następujące: 1) podjąć starania o zezwolenie mińskiemu Towarzystwu rolniczemu organizować lokalne kuratorja drobnego przemysłu; 2) delegować do kuratorjów instruktorów rządowych; 3) wszelką pomoc miejscowemu przemysłowi drobnemu nieść za pośrednictwem Towarzystwa rolniczego, i 4) wyrazić pożądanie rozszerzenia na gub. Kraju północno-zachodniego ogólnej ustawy o urządzeniach ziemskich.

O przemyśle drobnym w Królestwie Polskiem mówił p. Lubomir Dymsza, w charakterze przedstawiciela sekcji drobnego przemysłu warszawskiego oddziału Tow. pop. przem. i handlu. Po scharakteryzowaniu stanu tego przemysłu dawniej, i upadku, w jakim on znajduje się obecnie, p. Dymsza za główną przyczynę tej zmiany na niekorzyść podał brak wszelkiego poparcia lub organizowanej pomocy tej gałęzi przemysłu, potrzebującej kierownictwa więcej, niż każda inna. Pewne kroki w tym kierunku robiła tylko niedawno stosunkowo stworzona sekcja drobnego przemysłu, ale, nie będąc zaopatrzona w odpowiednie środki, z konieczności ograniczyć musiała swoją pomoc do bardzo nieznacznych rozmiarów. W uwzględnieniu tego stanu rzeczy, sekcja ekonomiczna zjazdu uchwaliła wnioski następujące: Ponieważ oczekiwać nie można, aby ustawa ziemska mogła być wkrótce rozciągniętą na Królestwo Polskie, przeto sekcja wyraża pożądanie, aby skarb zaopiekował się powołaniem w tym kraju do życia takich środków pomocy przemysłowi drobnemu, jakie stosowane są w guberniach, posiadających ziemstwa, a więc: organizacja szkół rzemieślniczych, utworzenie składów wyrobów przemysłu drobnego, otwarcie kredytu na ich zastaw, wysyłanie instruktorów i t. p. Obok tego sekcja uważa za pożądane wyznaczenie warszawskiemu oddziałowi Tow. pop. przem. i hand. pieniężnego subsydjum na cele popierania przemysłu drobnego w Królestwie Polskiem.

Po za temi wnioskami, bliżej nas obchodzącemi, zjazd, trwający 10 dni, powziął szereg uchwał, które, o ile będą urzeczywistnione, wpłynąć muszą znakomicie na podniesienie się przemysłu drobnego w państwie rosyjskiem. Do nich należą: organizacja kredytu dla przemysłu drobnego przez odpowiednie zreformowanie i ułatwienie powstawania stowarzyszeń kredytowych, oraz założenie centralnego banku dla przemysłu drobnego; powołanie do życia szeregu instytucyj, mających na celu opiekę nad przemysłem drobnym; wprowadzenie nauki rysunków i slojdu (nauki rzemiosł) do szkół niższych i średnich; założenie organu, sprawom drobnego przemysłu poświęconego; wreszcie założenie politechniki drobnego przemysłu, mającej za zadanie kształcić instruktorów. Ostatni projekt, celem wszechstronnego jego zbadania, przeniesiony został zresztą na zjazd następny.

Pierwszy krok w kierunku urzeczywistnienia pożądań zjazdu jest już nawet zrobiony. W tych dniach Rada państwa zatwierdziła przedstawiony przez ministerstwo skarbu projekt przepisów, dający możność miastom, ziemstwom i osobom prywatnym powoływania do życia, bez dotychczasowych utrudnień, wszelkiego rodzaju szkół, kursów i warsztatów techniczno-rzemieślniczych. Projekt miał, co prawda, na widoku udostępnienie wykształcenia głównie zastępom rzemieślników i robotników fabrycznych, ale przepisy świadomie układane były z tak szeroką kompetencją, żeby rozciągać je można było na szkoły i kursy techniczne wszelkiego rodzaju. Nowe przepisy ułatwiają tylko możność zakładania odnośnych instytucyj naukowych, czy zaś społeczeństwo zechce z tych ułatwień skorzystać, to jest inna rzecz. Sądząc jednak ze skutków, jakie wywołało ogłoszenie podobnych ułatwień co do zakładania szkół handlowych, kiedy w ciągu lat kilku powstało w Rosji 123 zakładów naukowych handlowych, kształcących 20 tys. dzieci, z budżetem

rocznym z górą 2⁴/₅ milj. rb., przypuszczać należy, że i tu inicjatywa prywatna potrafi znaleźć dla siebie ujście.

Wiadomości telegraficzne o rezultatach zapisów na nową pożyczkę rosyjską, realizującą odszkodowanie należne Rosji od Chin, świadczą o wyjątkowem powodzeniu tej operacji finansowej. Zapisy, dokonane w Niemczech, w Holandji i w Rosji przewyższają nominalną sumę pożyczki—182 milj. rb.—przeszło 100 razy. Równocześnie kurs emisyjny nowej pożyczki, określony na 97½, wzrósł do 98⁷/₈, a co ważniejsza, wszystkie inne walory rosyjskie spadkowi na giełdach zagranicznych nie uległy.

J. G.

STOWARZYSZENIA ROLNICZE.

[W rubryce tej chcemy dawać stałe i systematyczne sprawozdania z działalności stowarzyszeń rolniczych obu typów, t. j. «Towarzystw rolniczych» i «Spółek rolniczych». Zwracamy się do sz. zarządów tych towarzystw z prośbą, aby nam do spełnienia tego zadania, przez regularne nadsyłanie swych sprawozdań i materjałow, dopomogli].

Warszawska spółka rolna. Sprawozdanie z pierwszego okresu działalności, za czas od lipca 1900 r. do końca r. z., stanowiło również przedmiot obrad w warszawskiej spółce. Członków było 307, obroty wynosiły 346 tys. rb., dając czystego zysku 3,219 rb. Na dywidendę odliczono 4 proc., oraz zwrócono członkom po 1 rb. 40 kop. od każdych 100 rb. zakupu. Prezes ks. Maciej Radziwiłł zakomunikował o stanie projektu utworzenia warszawskiego Towarzystwa rolniczego, poczem przystąpiono do wyboru zarządu. Na dyrektora-zarządzającego powołano p. A. Jórskiego.

Siedlecka spółka rolna. Ogólne doroczne zgromadzenie wysłuchało sprawozdania za r. 1901, z którego się okazuje, że ogółem spółka osiągnęła zysku brutto 15,231 rb., co po potrąceniu kosztów handlowych stanowi czystego zysku 8,246 rb. Z tej sumy 2,767 rb. użyto na zwrot członkom w stosunku 3 proc. od poczynionych zakupów. Następnie zebranie z żalem pożegnało dotychczasowego dyrektora-zarządzającego p. L. Szeliskiego, a jako wyraz wdzięczności zebrało 500 rb. na zawiązek funduszu im. p. Szeliskiego dla młodzieży kształcącej się w rolnictwie. Na dyrektora wybrano p. St. Bądzyńskiego.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Ogólne.

— Trzy dni trwający, ósmy z kolei **zjazd fabrykantów cementu** zgromadził w Petersburgu duże, bo przeszło 110 osób liczące grono fabrykantów, techników i spożywców cementu. Zjazd odbywał się w dużej sali restauracji Contan'a. Prezesem zjazdu był prof. A. Szulaczenko, wice-prezesem prof. M. Bielelubskij. Przemysł cementowy Królestwa Polskiego reprezentowali pp.: inż. G. Kamieński, J. Meyer i B. Ejger. Obecnie czynnych jest w Rosji fabryk cementu portlandzkiego 37 z produkcją 75 milj. pudów, 2 fabryki cementu szlakowego z wytwórczością 600 tys. pudów i 10 fabryk cementu romańskiego. Z tej ilości na Królestwo Polskie przypada 9 fabryk portlandcementu z produkcją 16 milj. pudów i 1 fabryka cementu ze szlaki. Zjazd miał charakter wyłącznie techniczny. Większą część referatów wygłosili profesorowie Szulaczenko, Lamin i Bielelubskij. Szersze zainteresowanie wzbudziły referaty o cemencie szlakowym, produkcie jeszcze nowym, który okazuje się wyborowym materjałem dla robót w wodzie. oraz o betonowych i żelazno-betonowych konstrukcjach, znajdujących coraz szersze zastosowanie. Przy tej sposobności inż. górn. Straus zaznajomił zgromadzonych z palami betonowemi swego pomysłu, służącemi do wzmocnienia najgorszych gruntów, a zastosowanych przy budowie kościoła św. Mikołaja w Kijowie, a inż. woj. Żytkiewicz przytoczył rezultaty swoich doświadczeń, stwierdzających absolutną ogniotrwałość betonu. Zjazd zakończono wspólną ucztą.

— Rolnicy pograniczni zwrócili się do departamentu handlu i rękodzieł z podaniem o nałożenie **cła na zboże**, przywożone do Królestwa z Niemiec, w takiejże wysokości, jak pobierane przez rząd niemiecki cło od zboża, przywożonego z państwa rosyjskiego do Niemiec. Departament oddał to podanie do rozpatrzenia warszawskiemu komitetowi giełdowemu. Komitet zasięgnął opinji sekcji rolnej warszawskiego oddziału popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, poczem — jak komunikuje „Gaz. Handl."—zawiadomił departament, że podanie zasługuje na uwzględnienie o tyle, iż przedsięwzięte winny być środki, utrudniające dowóz zboża z zagranicy, co obniża ceny w okolicach pogranicza.

— W d. 30 b. m. odbędzie się w Petersburgu pierwszy **zjazd organizacyjny** przemysłowców żelaznych północnego, oraz nadbaltyckiego okręgów. Prezesem zjazdu jest p. A. K. Fojgt. Zjazd ma na celu zorganizować perjodyczne zjazdy przemysłowców żelaznych tych okręgów, na wzór zjazdów górniczych Rosji południowej, Królestwa Polskiego, Uralu i Rosji środkowej.

— Przy departamencie górniczym utworzoną została osobna komisja, pod przewodnictwem r. t. A. A. Sztofa, opracowująca nowe **przepisy o** organizacji **zjazdów górniczych.**

— Zatwierdzone zostały ustawy nowych **stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych** w Kownie i w Ostrowcu w gub. radomskiej.

— We czwartek 28 b. m. rozpoczęły się posiedzenia 7 sesji **rady rolniczej** przy ministerstwie rolnictwa.

Komunikacje.

— Z Kijowa donoszą nam: Na nowej kolei **Kijowsko-Kowelskiej** otwarto ruch tymczasowy pomiędzy Kijowem a Kowlem. Pociągi wychodzą z Kijowa dwa razy na tydzień i nocują na połowie drogi w Sarnach. Wobec tego nikt jeszcze nie jeździ do Warszawy tą drogą, ale dla mieszkańców zapadłych kątów wołyńskiego Polesia nowa droga stała się już wielkiem dobrodziejstwem. *S.*

— „Gaz. Handl." dowiaduje się, że koncesjonarjusz **kolei Radomskiej**, pułk. Tyzenhauzen, pozyskał sobie środki finansowe, potrzebne na budowę tej kolei, w Berlinie, u konsorcjum bankierskiego z firmą Robert Warschauer na czele.

— Według Najwyżej zatwierdzonego dodatku do ustawy Towarzystwa kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Towarzystwo to obowiązane jest ukończyć do 13 kwietnia 1903 r. budowę kolei z Warszawy przez Łódź do Kalisza i do granicy pruskiej. Wobec braku porozumienia z kolejami niemieckiemi co do sposobu połączenia pogranicznej odnogi kolei Kaliskiej z siecią kolei niemieckich, jako też co do miejsca stacji węzłowej i co do warunków wzajemnego przyjmowania pasażerów i towarów, ministerstwo skarbu — jak donosi „Torg. Prom. Gaz."—poczyniło starania o zezwolenie Towarzystwu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej na odroczenie budowy **odnogi od Kalisza do granicy niemieckiej** i na doprowadzenie nowej linji tymczasowo tylko do tego miasta.

— Na wezwanie dyrekcji budującej się kolei Kaliskiej, o umeblowanie wszystkich budynków stacyjnych spółubiegało się kilka firm. Przy dostawie utrzymała się **spółka zjednoczonych stolarzy warszawskich.** Kosztorys umeblowania wynosi około 30 tys. rb.

— Na posiedzeniu komisji rządowej do spraw nowych kolei żelaznych, zatwierdzony został projekt linji kolejowej **od Kielc**, przez Morawicę, Piotrkowice i Chmielnik **do Buska**, opracowany przez p. Karpińskiego; uchylono zaś projekt budowy linji **od Kamieńca podolskiego do Płoskirowa.**

Rolnictwo.

— W r. b. odbędą się następujące **wystawy rolnicze i przemysłu drobnego**: w Wilnie od 30 sierpnia do 8 września; w Poniewieżu od 25 do 27 maja; w Berdyczowie w ciągu sierpnia; w Rohaczewie, gub. mohylowskiej, od 29 do 31 sierpnia; oraz wystawa bydła, trzody chlewnej i gospodarstwa nabiałowego w Rosieniach od 22 do 25 lipca.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 27 marca (9 kwietnia). W ostatnich dniach prąd zwyżkowy zatrzymał się i w obrotach giełdowych przeważa tendencja niezdecydowana, wyczekująca. Zarówno wszakże, jak nie było powodu oczekiwać, by walory przez całe miesiące szły stale w górę, tak też i obecnie owo zatamowanie zwyżki nie jest bynajmniej oznaką pogorszenia się ogólnego stanu giełdy. Poprostu jest to zwykłe normowanie cen na zasadzie podaży i popytu. We wtorek płacono — banki: wołsko-kamski 1050, handlowo-przem. 238—237, międzynarod. 346—348, dyskontowy 402—400, wileński ziemski nominalnie 522 i 518; walory naftowe: bakińskie 457 — 460, udziały Nobla 10800—10850; walory metalurgiczne: aleksandrowskie 20—22, briańskie 150, sormowskie 107—106,25. Feniks 96—93. Pożyczki premjowe: I—469—470, II — 360 — 360,5, III — 306,5 — 306. Renta 96⁵ s.

Warszawa, 5 kwietnia. Listy likwidacyjne (nominalnie) 99,50—100. Listy zastawne ziemskie 4½-proc. 98,80; 4-proc. 89,05. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. 100 — 100,20; 4½-proc. 92,75 — 92,95. Z akcyj — Rudzkie 695 — 702,5, Starachowickie — 165,5.

Czeki: na Londyn 94 rb. 80 k. za 10 funt. szt.; na Paryż 37 rb. 67½ k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. 30 k. za 100 mar.; na Wiedeń 39 rb. 50 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa 4½—6, giełda 4½ — 6½ proc., w Londynie, Paryżu, Berlinie, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Wiedniu 3½ proc., w Kopenhadze 4 proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Usposobienie rynków międzynarodowych ospałe, obroty niewielkie. Wieści o przyszłych urodzajach nadchodzą przeważnie pomyślne. Na 1-go kwietnia ogólne zapasy pszenicy obliczają na 18½ miljonów kwart. wobec 19⁴/₅ milj. rok temu, przyczem zmniejszenie upada przeważnie na Europę. Możliwem więc jest polepszenie się tendencji europejskich rynków zbożowych. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku.	100,25	—	—	—
» Londynie	100,5—101,5	—	103,75—104	79
» Berlinie..	124,5	109	116,25	—
» Hamburgu. .	—	79	—	—
» Gdańsku.	101—102	—	—	—

Na rynkach wewnętrznych — tak, jak i w zeszłym tygodniu — obroty prawie wyłącznie bardzo drobne, na potrzeby miejscowe. Ceny wykazują wahania drobne, z przeważną jednak tendencją zniżkową. Mocno z owsem w Libawie. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W Warszawie	100—112	77—81	92—100	75—93
» Kijowie..	88—90	63—64	87—89	—
» Wołoczyskach	83—92	60—63	—	—
» Odesie....	87	71	84	65
» Mińsku..	90—95	70—75	85—90	85—90
» Libawie ..	—	80,5	89—100	—
» Rewlu...	86—90	79—81	86—97	78—81

NASIONA. Stan handlu nasiennego bez zmiany. Bardzo wysokie ceny na koniczynę białą, dobre na szwedzką, nieco niższe na koniczynę czerwoną, łubiny i seradelę.

WEŁNA. Z *Berlina* notują ceny: wełna pospolita brudna 38 — 43 m., średnia 44 — 48 m., lepsza i wyborowa 49 — 60 m. Ujawnia się, lubo słabo, dążność zwyżkowa.

MASŁO (kor. «Samopomocy») w *Rydze* — na wywóz — I gat. 36—38 kop., II gat. 34—35 k., III gat. 31 — 33 kop. za funt.

Przy datach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedyńczo.

Redaktor i Wydawca
Erazm Piltz.

„SYRENA". Rzeźba WŁAD. MARCINKOWSKIEGO. ALBUM „KRAJU".

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj" Petersburg, 29 marca (11 kwietnia) 1902 r. № 13

Pamiętniki hr. de Moriolles.

Wydał i przedmową opatrzył Fr. Masson. Paryż, Plon, 1892, I tom 8-o.

Częste ogłaszanie pamiętników jest jednym z charakterystycznych rysów w spółczesnym ruchu literackim. Księgarze ogłaszają, bo publiczność czyta. Na zwaliskach wielu innych wierzeń i złudzeń, pojawił się i utrwalił w dzisiejszej umysłowości przesąd—*rzeczy niewydanej*. Rzecz niewydana, w sensie księgarskim, czyli w sensie rzeczy bezwzględnie powabnej i poczytnej, jest to rzecz jakakolwiek, znaleziona byle gdzie, napisana przez byle kogo, odnosząca się do jakiegokolwiekbądź przedmiotu, pod warunkiem, aby między datą jej napisania a datą jej ogłoszenia upłynęło co najmniej pół wieku. Istnieje w tej chwili mnóstwo rzeczy niewydanych, które nie doczekają się może nigdy wydania; w każdym zaś razie kuszą się napróżno o natychmiastowe uzyskanie tego zaszczytu. Tysiące rękopisów idą codziennie do kosza w redakcjach, wędrują bezskutecznie od jednej do drugiej drukarni. Są to rękopisy, których atrament wypłowieć nie zdążył na śnieżną swoją białość zachowującym papierze. Niechaj jednak do tych samych redakcyj, do tych samych drukarni dostanie się zwój wystrzępionej przez czas, przez myszy nadjedzonej bibuły, z wyblakłą na niej kaligrafją, natychmiast przesąd wyżej zaznaczony stwierdza swoją siłę. Witaj! witaj, miły gościu!

Uwagi te nie stosują się całkowicie do tych pamiętników, których tytuł podałem na wstępie. Inaczej nie polecałbym ich czytelnikom «Kraju». Jednak, pisząc je przed laty sześćdziesięciu, autor obiecywał sobie *widzieć* je w druku i w rękach ówczesnych czytelników, Ale doświadczył losu wspólnego wielu dzisiejszym pisarzom; aż po upływie więcej niż pół stulecia, znalazł lepiej jeszcze niż nakładcę, bo takiego wydawcę, jak Fryderyk Masson. W dodatku, po francuzku i dla francuzów pisane, pamiętniki te ciekawemi są głównie, i prawie wyłącznie, dla czytelników polskich. Cała ich do francuzkich stosunków odnosząca się połowa bezbarwną jest i obojętną.

Urodzony 20 lutego 1760 roku, w tej części Lotaryngji, która dotąd pozostała francuzką (departament de la Meurthe), z rodziny starożytnej i z najpierwszemi domami ówcześnie skoligaconej; wychowany na arystokratycznej pensji paryzkiej, gdzie kolegował i przyjaźnił się z takimi młodymi patrycjuszami, jak d'Avaray i d'Hautefort; później do armji królewskiej, w pułku księcia de Penthievre ze stopniem kapitana i do domu księżnej Orleańskiej z tytułem domownika zapisany, hrabia Aleksander de Moriolles ocknął się w roku 1790 z młodzieńczych ambicyj i urojeń—w szeregach emigracji.

Było ich ze 20 tys. takich, jak on panów i paniczów, którzy z bronią w ręku czas jakiś dobijali się powrotu do ojczyzny i do swoich przywilejów, aż po ostatecznem rozbiciu nowych marzeń i po długiej, a ciężkiej na niegościnnych ziemiach wędrówce, dostawali się do jakiegoś przyjaźniejszego schronienia, ten do Włoch, ów do Rosji lub Polski.

Do Polski przybyło ich sporo, jak wiadomo. Możne domy miejscowe chętnie przyjmowały i zatrzymywały tych przybyszów, przynoszących z sobą odblask francuzkiego nadwornego życia, francuzkiej wykwintności i francuzkiego dowcipu. Było narazie rzeczą dobrego tonu mieć *swojego emigranta*, jak się miewało swoją domową kapelę, swoich karłów i swoich darmozjadów. Do tej ostatniej kategorji kwalifikowała się większość tych gości. Tacy, którym rodzice dali praktyczne wychowanie, na sposób Russa, byli wyjątkami. Ogół podjąć się mógł w najlepszym razie jakiejś amatorskiej guwernerki.

W roku 1794, po kilkoletniej kampanji w armji książęcej i pospolitych skróś Niemiec przygodach, hr. de Moriolles wyruszył na Wschód, niby to z zamiarem znalezienia służby w Rosji, właściwie zaś z rozmyślnem postanowieniem wyszukania niejakiego pana *de Bystri*, z którym był się poznał i zaprzyjaźnił we Włoszech, i którego obiecał odwiedzić—na Podolu.

Bystrowie są z mazowieckiego województwa, ale w latach 1780—1783 Józef Bystri był kasztelanem brzesko-litewskim. Może w podróżującym po Włoszech magnacie domyślać się trzeba pana kasztelanica. W każdym razie hr. de Moriolles daje nam poznać w nim człowieka nietylko zamożnego, ale i bardzo wspaniałomyślnego. Zapraszając bowiem młodego francuza do swego domu, przysłał on mu 200 dukatów na drogę. Zasiłek ten okazał się, niestety, wystarczającym tylko do Brodów. Ale i tu kasztelańska, czy tylko szlachecka hojność przybyła podróżnikowi z pomocą—za pośrednictwem uprzedzonego z góry miejscowego, brodatego Rotszylda, i hr. de Moriolles pojechał dalej. Ale już tylko na prostym żydowskim wózku i z kilkoma miedziakami w kieszeni dojechał do Kamieńca, gdzie pokrzepił go przecie uprzejmem przyjęciem i obfitym obiadem miejscowy komendant, hr. Tolstoj.

Dom państwa Bystrich, do którego kilkoma dniami później dotarł nasz emigrant, odpowiedział wszelkim jego oczekiwaniom, a nawet przeniósł je w pewnym sensie. Miły, łagodny, dowcipny, czterema językami płynnie mówiący gospodarz domu pospołu z młodą i piękną żoną prześcigali się w uprzyjemnieniu przybyszowi polskiej gościny. Gospodyni jednak zapędziła się niebawem tak daleko w tym wyścigu—przynajmniej hr. de Moriolles domyślać się tego każe—że zostawiła męża daleko za sobą, i gdy gość postanowił puścić się w dalszą drogę, do Moskwy, tak dla upewnienia się o ową projektowaną służbę, jak dla-

tego, ażeby nie wypłacić się za gościnność zdradą—nie mógł długo doprowadzić zamiaru do skutku, ze względu na opór pani Bystrowej. Tymczasem zaś umarła cesarzowa Katarzyna, do której emigrant miał polecające listy; wypadło czekać na listy nowe, do cesarza Pawła—i gość uwiązł na Podolu i Ukrainie.

Z kłopotliwego położenia, które zmusiło go do nowej włóczęgi między sąsiedniemi domami i miastami, od państwa Rogowskich do państwa Giżyckich, od Starego Konstantynowa do Żytomierza (ciekawa rzecz, czy nie przechował się w tych stronach jaki ślad jego pobytu?), wydobył szczęśliwie nowego Józefa inny miejscowy magnat, prezes głównego trybunału w Żytomierzu i pan obszernych, świeżo nabytych a skrzętnie zagospodarowanych włości — Morzkowski.

— Ofiaruję panu dom na wsi z wszelkiemi wygodami i 1,200 rubli pensji, jeżeli raczysz przyjąć obowiązek guwernera przy mojej córce.

— I owszem. A wiele lat ma córka?

— Sześć miesięcy.

Prezesowi trybunału w Żytomierzu nie zbywało, jak widać, na wielkopańskiej fantazji.

Dlaczego, skorzystawszy z ponętnej oferty, hr. de Moriolles nie wywiązał się do końca z podjętego zadania, to pozostaje tajemnicą, ponieważ w rękopisie pamiętników znajduje się tutaj przerwa wieloletnia. Myszy zrobiły swoje. Z dalszego ciągu dowiadujemy się tylko, że już w roku 1797 hrabia de Moriolles przeniósł się na inną gościnę, do hrabiostwa Branickich w Białej Cerkwi. Zagadnięta przez wydawcę, hrabina Adamowa Potocka przypomniała sobie nazwisko gościa i odnalazła je nawet w kilku dawnych listach, ale bez żadnych szczegółów. Zdaje się, iż pobyt emigranta w ukraińskiej rezydencji przeciągnął się aż do r. 1810, w którym to czasie, za pośrednictwem hrabiny Branickiej, otworzyła się przed nim świetniejsza karjera — na dworze w. ks. Konstantego, w Belwederze— i tu rozpoczyna się najwięcej zajmująca część jego pamiętników. Zakończywszy bowiem wychowanie swojego ucznia, przy pomocy podguwernera Fawickiego, były domownik hrabiostwa Branickich pozostał do roku 1830, jeżeli już nie w Belwederze, to w otoczeniu wielkiego księcia, w nieokreślonym charakterze, lecz z dostatniem utrzymaniem, albowiem, podług własnego jego świadectwa, pensja, którą mu wypłacano, kwatera, którą mu dawano w Warszawie, powóz i inne wygody — wynosiły do 33,679 rubli na rok!

Domowy emigrant francuzki z pierwszej połowy XIX wieku był,

W. KS. KONSTANTY
podług współczesnego sztychu.

jak się pokazuje, nader zbytkownym sprzętem.

Do charakterystyki księżny Łowickiej i jej męża, jak niemniej do historji wypadków, które poprzedziły i wywołały katastrofę 1830 roku, hr. de Moriolles w tej części swego opowiadania dostarcza nam mnóstwa rysów, które nawet po dawniej ogłoszonych wspomnieniach hrabiny de Choisseul-Gouffier, Franciszki Trembeckiej i jenerała Kołaczkowskiego, przedstawiają pierwszorzędny materjał, tak że przyswojenie go polskim czytelnikom w całkowitym przekładzie zdaje się pożądanem. Zaznaczając wielomówność w. księcia i pociąg do spowiadania się ze swoich uczuć, wrażeń i pojęć w poufnem kółku, autor pokusił się o dosłowne niemal, jak mówi, powtórzenie tych wynurzeń, dotyczących cesarza Pawła, cesarza Aleksandra, Napoleona I i innych spółczesnych osobistości. Znajdujemy tu anegdotkę o nieznajomym przechodniu, na którego widok w oknie z w. księciem Konstantym stojący Napoleon odzywa się: «Ach! to jeden z tych *Jean f....* polaków, którzy chcą być narodem, a nie mają po temu żadnych żywiołów. Cierpieć nie mogę tych ludzi».

Stosunek swojego towarzysza Fawickiego do ks. Łowickiej przedstawia hr. de Moriolles w sposób, któryby uwłaczał jej pamięci, gdyby nie wyłaniające się z nieco drastycznych szczegółów: najpierw, niechęć widoczna autora dla tego towarzysza i dla sympatję okazującej mu księżny, powtóre, marzycielski temperament młodego pedagoga, zestrajająca się z nim naturalnie egzaltacja młodej księżny, i jawna, po za granicę wspólnego przebywania w sferze fantazji a mistycyzmu nie wykraczająca niewinność tego stosunku. Hr. de Moriolles powtarza sam publiczną i aż do obelżywości cierpką odprawę, którą księżna daje zbyt śmiałemu nauczycielowi za to tylko, że odważył się on skreślić kilka wierszy na marginesach pożyczonej sobie książki. Trafiamy tu na następujący wizerunek naszej rodaczki: «Są istoty, które za sprawą źle dostrojonego charakteru i temperamentu nie mogą nigdy używać szczęścia, nawet wtedy, kiedy los daje im wszystko, czego pożądać mogły... Takiem było właśnie położenie księżny. Z profilu było to ostrze noża; patrząc wprost—minjatura, cień. Skóra przylegała szczelnie do kości. Dopiero co widziałeś ją świeżą, jak różą; teraz patrzysz na oblicze martwej»...

Charakterystyka samego wielkiego księcia w opowiadaniach autora «Pamiętników» występuje nader dodatnio, mimo zaznaczanych ekscentryczności i gwałtowności. Jego obcowanie mianowicie z ojcem księżny Łowickiej, pełne uszanowania synowskiego i serdecznej czułości, bardzo miłe robi wrażenie. Dalej zaznacza hr. de Moriolles, że jeżeli można było mieć wątpliwość o właściwości porządku politycznego, ustanowionego przed rokiem 1830, tedy porządek ten dopominał się bądź co bądź ścisłego wykonania, które było też w zamiarach cesarza Mikołaja, ale któremu sprzeciwiał się osobisty temperament wielkiego księcia. Nie cofa się przeto autor przed surowem potępieniem rewolucyjnych żywiołów, które wyzyskały wytworzoną w ten sposób i ogólne nieukontentowanie kraju wywołującą sytuację, dla celów nie mających nic wspólnego z interesami tego kraju, i z przykrego, ale naprawić się ewentualnie dającego położenia zapędziły go w przepaść...

Rola hr. de Moriolles w rewolucyjnej tragedji, która położyła koniec i jego nadwornej karjerze, pozostaje dość niejasną. Wiemy tylko, że sam wielki książę dość surowo ją osądził—za sprawą jakoby przejętego listu, w którym jego domownik zbyt otwarcie wyraził swoje zdanie o współczesnych wypadkach. Mógł jednak w. książę mieć inne powody żalu. Nie widać, ażeby ze swojej warszawskiej kwatery były guwerner troszczył się bardzo o to, co się dzieje w Belwederze. Opuszczając zaś niebawem Warszawę, podążył nie na północ, a na zachód, i z niemieckiej dopiero nowej gościny przypomniał się — prośbą o przedłużenie pensji. Prośba nie zo-

stała wysłuchaną, i dobrowolny przez tak długie lata emigrant skłonił się do powrotu w rodzinne progi, aby odszukać w nich resztki dawnej wielkopańskiej fortuny. Te, aczkolwiek składające się jeszcze na 30 tys. fr. rocznego dochodu, nie wystarczyły wczorajszemu warszawskiemu dworakowi i, rozżalony, pobyt w ojczyznie za wygnanie prawie poczytujący, rozbitek wiódł do roku 1845 goryczy pełne życie, tęskniąc za utraconemi w dalekim kraju rozkoszami i pisząc pamiętniki, w których nie zostawił dla siebie bardzo pochlebnego pomnika, ale przekazał nam bardzo pożądany dla naszej historjografji nabytek.

K. Waliszewski.

MADONNA. Rzeźba Wład. Marcinkowskiego.

NASI RZEŹBIARZE.

MARCINKOWSKI.

Pamiętam ów przedwieczór jesienny... W wilgotnem powietrzu wonie zmieszane opadłych liści i ziemi, której ciemne łono pruły gdzieś niedaleko ostrza pługów. Rozległy park zadziwiał bogactwem, istną orgją barw. Jakie przepyszne kombinacje żółtych, rudych i czerwonych odcieni, przetkanych tu i owdzie zielenią! Opodal senne tafle wód, a po nad wszystkiem błękit nieba, przyćmiony już lekkim welonem zmierzchu... Pamiętam zwłaszcza olbrzymią sylwetę tego potężnego olbrzyma—ów dąb trzy czy czterowiekowy, dumnie wznoszący swą ciężką gęstwę zrudziałych liści. I na tem tle, na ostatnim planie zielonego trawnika—marmur, lśniący białością: z prostego cokołu wyłania się głowa młodzieńca, a u stóp, wsparta na poręczy, tuli się dzieweczka rozmarzona... I wokół cisza, zrzadka tylko przerwana ciężkim lotem bażanta, który opuszczał się na ziemię i swobodną przechadzkę po parkowych ulicach poczynał...

Pomnik Słowackiego w ogrodach Miłosławskich. Pisano o nim wiele przed dwoma laty—o pomniku i o jego twórcy, Marcinkowskim. Któż zapomniał ową inaugurację, która na gościnne zaproszenie Józefa Kościelskiego ściągnęła do Miłosławia liczne rzesze przedstawicieli polskiej inteligencji, piśmiennictwa i sztuki?—któż zapomniał owe mowy płomienne, które w sercach zapał nieciły?...

W życiu Marcinkowskiego był to jeden z ważniejszych i piękniejszych etapów—w tem życiu szczerego artysty, które wypełnia ciągła, nieustanna praca. Wrócił do swej zacisznej pracowni berlińskiej i jął kuć w dalszym ciągu z marmuru lub lepić z gliny, niezmordowany, nieznużony. Istne uosobienie tej spokojnej energji wielkopolskiej, opartej na jasnej świadomości zamiarów i celów, i podsycanej niewzruszoną wytrwałością!

Bo też Marcinkowski jest wielkopolaninem z krwi i kości—jednym z względnie niewielu pierwszorzędnych artystów, którymi ziemia poznańska obdarzyła sztukę polską. On odpłacił się swym kątom ojczystym, zdobiąc ich świątynie i pałace—gdy dla pomników polskich władze pruskie miejsca na placach publicznych nie dają. Katedry gnieźnieńska i poznańska, kościoły w Jeżycach, Nekli i Inowrocławiu, różne wielkopolskie rezydencje magnackie Marcinkowskiemu zawdzięczają najcenniejsze swe ozdoby.

Jego talent wyróżnia się przedewszystkiem subtelnością i wdziękiem, oraz poezją szczerą i dziwnie swojską. Oto naprzykład niewielkich rozmiarów grupa z bronzu: «Artysta, rzeźbiący herb m. Warszawy» [1]). Ostatnie uderzenia młotków!... Artysta i jego pomocnik krzątają się gorączkowo koło symbolicznej syreny. A ona budzi się już z kamiennej bezwładności, trochę senna... Jeszcze kilka uderzeń, a ocknie się zupełnie, jak ongi Pigmaljonowa Galatea. Czemuż boska Afrodyte miałaby okazać się okrutniejszą dla twórcy warszawskiej Syreny?...

Tam znów spora, marmurowa dzieweczka stanęła przy studni, zadumana, trochę onieśmielona — pół-dziecko, pół-kobieta. Któż wywołał w niej to dziewicze zawstydzenie? Nikt inny, tylko ten bosy chłopak wiejski, ladajako przyodziany, równie nieśmiały jak ona, oczarowany jej widokiem, i niepewny, co ma uczynić. Potrzebneż słowa? Jedna i ta sama miłość zakwitła w obu sercach, niby kwiat wiośniany na łące. Nie są to realne postacie chłopskie, lecz wymarzone, wyidealizowane, tyle wdzięczne wszakże, iż nie można czuć żalu do Marcinkowskiego, że tak owo budzenie się miłości pojął jego indywidualizm. Obie te marmurowe figury przeznaczone są do pałacu Maksa hr. Mielżyńskiego w Pawłowicach. Dziewczyna dawno już skończona; nad chłopakiem żywo pracuje teraz Marcinkowski, by go w tegorocznym Salonie berlińskim wystawić.

Z płaskorzeźb, znajdujących się w pracowni, szczególną uwagę zwracają kompozycje, osnute na motywach chopinowskich. Marcinkowski, rozmiłowany w muzyce, lubuje się w symbolicznem przedstawianiu utworów wielkiego pieśniarza. Inna specjalność artysty, to rzeźba religijna. W tej znów Marcinkowski umie zdobyć się na powagę pełną majestatu, a nie pozbawioną równocześnie prostoty.

Rzeźba polska posiada w nim artystę, którego talent i praca szerzą po za granicami kraju uznanie i szacunek dla naszej sztuki. Krytyka niemiecka nie szczędzi mu pochwał. Niejednokrotnie zachęcano go, by brał udział w konkursach niemieckich—by poszedł drogą, która rzeźbiarzy niemieckich prowadzi nietylko do rozgłośnej sławy, lecz i do majątku. On odpowiada:

— Gotowi potem obstalować u mnie pomnik Bismarka!... Urzędowe zaszczyty w państwie pruskiem nie są odpowiednie dla artysty polskiego.

Stef. Krz.

[1]) Patrz «Kartę Albumową» dzisiejszego N-ru. (Prz. Red.).

Wład. Marcinkowski w pracowni swojej.

Z NIWY DRAMATYCZNEJ.

Ostatnie premjery teatru lwowskiego.

I.

Stylizowany chłop polski z kierezją i pawiem piórkiem, chłop od święta, chłop pysznie odżywiony, w miarę sentymentalny, albo nadmiernie wesoły, odznaczający się literackim humorem i operetkową brawurą—taki chłop zaczyna wreszcie znikać ze sceny. Już nie możemy, bez wyraźnych objawów zaburzeń smaku, strawić podobnego produktu. *Plus quam perfectum!* Nawet najprzeciętniejszy z przeciętnych widzów teatralnych wie, w Galicji zwłaszcza, że ten chłop naprawdę wygląda nieco inaczej, że jest mniej strojny i mniej wesoły, że cierpi głód i idzie za ocean, że go nurtują różne prądy nowożytne, że nie jest ani taki piękny, ani taki zrównoważony, ani taki bezmyślny, ani taki «na pokaz». Społeczeństwo miejskie jeszcze się nie zbliżyło do niego na taką odległość, aby poznać treść i naturę warstwy, stanowiącej rdzeń narodu, ale już w niej przeczuwa wiele rzeczy i zaczyna na nią patrzeć, jak na organizm o takich samych składnikach psychicznych, które pod tchnieniem kultury zyskują prężność, uświadamiają się, przychodzą do głosu w ogólnym koncercie życia narodowego. Co więcej, pomiędzy takim panem z miasta, o ile zdołał wstąpić na pewien wyższy szczebel rozwoju, a tą budzącą się masą wytwarza się zwolna tęsknota rasowego pokrewieństwa, poczyna się świadome poszukiwanie tonów blizkich, książkowa informacja o wspólności plemiennej zamienia się w solidarne, rodzinne uczucie.

Władysław Orkan.

Ten nowy stan umysłów w naturalnem następstwie rzeczy będzie miał ten skutek, że do literatury wejdzie inny typ chłopski, spostrzegany i rozumiany inaczej, niż tamten, którego całą rację bytu stanowiły jego zalety dekoracyjne. W powieści już się ten proces rozpoczął; dramat opóźnia się. Z pierwszą próbą nowożytnego traktowania chłopa na deskach teatralnych wystąpił poeta i powieściopisarz Władysław Orkan, syn podhalskiego górala, czerpiący swój materjał twórczy więcej niż z bezpośredniej obserwacji, bo poniekąd z głębin własnej duszy, tkwiącej korzeniami w tej samej warstwie, którą poeta rzuca na scenę. Dramat Orkana daje jeden ton, jeden fragment psychiki chłopskiej: instynktowne i rozpaczliwe trzymanie się ziemi. Ten sam motyw posłużył Sewerowi do stworzenia sztuki ludowej, w której ta namiętność polskiego chłopa jest przedstawiona z jasnej, słonecznej, dobroczynnej strony. Orkan obrazka swojego nie maluje «w słońcu». To posępny epizod społecznej walki o byt. Kawał ziemi wiejskiej, który obsiadła liczna rodzina, ma uledz podziałom—i na tem tle toczą się zapasy egoizmu, który z członków jednej rodziny robi wrogów, oddychających drapieżną namiętnością posiadania. Tu niema ani śladu sielanki. Natura pozostała ta sama, co dawniej—tajemnicza, tęskna, poetyczna. Na halach odludnych i dzikich snują się mgły tatrzańskie, grają przeciągłe echa rogów, płyną oddalone okrzyki juhasów. Wszystko jest takie «nastrojowe». Tylko ta gromadka ludzi, którzy się w zimną noc letnią grzeją u rozpalonego ogniska, skurczyła się i przemieniła. To nie są już stylizowane figurki z pawiemi piórkami, wesołe, zamaszyste, pełne brawury, ale aktorowie tajemniczego dramatu istnienia, nurtowani zbrodniczemi myślami, namiętni, złośliwi, przygnieceni ciężarem życia, z którego spływa na nich więcej przekleństwa, aniżeli radości. Byt jest dla nich pasmem drobnych, dokuczliwych tortur, i dlatego, jako synteza ich poglądu na istnienie, wyrywa się z ich ust stereotypowy, żałosny, złorzeczący okrzyk:

— Skapany świat! Skapany świat!

W «Skapanym świecie» przedstawił się Orkan jako talent dramatopisarski, tworzący oryginalnie i żywo, odczuwający głęboko naturę ludzką, umiejący nadać jej prostemi środkami kształt plastyczny. Sądząc po pierwszej próbie, pióro młodego poety ma wszystkie warunki do tego, aby dać literaturze polskiej psychologiczny dramat chłopski.

II.

«W słońcu» maluje młody poeta i aktor sceny warszawskiej, p. Marjan Tatarkiewicz. Jego trzy jednoaktowe utwory wierszowane: obrazek «Msza majowa», «pastel *à la* Watteau», p. t.: «W sieci Satyra» i «pastel księżycowy» p. t.: «Królowa bajka», odegrał świeżo teatr lwowski. W teatrze były pustki. Był to debiut pisarza nowego, nieznanego, nie zapisanego na listę autorów modnych. Publiczność lwowska nie okazała daru intuicji i poszła na koncert głośnego pianisty. Lecz ci, co przyszli, mieli miłą sposobność powitania prawdziwego, szczerego talentu, który się przedstawił dyskretnie, ze smakiem, bez narzucania się, prawie nieśmiało. To było także ujmujące. «Obrazek w słońcu» i «pastele», jeden «księżycowy», a drugi «*à la* Watteau» brzmiały na afiszu trochę pretensjonalnie i tu i owdzie drażniły podniebienia estetyczne, lecz po zapadnięciu kurtyny to przelotne nieprzyjemne wrażenie znikło. Pozostało szczere artystyczne zadowolenie.

Marjan Tatarkiewicz.

Już pierwszy obrazek nastroił słuchaczów korzystnie. To, co się dzieje na scenie—jest wątłe i prawie pozbawione treści. W słoneczny, jasny i ciepły wiosenny poranek odprawia się w wiejskim kościele nabożeństwo, a podczas gdy tam brzmią organy i śpiew pobożny—przed kościołem rozgrywa się sielanka między dziewczyną i wędrownym lutnistą. Ta sielanka, złożona z drżeń świeżego, naiwnego uczucia, z pierwszych uderzeń budzącego się serca, to właśnie «msza majowa», odprawiająca się pod szafirowem sklepieniem nieba wiosennego, równająca się świętości modlitwy kościelnej. Drugi dramacik, ów «pastel *à la* Watteau», to swywolna gra uczuć dwojga dzieci, w których budzi się dziewica i młodzieniec—i groteskowa scena miłosna pary podeszłej w latach. Wschód i zachód—ludzkie *perpetuum mobile*, w którem rolę kapelmistrza i komentatora gra filozof leśny, Satyr. Nakoniec «Królowa bajka» z treścią jeszcze mniej uchwytną, tonąca w blaskach księżycowego światła, otoczona orszakiem alegorycznych postaci.

Wszystko płynie poezją lekką, powiewną, wykwintną i dającą się słuchać, jak muzyka. Czy p. Tatarkiewicz jest dramaturgiem, o tem nie wiemy jeszcze; że jest poetą, któremu dany został skarb prawdziwego talentu, o tem przekonały już te jego trzy «obrazki» i «pastele». Na próbę jeden ustęp. Lutnista w «Mszy majowej» deklamuje taki hymn wiosenny:

O, złoty maju, świetlany gońcu,
Co masą kwiecia śmiejesz się w słońcu,
Który w księżyca blade oblicze
Ślesz cichą nocą piosnki słowicze
I opalowe rozsnuwasz rosy,
By dalej biegły natchnione głosy.
O lazurowy, wonny i czysty
W swojej przejrzystej szacie złocistej.
Ty królewiczu z baśni piastunek,
Co ziemi dajesz swój pocałunek
I budzisz ze snu śpiącą królewnę —
Ty, co kapele prowadzisz śpiewne
Wieczyście młody i uśmiechniony!
O, złoty maju!—bądź pozdrowiony!

Szary.

Lwów.

WRAŻENIA Z WYSTAW.

II.

Wystawa wiosenna w Akademji sztuk pięknych i wystawa „Świata sztuki“ („Mir Iskustwa“).

Całe pułki malarzy stawiły się do wiosennego apelu w salach Akademji sztuk pięknych, ale żaden z nich nie chce być zwykłym szeregowcem; jest ich tam jednak niemało, nie brak nawet też i ciurów, dzielących się zbyt otwarcie cudzymi zapasami. Na ogół wziąwszy, wystawa ta robi korzystne wrażenie i, dzięki różnolitości talentów i usiłowań, mniej męczy obfitością swoją, niż można byłoby się spodziewać. Tutejsze «jury» jest też widocznie surowsze aniżeli na Wielkiej-Morskiej i w stowarzyszeniu artystów petersburskich, chociaż jeżeli tam uwidoczniają się

często wpływy koleżeństwa korporacyjnego, tutaj daje się nieraz dostrzegać — protekcja wpływowego profesora, zbyt może dbałego o interesa swoich uczniów. W ten sposób daje się tłómaczyć obecność niektórych obrazów na wystawie, a także i nabycie ich do zbiorów Akademji. Niezrozumiałem byłoby też pojawienie się obecnie w tych salach krajobrazów prof. Orłowskiego i innych, zbyt odbijających od charakteru ogólnego produkcji nowoczesnej, gdyby nas nie objaśniał napis: «*hors concour*». Nie zdaje mi się jednak, aby to korzystanie z prawa i przyzwyczajenie do dawnego miejsca niektórych artystów wychodziło im na korzyść. Publiczność, nie zadając sobie nawet trudu odszukać to, co jest dobrego w monotonnych i nienaturalnych w kolorze dwu płótnach Orłowskiego, skupia całą uwagę na pysznym śniegu z sąsiedniego krajobrazu finlandzkiego Chimona, lub podziwia oryginalne oświetlenie ślicznego «Wieczoru» K. Wróblewskiego; woli ona nawet dowcipkować przed pejzażowemi gzygzakami i łamańcami Bogajewskiego, aniżeli podziwiać zawsze te same wymuskane efekta Kriżickiego. Swoją drogą ten ostatni posiada oprócz talentu i talizman szczęścia, bo nikt nie sprzedaje tyle i tak świetnie, jak on. Wiadomo powszechnie, że rozmaici malarze miewają specjalne predylekcje do tej lub owej barwy, niektórym z nich zabarwiają one w odpowiedni sposób nietylko siatkówkę, ale nawet—uczucia. Tęsknotę np. zawsze «czują» niebieską,—«a rozpacz? zawsze pomarańczową»—mówił nam kiedyś najszczerzej pewien wybitny pejzażysta polski. Otóż malarze tutejsi wahają się widocznie pomiędzy dwoma upodobaniami—po zimnej, matowej szarzyźnie, wybuchają całkiem nagle najgorętszą czerwienią. Nie wiem, co czują wtedy oni sami—widz zaś czuje poprostu fałsz i przesadę. Nie mówiąc już o artystach drugorzędnych, nawet u Chimona ów domek na drugim planie (w Finlandji) jest zanadto czerwony; to samo też powiedzieć można o chacie maloruskiej Stolicy, malarza, mającego zkądinąd tak doskonałe poczucie natury. Jedni się zachwycają głównie jego szkicami, drudzy obrazami. Właściwie powiedziawszy, pomiędzy pierwszymi a drugimi prawie niema różnicy, gdyż u tego artysty nie dostrzega się prawie nigdzie procesu kompozycyjnego, procesu filtracji wrażeń zwysłowych przez pryzmat uogólnienia. Nie potrzeba szukać u niego nic po nad to, co się widzi okiem. Za to, stając przed wszystkiemi jego rzeczami, mówi się mimowoli: niech żyje życie! Jego figurom nie zabraknie nigdy powietrza, natura i ludzie, światło, ruch i barwy zrastają się w jedną przyrodzoną całość w oku tego malarza czystej krwi. Wyjątkowo jednolita organizacja optyczna kieruje śmiało błyskawicznym pendzlem, to też najwięcej może jednolitego zadowolenia doznaje się przed tą ogromną kolekcją szkiców—czy nazywają się one «Na Lewadzie», czy «W Nowej Rosji», czy «Rybak», czy «Po burzy» i t. p.

Całkiem innego rodzaju wzruszeń estetycznych dostarcza Stabrowski. Na jego obrazy nie tylko się patrzy, ale stoi się przed niemi, jakby w poetycznem zasłuchaniu—chociaż nie są to bynajmniej literackie pomysły, czy wspomnienia. Żeby ocenić subtelność jego malarskiej wrażliwości i sztuki, dość się przyjrzeć temu zakątkowi parku łazienkowskiego. Mętne światło coraz trudniej się sączy przez gestą zasłonę zmierzchu, z cieniów powstaje—nie przeparte marzenie. Pomimo to, że artystyczną indywidualność Stabrowskiego poznaje się zdaleka, nie zasklepia się on nigdy w zaczarowanem kole pewnych efektów, tematów, czy maniery—wiosenna «Ulewa z błyskawicą»—jest zupełnem przeciwieństwem obrazu poprzedniego, nie dosięga tu jednak S. siły znanego «Piorunu» Chełmońskiego. Nad «Ulewą» wisi jeden z najlepszych obrazów-szkiców: «Na Newie» Kudriawcewa, z dziwnie przezroczystą, istnie ciekłą, rozbryzgującą się wodą. Utalentowany Latsy wystawia w tym roku rażące manierą krajobrazy; bardziej interesujące są widoki Rajljana, Okołowicza, Ryłowa («Głęboka rzeczka») i in. Znany nasz pejzażysta W. Nałęcz wystawił dwa obrazy. Mając w żywej pamięci obrazy jego skandynawskie, cieszące się tak wielkiem uznaniem, z trudnością poznałem ten sam pendzel w miękiej, lirycznej «Legendzie». Niespodzianki takie, świadczące o różnostronności artysty, są zawsze bardzo pożądane. Zanadto oddalona postać topielicy nie tłómaczy dostatecznie tytułu płótna, ale też zalety jego, wypływające głównie z wyjątkowej umiejętności artysty harmonizowania pojedyńczych elementów obrazu i z głębokiej znajomości natury, mówią same przez się.

Obrazów kompozycyjnych, stanowiących zawsze na wystawach zagranicznych znaczny procent, widzi się tu prawie jak na lekarstwo, a najmniej — historycznych. Wielkie płótno Szmarowa—«Ochotnicy w r. 1812»—zdobne narzuconem tłumem figur, zawcześnie się zjawiło na widok publiczny. «Suworow w Konczansku» N. Szabunina traktowany jest nietylko rodzajowo, ale nawet z przymieszką humorystyki, mimowolnej zapewne. Jan Rozen wystawił stosownie do swej specjalności — wielki «Przegląd sztandarów pod Tylżą», z kilkunastu portretami osób historycznych—Napoleona, Aleksandra I, wielkiego ks. Konstantego etc., a także bardzo udatną scenkę wojskową «Z raportem» i portret, nie najlepszy, ks. Józefa. Dwaj malarze: W. Kotarbiński i M. Rörich wystąpili, rzec można, z osobnemi wystawami. Ostatnia ledwie się wyłania z mroku fatalnie oświetlonej sali, co tem bardziej jest nużące, że i obrazy Röricha utrzymywane są stale w przytłumionych barwach. Oglądane nawet w warunkach tak niekorzystnych, wydają się bardzo interesującemi próbami nie realnego odtwarzania, lecz stylizacji zamierzchłych epok słowiaństwa pogańskiego, jego wierzeń i przeczuć, a także i zetknięcia się z zamorskimi zdobywcami. Popatrzywszy z przyjemnością na białe lilje wodne, rosnące na doskonale malowanej zielonej wodzie Kotarbińskiego, starałem się nie tyle odczuć, ile zrozumieć najdokładniej intencje artysty w jego symbolicznych, raczej ideologicznych obrazach. Zdaje mi się bowiem, że w twórczości swojej ucieka się on najczęściej do pomocy—inteligencji. Ci, co widzieli te same pomysły w skromnej szacie sepji, twierdzą, że w traktowaniu olejnem—nie wygrały wcale. Lepiej od innych z tej kategorji malowany jest może «Eros», przypominający w zarysie ogólnym niektóre kompozycje winjetowe z w. XVIII, tylko, że tam nie grzebano jeszcze Erosa w wielkim kamiennym grobie, lecz kazano mu klęczeć przed tryumfującą kobietą. Na grobie tym okrutny jastrząb znęca się nad biała gołąbką. W czasach Rops'a Przybyszewskiego pisma feministyczne powinny stanowczo obrać sobie tę fantazję Kotarbińskiego — jako winjetę tytułową. «Śmierć Messaliny» sprawia i teraz, zdaje mi się, największe wrażenie. D. Szczerbinowskij, jak to się widzi od pierwszego rzutu oka, jest paryżaninem tak czystej wody, że nawet dobrze poskrobawszy, nie namaca się petersburszczanina. Jest to zarazem i źle i dobrze. W obrazach jego z figurami i w krajobrazach dużo jest finezji i elegancji—szkoda tylko, że nie jego — a cudzej, francuzkiej. Wyrzekłszy się tego, co jest najgłębszego w każdej duszy ludzkiej—instynktu rasy, skazał się na serwilistyczne ślizganie się po powierzchni rzeczy. W tych granicach jednak daje istotnie dowody wielkiej zręczności.

Pomiędzy nielicznemi portretami, jednym z najlepszych pod względem

charakterystyki jest portret p. Aleksandra Jabłonowskiego z Warszawy, pendzla Lenca. Jest on tylko za jasny w kolorze i «trochę obdarty ze skóry», dodają malarze.

Wśród ładnych sztychów jest jeden, mogący nas interesować specjalnie—to «Jan Sobieski» Rundalcewa, podług głośnego obrazu Rembrandta z Ermitażu, a obraz ten jest chrzczony co raz to inaczej — dawniej nazywał się Jeremjaszem Wiśniowieckim, dziś — Sobieskim, chociaż w niczem nie przypomina nawet Jana III. Ostatecznie niewadomo, który to magnat polski trafił przypadkowo zapewne przed oczy Rembrandtowi, tak samo, jak trafił przed nie i głośny «Lisowczyk» (z galerji dzikowskiej).

Dział rzeźby w tym roku jest dość obfity i reprezentowany przeważnie przez utalentowanych semitów: Günzburga, Aronsona, Siadajew-Bernsztejna i in. W drobnym ludku rzeźbionym Wallgrena-Wille nadzwyczaj dużo wdzięku i poezji.

* * *

Ci, co się spodziewali fenomenów piękna lub ekstrawagancji na wystawie «Mir Iskusstwa» («Świat sztuki») — musieli doznać zawodu. Jeden tylko «Demon» Wróbla miał pono sięgać fenomenalnie wysoko, ale upadł tak fatalnie, że trudno go odszukać wśród sino-liljowego barłogu. Swoją drogą wystawa ta jest jedną z najciekawszych i cała jej atmosfera mówi, że oprócz oczu i ręki w wielkiej tu modzie dusza. Sierow, najlepszy dziś portrecista rosyjski, dorobiłby duszę tam nawet gdzieby jej nie było, tak przynajmniej się zdaje, kiedy się patrzy na jego portrety świetnych «*mondaines*» tutejszych. Ubrane są one i upozowane na kozetkach akurat tak samo jak u Sargent'a lub Zorn'a. Portret «p. R.», dość nikłego modelu, jest arcydziełem wyrazu i techniki—zwłaszcza oczu, doskonały też jest portret p. Goriainowa. Z pomiędzy krajobrazów największą uwagę zwraca słusznie «Dwór miejski w ogrodzie» Braz'a, zalany powodzią światła niewidzialnego księżyca, a także «Jesień» tegoż artysty i inne. Dziwnym smutkiem przepojone są krajobrazy wiejskie Pietrowiczewa, Pierieplotczykowa, Kuzniecowa, Winogradowa — wieknisty, rozpłakany smutek nędznej, szarej wsi wielkoruskiej. «Zmroki», «Zmierzchy», «Szare dni», «Słoty» — wszystko to pysznie malowane, ale wprost rozpaczliwe w nastroju. Z prawdziwą wdzięcznością zatrzymuje się wreszcie oko na kolorystycznych pastelach Sempera-Grabar'a na tych czerwono-żółtych drzewach, balkonach i dachach stojących w żywem jesiennem słońcu.

Jest to z pewnością jeden z najoryginalniejszych artystów na gruncie tutejszym, chociaż naturalnie nie jest on wynalazcą efektownej swej techniki. Motywy architektoniczne i wnętrza są specjalnością A. Benoit. Tegoroczne nie zachwycają nas bynajmniej. Nie ma w obrazkach tych ani ścisłości linij, niezbędnej w pracach tego rodzaju, ani też głównego ich uroku, żywego wspomnienia tych, którzy przebywali ongi w historycznych stylowych salach i gabinetach, nie ma rozmiłowania się w detalach ich otoczenia. Rozmyślnym brakiem układu i kompozycji odznacza się duży i typowy obraz Riabuszkina «Lud moskiewski»—strojny z tatarska i zaciekawiony, wyczekujący na posłów cudzoziemskich w wieku XVII, Bakst i Somow mają dużo poczucia stylu w swoich akwarelach i rysunkach typów i kostjumów z końca XVIII wieku. Kolorystyczne szkice Korowina, tańce i sceny z nad Białego morza zwróciłyby na niego z pewnością uwagę znawców na każdej z wystaw europejskich.

Sucha nasza nomenklatura nie daje naturalnie pojęcia o ciekawych właściwościach tej «najpostępowszej» wystawy, dominuje na niej portret i krajobraz, a w krajobrazach, jak powiedziałem wyżej, beznadziejna melancholja; po dłuższem patrzeniu się na nie, świat cały zaczyna się nam przedstawiać w jakimś uniwersalnym szarym sosie. Z tem większem zainteresowaniem patrzymy na gorące niebo i rozpaloną ziemię pustyń palestyńskich na szkicach J. Ciąglińskiego; oprócz wartości artystycznej posiadają one znaczenie rzadkich dokumentów autentycznych. Nie wiemy tylko, dlaczego właściwie autor umieścił ich na wystawie «Świata sztuki», bo nie możemy się w nich dopatrzeć szczególnego nowatorstwa.

Dyletant.

Z FOTOGRAFIJ AMATORSKICH.

Kosiarze dworscy w Lubelskiem.

SYLWETKI.

KAZ. LASKOWSKI.

Przed laty kilku spadł na bruk warszawski młody, ogorzały, z typową szlachecką twarzą ziemianin, który nie mógł się utrzymać przy szczupłym zresztą zagonie, a że posiadał i pewne wykształcenie i tę, dla tylu nieszczęsną «żyłkę literacką», zaczął się chwytać dziennikarstwa. Nie wiedząc sam dobrze, czego nie potrafi — gotów był próbować wszystkiego. Z równą więc odwagą siadał do napisania feljetonu, jak i wzmianki reporterskiej, do powieści, jak i do kupletów dla ogródka, do farsy, w ile komuby się spodobało aktach, jak i do wierszyka. Ruchliwy był, widywano go też wszędzie: w redakcjach, teatrach, cukierniach. Co się w głębi jego duszy mieściło—niktby wtedy nie był w stanie odgadnąć, on sam pierwszy.

Kaz. Laskowski, autor «Pogrzebu».

W tym pierwszym zaraz okresie swej dziennikarsko-literackiej działalności p. Laskowski zaczął pisać sprawozdania z zabaw i zdarzeń życia warszawskiego wierszem w «Słowie». Wiersz dobry, melodyjny, płynący z wielką swobodą i naturalnością,—pomysłowość w ujęciu tematu, różnorodność w traktowaniu go, humor i dowcip, pewne czysto polskie satyryczne zacięcie, co to choć uderzy, to nie do bolaca—wszystkie, tyle rzadkie zalety, zwróciły na p. Laskowskiego uwagę paru ludzi, którzy literaturę lubią, a ukazanie się nowego—i jeszcze poetyckiego talentu, szczerze ich cieszy. Zyskał też p. Laskowski natychmiast uznanie wśród malutkiego kółka znawców—ale było to wszystko, co świat w owym czasie dał młodemu poecie.

Słyszałem p. Laskowskiego mówiącego z goryczą o tych początkach, tak dla niego ciężkich. Bądź co bądź nie trwały one zbyt długo. Założyciele «Kurjera Polskiego» zaangażowali go na samym początku istnienia pisma i zażądali od niego akurat tego, co robił — jak nikt inny: codziennej wierszowanej kroniczki. Od tej chwili kółko wielbicieli talentu p. Laskowskiego poczyna rosnąć i rośnie coraz to szybciej. Dla wielu codzienny wierszyk *El'a* staje się koniecznym epizodem dnia, jak czarna kawa lub drzemka po obiedzie. Niektóre wiersze jego kursują po mieście, jeden deklamuje je drugiemu — ale bo i jak np. zapomnieć taki choćby początek opisu taniej kuchni, skoro się go raz przeczytało:

Któż w taniaku nie jadał?
Któż w taniaku nie jada?
Dziad, co wyszedł na pana,
Pan, co wyszedł na dziada.

Albo taki ustęp, prościutki, z wierszyka, opisującego czynność tak prozaiczną, jak smażenie powideł:

Ważą, prażą godzinę
Jedną... drugą... do zmierzchu,
Już powidła zgęstniały,
Że kot przejdzie po wierzchu.

Co w tych kroniczkach powtarzało się stale, jako charakterystyczna cecha, to pewne zaokrąglenie każdego utworku w formę śpiewki. P. Laskowski okazał się—i to odrazu—urodzonym piosenkarzem, polskim Béranger'em. Piosenka gra mu w uchu z taką naturalnością widocznie, że nawet w opisie balu lub wyścigów, zwrotki układa w taki sposób, że tworzą się refrainy, przyśpiewki, że w jednym wierszu nuta ciągnie się długo i żałośliwie, w innych wiersz sam zdaje się podskakiwać w siarczystym mazurowym rytmie. Choćby to jego:

Rach! ciach! ciach! ciach po desce
Zalecał się Grześ Teresce...

Melodje i tony, nuty i barwy bierze z najgłębszej głębi narodu—z duszy ludu naszego. Prawie połowa, a może i więcej niż połowa piosnek p. Laskowskiego, to dola chłopska, śpiewana na nutę wiejską. Jest to jego oryginalnością i siłą. W zbiorku «Z chłopskiej piersi» wydał p. Laskowski kilkanaście wierszy, gdzie w szczere złoto czystej poezji ujął całą obrzędową stronę życia naszego ludu. Są tu: zmówiny i zrękowiny, i wesele, i oczepiny, i chrzciny.

Wielu naszych poetów współczesnych grało «na chłopskiej fujarce». Grała też bardzo ładnie na niej Konopnicka. Ale jakie to granie Konopnickiej nieraz sztuczne, robione w porównaniu z tem, co płynie «z chłopskiej piersi» w książce p. Laskowskiego. Jak tu, w prawdziwej, choć poetycznej mowie chłopskiej, staje przed nami prawdziwa dusza naszego chłopa.

I ta śpiewność tych wierszy:

Grają skrzypki
Z mazowiecka
— Nie ukrzywdzę
Swego dziecka!

Albo to:

Drą się swatki, drą,
„Czepić“ Maryś chcą,
Ale drużby zagrodziły,
Bo im jeszcze taniec miły.
Jeszcze nóżki drżą pod niemi,
Jeszcze nóżki drżą.

Tego poprostu nie można czytać. Człowiek trzyma książkę w ręku i od drugiego-trzeciego wiersza poczyna sobie śpiewać pod nosem.

*

I dziwnie żywotna jest to prawdziwie indywidualność. Kto inny, zmuszony latami całemi pisać *codzień*, a przynajmniej prawie codzień, wiersz—zużyłby się na trociny i biadałby całe życie, iż walka o chleb codzienny połamała jego skrzydła. Panu Laskowskiemu ta walka, że tak powiemy, «służy». Nie czuć w jego codziennych «*Bańkach mydlanych*», które drukuje obecnie w «Kur. Warsz.». ani wyczerpania, ani znużenia; przeciwnie czuć nawet, że wyrabia sobie coraz potężniejszy ton w piersi. I ileż to tomów poezyj dzisiejszych poetów zginie, kiedy te *bańki mydlane* świecić będą jeszcze nieporównaną grą kolorów tęczy.

Nie chcę nadużywać cytat. Ale aby dać miarę mocy, z jaką dziś wyjść może dźwięk z lutni p. Laskowskiego, przytoczę parę ustępów z wiersza jego, poświęconego «Cieniom Słowackiego».

Z czem mi stanąć u twej trumny?

pyta p. Laskowski:

Z czem mi stanąć? Z uwielbieniem,
Ustrojonem w strofę składną?
Abyś odczuł pod kamieniem,
Że cię kradli i dziś kradną?

I woła dalej:

Jabym nie śmiał u twej trumny
Giąć kolana z taką danią,
Jak ów z rozśpiewaną krtanią
Zimnych płaczków poczet szumny.

I takich spiżowych rysów, jak ten, «zimnych płaczków poczet szumny» jest już w twórczości p. Laskowskiego sporo.

*

P. Laskowski nie może narzekać na los. Sprawiedliwość przyszła doń stosunkowo szybko. Dziś jest to ulubieniec Warszawy i jeden z najpopularniejszych pisarzów; wydawcy go licytują, co pozwoliło mu wrócić znowu na zagon. Wziął sobie dzierżawkę pod Warszawą i tam to, na łonie rodziny, wśród dzieci po krakowsku przebranych, wydawszy dyspozycje gospodarskie, puszcza swoje tęczowe «bańki mydlane». Kiedy zaś przyjedzie do Warszawy, to niezawodnie nieraz, wspomniawszy sobie ciężkie chwile, dziwi się, jak dużo ma teraz przyjaciół...

Jest to człowiek młody, niemal że na początku swej literackiej karjery. Jeszcze długa przed nim przyszłość. I nikt nie zmierzy, dokąd zajść może.

Varsoviensis.

* * * * * * * *

GRÓB FAUSTUSA SOCYNA

W LUSŁAWICACH.

Nie zawsze były Lusławice taką mizerną, nieznaną wioską, jak dziś. Był czas, kiedy w tej mizernej osadzie, położonej na ziemi mazurskiej między sławetnem miasteczkiem Brzeskiem i niemniej sławetnym Zakliczynem w Galicji, skupiało się religijne, polityczne i umysłowe życie arjan, czyli unitarjuszów polskich, zwanych także socynjanami, kiedy o Lusławicach głośno było w całej Polsce, i dalej nawet: na Węgrzech, we Włoszech, w Niemczech. Było to w wieku XVI, w złotym okresie Zygmuntowskim, za czasów „nowinek“ religijnych. Lusławice stanowiły ognisko polskiego arjanizmu. Tu istniał wielki kościół arjański, szkoła wyższa i drukarnia, tu odbywały się zjazdy zjednoczonych braci, tu wreszcie, po burzliwych przejściach i licznych prześladowaniach, zawinął do domu swego współwyznawcy i przyjaciela. Taszyckiego, sam założyciel sekty, uczony szlachcic włoski, Faustus Socyn (Fausto Sozzini) z Sieny, tu umarł w r. 1604 i pochowany został w okazałym grobowcu, ozdobionym pomnikiem kamiennym.

Arjanie niedługo już po śmierci swego prawodawcy cieszyli się tolerancją w Polsce. Przyszły prześladowania — w r. 1658 wypędzono ich z kraju bezpowrotnie. Skończyła się i świetność małej wioski mazurskiej, która na krótko wprawdzie, ale pokaźnie zapisała się w dziejach Zygmuntowskiej kultury. Drukarnia arjańska, kościół, szkoła znikły z powierzchni ziemi — pozostał tylko grobowiec Fausta Socyna, jako pamiątka otaczany opieką ze strony następnych pokoleń, odwiedzany przez turystów i przez istniejących dotąd w Siedmiogrodzie wyznawców nauki Socyna, którzy w różnych czasach przybywali umyślnie do Lusławic. Tak trwało dopóty, dopóki dawny cmentarz arjański, zamieniony na ogród prywatny, znajdował się w rękach właścicieli z warstwy wykształconej.

Ten stan rzeczy zmienił się od niedawna. Przed kilku laty grunt, na którym znajduje się grób Socyna, przeszedł na własność chłopa. Poczciwiec ten patrzał na ostatni pomnik świetności Lusławic z obojętnością filozofa, którego podobne drobiazgi nie rozczulają. Wybudowawszy opodal chałupę, urządził około grobowca skład śmiecia, które składał tam właśnie, a nie gdzieindziej, z tem większą skwapliwością, że w grobowcu leżały szczątki „heretyka“, o czem wiadomość dochowała się w tradycji miejscowej. Konserwator zabytków historycznych, dr. Włodzimierz Demetrykiewicz z Krakowa, dowiedziawszy się o profanowaniu pamiątki, zaapelował do władzy, a władza odkomenderowała dwóch c.-k. żandarmów, którzy z urzędu trzymali honorową i ochronną wartę u grobu założyciela arjan polskich.

Chłop nie dał się jednak zbić z tropu. Dawny ogród cmentarny zamienił na orne pole, przeorał pługiem kości arjańskie, spoczywające na ziemi mazurskiej, wyciął grupę prastarych lip i grabów, które od niepamiętnych czasów półkolem otaczały historyczny grobowiec — a teraz złożył „protokólarne oświadczenie“ w c.-k. sądzie powiatowym w Zakliczynie, że zamierza stanowczo usunąć grobowiec, ponieważ—„przeszkadza mu w orce“. Wobec takiej groźby zwrócił się konserwator do namiestnika we Lwowie z propozycją nabycia grobu Socyna z funduszów publicznych i zapewnienia mu w ten sposób nietykalności. Da się to uskutecznić tem łatwiej, że ten kawałeczek gruntu leży tuż przy drodze i może być doskonale oddzielony od reszty.

Sam grobowiec Socyna składa się z podłużnej płyty kamiennej, ze śladami napisu łacińskiego w otoku i tarczą herbową, oraz z sześciennej bryły piaskowca, ze śladami włoskiego napisu:

chi sen... te vera fama supera la morte...

Tak wygląda mogiła polskiego arjanizmu.

Lwów. **Pełka.**

Historyczny grobowiec F. Socyna, zmarłego w 1604 r. w Lusławicach.

SIŁY ARTYSTYCZNE

TEATRU POLSKIEGO W PETERSBURGU.

Goszczący w Petersburgu teatr dał możność miejscowej publiczności polskiej usłyszeć ze sceny dźwięki rodzinnego języka, wskrzesił w jej wyobraźni szereg rodzimych postaci, zapoznał ją z kilkoma nowościami literatury dramatycznej, a przynosząc umysłom szlachetną rozrywkę, dał widzom kilka wieczorów wesołego śmiechu i kilka wieczorów mocnych wzruszeń estetycznych. Godzi się bliżej rozpatrzeć, jakiemi siłami artystycznemi rozporządza trupa p. Bolesławskiego. Od przyjezdnej trupy, choć szczęśliwie, lecz przygodnie dobranej, która nie miała czasu zgrać się dostatecznie, a której członkowie zmuszeni są grać co dnia role z najróżniejszego zakresu, nie zawsze odpowiadającego indywidualnym cechom ich talentu, z góry wymagać nie powinniśmy wysokiego stopnia doskonałości. Znajdując w trupie—pracowników sceny pożytecznych, sumiennych i uzdolnionych, zespół naogół przyzwoity, już mamy prawo wyrazić swoje zadowolenie. Wzrasta zaś ono o wiele, gdy spotykamy w niej kilka talentów. Z personelu męzkiego wypadnie nam tu wymienić pp.: Bolesławskiego, Szymborskiego, Wostrowskiego i Orlińskiego.

P. Bolesławski jest artystą szerszej miary. Posiada znaczny dar charakteryzacji, jasną dykcję, postawę sceniczną, dużą inwencję. Role studjuje sumiennie, przedzierzga się z łatwością w najrozmaitsze postacie, umiejętnie unikając powtórzeń. Obrazowy dziad z «Zaczarowanego koła», jowialny szlachcic starej daty z «Domu otwartego», ordynarny mieszczuch Migdał z «Karykatur», pesymista-malarz z «Tej trzeciej», Fredrowski Jenialkiewicz—wszystko to w grze jego są postacie żywe. Może zbyt naturalistyczny w roli «Carusa», gdzie obrał sobie przykry dla widza rys — czkawkę pijacką, może zamało tragiczny i nie dość drżący przed grozą przeznaczenia w oryginalnie pojętej roli Ruszczyca w «Złotem runie», zarysowuje się w całej pełni swojego talentu w roli księcia Radziwiłła Panie Kochanku: z głową wygoloną, z kępką włosów na środku czaszki, z obfitem podgardlem, barczysty i postawny, w kontuszu, wygląda, jak zdjęty z konterfektu sali antenatów.

Wytrawny artysta p. Szymborski w każdej roli jest na swojem miejscu. Jeżeli w rolach, wymagających większej energji, zbraknie mu chwilami paru tonów o wyższem napięciu, to przecie nigdy nie zawiedzie zamiarów autora, a w charakterystycznych postaciach starców stoi na wysokości zadania: posiada humor i fantazję. Galerja typów, w które się przeobraża, mówi o zdumiewającej pracowitości tego artysty. Nie zatrzymując się na Zagłobie, na zakłopotanym ojcu pięciu córek z «Jarmarku», na garbatym panu Ignacym z komedji Fredry, na wesołym ojczulku Borkowskim z «Karykatur», przypomnijmy tu doskonałego szambelana Łopuskiego z «Leosi Puciatównej», starego dworzanina o siwych mrugających oczach i głupio-zdumionej twarzy, który zaraził się kłamstwem w służbie u krotofilnego księcia.

Piękną przyszłość posiada artysta sceny lwowskiej, p. Wostrowski. Dawno nie zdarzyło się nam widzieć artysty w tak młodym wieku z takim zasobem inteligencji i samodzielności w pojmowaniu i odtwarzaniu ról, z tak znacznym darem obserwowania mimiki wielkich duchowych wstrząśnień, z taką niezmierną naturalnością w głosie i ruchach. Z ogromną prawdą przeprowadza on trudną rolę Relskiego z «Karykatur», pod pozorami suchości w stłumieniu głosu, w hamowanych gestach odkrywając przed widzem głąb nurtowanej bólem duszy. Namiętny i dziki jako Azja Mellechowicz, gdzie pociągnięty kolorytem postaci wschodniej, może zbyt monotonnie podkreśla wyrazy, za blady w Mazepie, gdzie mu nie dopisują warunki usposobienia, niepotrzebnie pospolitujący się w komicznej roli z farsy Fredry, jest stylowym i poetycznym, jako Silwio w «Odrodzeniu».

Niepospolitemi zdolnościami odznacza się p. Orliński, artysta o bardzo szerokiej skali, drobiazgowo obmyślający swoje role. Trudno uwierzyć, że zwinny i giętki djabeł Kusy ze sztuki Rydla może zmienić się w wesołego i dobrodusznego księdza z «Odrodzenia», pompatyczny Trzyciszewski w tatara Halima, żałośnie komiczny Wirszył i zabawny Fujarkiewicz w ponurego i nerwowego Łąckiego. Jest to artysta, gotujący zawsze niespodzianki.

Personel kobiecy pod względem ilości i szerokości talentów nie przedstawia się tak szczęśliwie. Ze względu na ilość ról w repertuarze sztuk polskich, w których naiwna panienka, przekomarzająca się z narzeczonym, kochana i kochająca, sympatycznie wesoła, jest typem tradycyjnym, zawsze mile spotykanym przez publiczność, uśmiechającą się opiekuńczo do niej w osobach ludzi starszej generacji, a hołdowniczo—w osobach młodzieży męzkiej, pierwsze miejsce należy się pani M. Sznage. Role te są zdradliwe, gdyż łatwo przejść w nich w szablon. P. M. Sznage szczęśliwie uniknęła tego niebezpieczeństwa, umiejąc wyjść po za zakres tych ról, o czem świadczy błyskotliwie stworzona przez nią postać modelki w «Odrodzeniu», lub pani Wołodyjowskiej, choć ta ostatnia rola wymaga więcej dramatycznego zacięcia i męzkości, nie mieszczącej się w miękkiem usposobieniu p. M. Sznage, tak poetycznej, jako Basia w sztuce Rydla.

P. Nowicka w «Zaczarowanem kole», zwłaszcza w odegranych z ekspresją scenach spotkania z katem, obłąkania i w scenach miłosnych, zarysowała się jako artystka dużej siły dramatycznej. Musi jednak ta artystka wybrać pomiędzy rolą przesadnej wdowy z «Karykatur», a tak poważnemi, jak rola Amelji w «Mazepie», bo nie dość szeroka skala tonów i ruchów naraża ją na niebezpieczeństwo zestawień ze strony widza, a gdy należycie komiczną jest w pierwszej roli, nie dociąga do właściwego tonu w drugiej. Szlachetne traktowanie ról zdradza, że większy ma pociąg do postaci dramatycznych, zwłaszcza w nowym stylu, co widać choćby w podjęciu tak ciężkiego zadania, jak rola Ireny w «Złotem runie», gdzie boryka się z trudnością stworzenia żywej postaci z kłębka wykrzykników i znaków zapytania. W «Odrodzeniu» p. Nowicka umiała być sympatyczną i pełną godności margrabiną, co dowodzi, że jest w stanie, w razie potrzeby, panować także nad nerwowym swoim temperamentem.

Młoda artystka p. Miłoszówna z taką tkliwością i ujmującą prostotą odegrała rolę Zosi w «Karykaturach», że, biorąc pod uwagę pełną serca grę jej w tej jednej sztuce oraz dobre warunki zewnętrzne, możemy wróżyć tej artystce przyszłość, jeżeli bardzo popracuje nad sobą i znajdzie równie właściwe tony dla innych ról, ku czemu pewne kroki uczyniła już w postaci Coletty z «Odrodzenia».

Na wyróżnienie zasługują jeszcze: zdolny artysta p. Szczurkiewicz, który poprostu skończenie stworzył moljerowską postać magistra w «Odrodzeniu», p. Pawłowski, bardzo dobry w rolach komicznych, wymagających pewności siebie, i charakterystyczny w rolach postaci drugorzędnych p. Górski; z artystek — p. Micińska, umiejąca przedzierzgnąć się z pretensjonalnej ciotki w «Jarmarku małżeńskim» w mówiącą jedwabne słówka kasztelanową, i p. Konarska, z ordynaryjnej Walentowej w «Karykaturach» przeobrażająca się w siostrę księcia Radziwiłła w «Leosi Puciatównej».

Z przykładów tych widać, jak wielkie przeskoki zmuszeni są czynić artyści prowincjonalnej trupy; i jeżeli nie wszyscy oni w każdej z mnóstwa ról stoją na wysokości zadania, to o wszystkich można powiedzieć, że są pożytecznymi pracownikami sceny. Panie Łącka-Pawłowska (Vittorino w «Odrodzeniu»), Mirska, A. Sznage, Bielska, pp. Dąbrowski (Jasiek w «Zaczar. kole»), Kęcki, Konarski, Zaręba, Oranowski, Szymanowicz, Boguszewski i Rawicz dostrajają się należycie do całości, a o ile im zakres roli pozwala, żywszem błyskają uzdolnieniem. Brak miejsca nie pozwala nam na ściślejsze wyróżnienia w tej ostatniej grupie, jakkolwiek niewątpliwie możnaby je uczynić.

L. B.

BIBLJOGRAFJA TYGODNIOWA.

BOUFFAŁŁ ST. Powietrze, z 12 rysunkami, kop. 10.
BRZOZOWSKI ST. Hipolit Taine i jego poglądy na filozofję, psychologję i historję, kop. 20.
CENTNERSZWER M. Teorja jonów, jej rozwój i najnowsze kierunki. Krótki zarys teoret. zasad elektrochemji, kop. 60.
DEOTYMA. Branki w jasyrze. Powieść, 6 tomów, rb. 6.
DUBIECKI M. Obrazy i studja historyczne. Serja I. Wydanie drugie, rb. 2.
EMMERICH K. A. Męka bolesna Pana naszego Jezusa Chrystusa, według rozmyślań... kop. 75.
«GORZKIE ŻALE», czyli rozmyślania męki Pańskiej, kop. 5.
KRAMSZTYK ST. Wykład arytmetyki handlowej. Część pierwsza, ogólna, obejmująca zastosowanie zasad arytmetyki do potrzeb i zwyczajów kupieckich. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione, w kartonie, rb. 2.
KRASSET JAN, ks. Sługa Chrystusowy w samotności, czyli dziesięciodniowe rekolekcje. Wydanie drugie, rb. 1.
LEWENBERG A. Geometrja rzutowa tworów pierwiastkowych. Ze 165 rys. w tekście, rb. 8.
MICKIEWICZ A. Poezje. Nowe wydanie, z życiorysem autora, skreślonym przez P. Chmielowskiego, 4 tomy, rb. 3 k. 60, w opr. płóc. rb. 5.

Do nabycia w Księgarni **K. Grendyszyńskiego**, w Petersburgu (ulica Jekaterynińska № 2).

Redaktor i wydawca
Erazm Piltz.

CZYTELNIA

„Kraj“ Petersburg, 29 marca (11 kwietnia) 1902 roku. № 13

POGRZEB.

TRYPTYK SCENICZNY WIERSZEM

PRZEZ

KAZ. LASKOWSKIEGO.

OSOBY:

STANISŁAW, artysta-malarz.
ŁUKASZ, dziad wiejski.
MATUSOWA, wdowa } wieśniaczki.
WALENTA, swatka }
SOŁTYS } gospodarze wiejscy.
MICHAŁ }
KACPER, młody wdowiec }
GRZELKA } parobczaki.
STASZEK }
JÓZEK }
EWKA } dziewczęta wiejskie.
ANTKA }
KASIA }
ZAKRYSTJAN.
KSIĄDZ PROBOSZCZ.

Wieśniacy, wieśniaczki, dzieci.

Rzecz dzieje się na wsi.

OBRAZ I.

(Krajobraz wiejski. Ranek czerwcowy. Stanisław stoi przy drodze wysadzonej wierzbami, wzdłuż drogi opłotki z żerdzi. W głębi widać pola, a za polami wieś kościelną).

Stanisław.

(rozglądając się z zachwytem).

Podmaluję dzisiaj szkic...
Cała ziemia jak w robronie
z złotej lamy...
gore! płonie!
Opalowe skrzą się rosy—
złote niwy! złote kłosy!
Nie zastąpi słońca nic!
. . . . . .
Podmaluję dzisiaj szkic.
. . . . . .

(Przysiada na żerdziowych opłotkach).

Cudownie piękny Boży świat!
Jakieś echa rozmodlone
Opowiły drzew koronę,
Jakieś echa dawnych lat,
Przemarzone, niewyśnione!
Cudnie piękny Boży świat!
. . . . . .
Oko gubi się w plenerze,
Przyrodzony wielbiąc ład!

(Nasłuchując).

Dzwonią... Ranne snadź pacierze
Pieśń prostaczych serc i chat!...
Śpiewa niebu swoje «wierzę»
Wyzłoconej ziemi szmat!...

(Zamyśla się — po chwili).

Dziwny jednak czar i siła
tkwi w wspomnieniach młodych lat...
Gdy myśl wszystko już przeżyła,
wraca do tych dni minionych,
niewyśnionych, pogrzebionych...

(Z goryczą).

By odnaleźć... zwiędły kwiat!

(Po chwili, przecierając czoło)

Rozmarzyło cię, szlachcicu!
Biały dworek... lity pas...
Romantyczność przy księżycu
I przy słońcu ściga nas!

(Drwiąco).

Rozmarzyło cię, szlachcicu!

(Z determinacją)

Do roboty zasiąść czas!

(Rozstawia sztalugi i rozgląda się naokół).

Do roboty! Punkt wyborny!
jak na dłoni cały plan!
Tło ciemniejsze—odłóg orny,
dalej wstęgą żytni łan,
rzeczka, młynek... za rzeczułką
kręta dróżka pnie się w kółko
aż do gęstwy leśnych ścian...
. . . . . .
Jak na dłoni cały plan!
. . . . . .

(Wyjmuje przybory malarskie).

Teraz wioska... Z nad pagórka
świeci krzyżem sygnaturka,
wieniec chatyn...
No i lud

(Znaczy węglem na płótnie i, nie patrząc, mówi w dalszym ciągu do siebie)

do kościelnych śpieszy wrót...
Barwny! strojny chłop krakowski!
czapka z piórem...

(Gestykulując).

W «potyk» pas!

(Z zapałem).

Bo bez chłopa nie ma wioski,
a bez wioski niema nas!

(Szkicując).

U mnie będzie kupa luda!
Weselisko! skrzypki... duda...
Basetlista ciągnie smykiem!
Panna młoda pod strojnikiem...
«młody» dębczak! ojciec... swaci...

(Rysując szybko).

drużbów... drużek cały chór!
a tam... w głębi... w drzew połaci
Pochylony stary... dwór!

(Rysuje, przyśpiewując).

«A na moście
Trawa *roście*,
A pod mostem *sloz*,
Prosiła mię panna młoda,
Zebym z kunia *zloz*...
A jo tego nie ucynię,
Bo się boje o cupryne,
O kowany pas!»

(Po chwili).

...Walą prosto ku dworowi
Pokłonić się dziedzicowi...
Znam to wszystko, dobrze znam!
dotąd w oczach, sercu mam!

(Przyśpiewuje).

«Pas kowany, pozycany,
Copka nie jego!
A cemuześ moja Maryś
Posła za niego...»

(Po chwili).

... Walą starym obyczajem...
Dziedzic w ganku... drzwi ścieżajem...
Po dawnemu w dworski próg!
Panna młoda i pan młody
Na małżeńskie proszą gody—
Kornie chyląc się do nóg...
Starszy drużba «palmą» dzwoni—
a ta palma w chłopskiej dłoni
świeci, niby złoty róg!

(Szkicując).

Jeno patrzeć grajek utnie...
. . . . . .
Znam to wszystko, dobrze znam!
Nie pomieścić w jednem płótnie!
Jak ta ziemia trzeba ram!
. . . . . .

(Po chwili).

Nie pomieścić w jednym szkicu—
Chyba skończę na dziedzicu...

(Po namyśle).

Albo tryptyk! Nie wiem sam...

(Wstaje i rozgląda się).

Rozmarzyło cię, szlachcicu...
jak ta ziemia trzeba ram!
(Pocierając czoło).
U mojego wszak rodzica
Nieraz gościł wiejski lud...
(Przygląda się szkicowi, poczem, odszedłszy parę kroków, przysłania ręką oczy i spogląda w stronę poblizkiej wsi).
Bardzo ładna okolica..
(Szybko).
Co ja widzę! istny cud!
tam naprawdę ciągnie lud!
Ani chybi, że wesele
od kościelnych śpieszy wrót...
Będzie łatwiej o modele...
Nie widziałem tego wprzód!
(Z oddali słychać przytłumione śpiewy).
Bez wątpienia weselnicy,
już dolata nawet śpiew...
(Nasłuchując).
Wiatr przygłusza ton skrzypicy
bijąc w czuby zwartych drzew...
lecz niechybnie lud z wesela!
Będzie łatwiej o modela...
(Po chwili).
Najwyraźniej słyszę śpiew!
(W zadumie).
Lubię chłopską pieśń od ucha,
nieuczony, szczery ton,
Samorodny oddźwięk ducha...
(Patrzy w przestrzeń, nasłuchując).
Znowu wiejski bije dzwon...
A tam...
(Ukazując ręką).
Chłopak czy dziewucha
Przystanęła w zbożu, słucha...
Pewnie dąży ku weselu,
Jakaś drużka z dalszych stron...
(Przygląda się).
Nie! to chłopak...
(Nawołując).
Przyjacielu!
Przyjacielu! hop! hop! hop!
(W głębi, z przeciwnej strony, ukazuje się dziad Łukasz, idący drożyną. Śpiewa).

Łukasz.

«Nie starajcie się światła,
Nie starajcie dzwonów...
Nie trzeba mi parady...
Nie trzeba pokłonów...»
(Spostrzegłszy stojącego Stanisława, urywa).

Stanisław.
(zwróciwszy się szybko).
Kto tu?... Jakiś stary chłop...
Dziadowina pochylony...

Łukasz.
(kłania się nizko).
Niechaj będzie pochwalony...

Stanisław.
Kto wy taki?

Łukasz.
Jo?... dziod... Łuka...
A *panosek* cego huka?

Stanisław.
Ja?... Wołałem na chłopaka...
(Ukazuje ręką).
Ot... tam! w zbożu przy tych krzach...

Łukasz.
(przyglądając się—po chwili).
E-e... panosek kpią z prostaka!
Kaj tam chłopak! to *je*(st) strach!...
Strach na wróble...

Stanisław.
Co pleciecie?!
Najwyraźniej widzę przecie...

Łukasz.
(potwierdzająco).
Jako żywo: copka, łach,
to na wróble w zbozu strach!
Niech panosek spoźry *ino!*
toć to *tycka* pod copcyną
przystrojona w chłopski łach...
Ale ptoki nie som głupie —
wiedzą, co chłop je(st) w chałupie,
a to tylko taki strach...
Już ćwierkają *ano* w krzach!...
Jeden bedzie śpiwał ładnie,
a zatencas drugi kradnie...
Straśnie łase-bo na snop...

Stanisław.
(przysiadując na żerdzi—półgłosem).
Byłbym przysiągł, że to chłop...

Łukasz.
(kłaniając się).
Pan wielmozny chyba z miasta?
(Stanisław potakuje głową).
Zrazu poznać, że nie «swój»...

Stanisław.
(półgłosem, gniewnie).
Patrzcie! i ten wie, co kasta!
(Głośno).
Na wsi mieszkał rodzic mój!
Taki ja wasz, jako i wy!
Taki krew z krwi! z kości kość!

Łukasz.
(do siebie).
Hardy szlachcic zaraz w gniewy...
(Głośno).
Moze *taki*, ale gość.
(Kłania się i chce odejść).
Niechze bedzie pochwalony...

Stanisław.
(łagodniej, zatrzymując Łukasza).
A wy, dziadku, z jakiej strony?

Łukasz.
Jo...? tutejszy... z Małej Woli...

Stanisław.
A wasz rodzic nie miał roli?

Łukasz.
(wzdychając).
Ni mioł... Pomnę z młodych lat,
ze po dworach wysługiwał...
był borowym, strzelcem bywał...
W końcu z pany poszed(l) w świat
i już odtąd
(macha ręką).
...ani słychu!
Będzie temu z kopa lat...
ani słychu! ani dychu!

Stanisław.
(przypatrując się z zadowoleniem).
Jak z lanszaftu wiejski dziad!
(Głośno).
Pamiętacie stare dzieje?...

Łukasz.
Oj, pamiętom! lasy, knieje,
dwory, cugi, zboze w pas...
było państwo co się zowie,
teraz niema i w połowie...
(wzdychając).
I na biednych gorszy czas...
Po «prosonem» człowiek musi
z torbą, kijem... póki, póki
nie spodoba się Kostusi
wziąć ze świata dziada Łuki...

Stanisław.
Czerstwo jeszcze się trzymacie,
mój Łukaszu, na swój wiek...

Łukasz.
Krzepi się, jak moze, człek!
Tak-ta jakoś się *telebie*...
Kapnie grosik na pogrzebie,
na odpuście, na weselu...
Juz mi blizej niźli dali...

Stanisław.
To dziś pewnie, przyjacielu,
na wesele podążacie?

Łukasz.
(żegna się—z zadziwieniem).
A wszelki duch Pana chwali!
kaj wesele?

Stanisław.
(wskazując ręką).
Ot! w tej chacie,
Co tam miga w pośród drzew...
Weselników szła gromada —
Sam słyszałem: dzwony, śpiew...

Łukasz.
(przerywając).
Co wielmozny pan tez gada?
(Patrzy i śmieje się).
Ej! panosek znów kpią z dziada...

Stanisław.
(z przekonaniem).
Spójrzcież sami. Z pośród drzew
widać jeszcze orszak chwacki!
palma-symbol błyska w zwyż!

Łukasz.
(patrzy ku wsi i przerywa z oburzeniem).
Co za «cymboł»? toć-to «bracki»,
jak zwyczajnie, niesie krzyż
przed narodem... «Bracki»!

Stanisław.
(zdziwiony).
Czyż?
Lecz tam... w lewo... jak ten smug...
Świeci palma, złoty róg!...

Łukasz.
(drwiąco).
Jako palma? to je(st) pług!
to chłop wroco od oracki...

Stanisław.
(zniecierpliwiony, wskazuje ręką).
Prosto! we wsi!

Łukasz.
Ano «bracki»
przed narodem niesie krzyż!
Toć zwyczajnie, jak z pogrzebu...
Chocioz stary, dzięki niebu
mom wźrok dobry...

Stanisław.
(z zakłopotaniem).
Pogrzeb... czyż?

Łukasz.
Nie inaczej z przeproszeniem,
toć ich widać przed podsieniem
Porachować-by człek mógł
na palicach!...

Stanisław.
(w zadumie).
Krzyż i pług!
(do siebie).
Zasypałem się do licha!
Znowu wróble, znowu snop!...

Łukasz.
(spoglądając na Stanisława, półgłosem).
Coś do siebie mruczy z cicha...

Stanisław.
A któż umarł?

Łukasz.
Ano... chłop!
Chłop... gospodarz... mioł półrolek...
I nie stary... średnich lat...
Nawet krewniak niedaleki...

Stanisław.
Cóż mu było?

Łukasz.
Dostał kolek,
no — i zasnął nam na wieki,
widzi mi się, że coś zjad(ł)...

Stanisław.
(półgłosem).
Dziwny stary! dziwny dziad!
Zmarł mu krewny, nawet blizki,
a on, jakby siadł do miski,
tak spokojnie opowiada...

Łukasz.
Prosili mię, chocioz dziada,
ale trochę zapóźniłem,
bo to jednak drogi szmat!

Stanisław.
(do siebie).
Więc to pogrzeb... Nie sądziłem...
Inny zgoła, inny świat!
(Podchodzi ku sztalugom).
Co innego mówi szkic,
nie zastąpi prawdy nic!

Łukasz.
(do siebie).
Cego jednak on tu chce?...
(Kłaniając się).
Z przeproszeniem dobrodzieja,
(Wskazuje na sztalugi).
co to ma być, ta wierzeja?
i te karty na niej? hę?

Stanisław
(szybko).
To... z natury wiejski szkic...
Rozumiecie?

Łukasz
(trzęsąc głową).
Zgoła nic!

Stanisław
(tłómacząc).
Ot... widzicie... są obrazy
(Wyjmuje z teczki i pokazuje).
Pejzaż... studjum, główka... typ...
(Rozkłada szkice na murawie).

Łukasz.
Ha! obrazy... przez urazy
teraz wi(e)m, wielmozny panie...
toć się było z dziesięć razy
w Częstochowie...

Stanisław
(półgłosem, śmiejąc się).
Stary grzyb!
Także znalazł porównanie...
(Głośno, pokazując jeden ze szkiców).
...To zagroda w wianku lip...

Łukasz
(wskazując na drugi obrazek).
A to *hajnok?* Pies przy sianie?

Stanisław
(gniewnie).
Krowa, krowa...
(do siebie).
Stary grzyb!

Łukasz.
No... a świętych malowanie?

Stanisław
(uśmiechając się).
Jak Bóg miły, pyszny typ!
a to zadał mi pytanie!
(Udając, że nie słyszał pytania, pokazuje w dalszym ciągu inne szkice).
...Macie «wieczór»... Blask księżyca
na kościelny pada dach —
a to brzózka żałobnica
rozpuściła warkocz w łzach
i płacze...

Łukasz.
Płace? Kto?

Stanisław.
Brzoza...

Łukasz
Brzoza... do księżyca?
abo im to jakie zło?

Stanisław.
Brzoza, dziadku, smutne drzewo,
Niech wiatr ruszy gałązkami,
Sieje rosą niby łzami,
Na żałości wielkiej znak...

Łukasz
(ośmielając się).
Jo na prawo, a pon w lewo...
Kaj tam może płakać krzak?

Stanisław.
To się mówi tylko tak
pod figurą... Rozumiecie?

Łukasz
(wzruszając ramionami).
Niekoniecznie! tyle lat
człek już chodzi po tym świecie...

Stanisław
(do siebie).
Dziwny stary! dziwny dziad!

Łukasz
(kończy zaczęte zdanie).
... dwie siekierki już bez mała!
wyłysiołem, pobielołem,
ale jeszcze nie słysołem,
zeby brzozka kaj płakała —
a schodziłem ziemi szmat!

Stanisław
(półgłosem).
Dziwny pogląd ma ten dziad!

Łukasz.
(po pauzie, wskazując na rosnące nieopodal brzozy).
Dla mnie brzózka, to kiej dziewka!
Świat jej karcma, wiater śpiewka...
Biało korka kiej kosula!
Rozmamała się i hula!
(Wskazując ręką).
Niech pon spoźry, jak wywija!
Co wiatr wionie—ona w ton!
biołe piersi, bioła syja...
Niech wielmozny spoźry pon!
Nicem dziewka *rozmamana!*
Jeno huko! oj ze dana!
(Trzęsąc głową).
Gdzie zaś takiej w głowie łzy,
Jeno śmiechy, jeno gzy,
z przeproseniem łaski pana!...

Stanisław
(zamyślając się).
Dziwny stary, dziwny dziad,
Jakże różnie patrzym w świat...
(Składa szkice do teki).

Łukasz
(kłaniając się).
Ale ja se gadu, gadu,
a tu w drogę trzeba dziadu...

Stanisław
(daje mu pośpiesznie datek).
Poczekajcie...
(Namyśla się).

Łukasz
(do siebie).
Ludzki pon,
W mig szlachecki poznać ston!

Stanisław.
Jabym poszedł do wsi z wami,
Zatęskniłem za chatami...
Już nie byłem siła lat!
Wszak znajomych macie w włości?

Łukasz.
(Ochoczo).
Co chałupa kum i swat!
Jeśli wola proszę w gości!...
Zajdziem se do jegomości,
żywnie będzie panu rad,
poczęstuje, przenocuje...
(Spogląda znacząco na Stanisława).
pon mu moze namaluje
jaki obraz?... pewniem zgad(l)!
(z chwalbą).
O... niegłupi z Łuki dziad!

Stanisław
(uśmiechając się).
Namaluje... ale wprzód
chcę odwiedzić wiejski lud...

Łukasz.
Niby chłopów? gospodarzy?

Stanisław.
Kogo spotkać się nadarzy.
Może zgodzi się malować,
jaka Maryś, albo Grześ?...

Łukasz
(z powątpiewaniem).
Moze... niechce obiecować,
(Do siebie).
Chłop ma takie rzecy gdzieś!
(Głośno).
to najlepiej zajść do wdowy,
bo tam bedzie cało wieś!

Stanisław.
Zgoda dziadku! jam gotowy...

Łukasz.
...dadzą wypić, dadzą zjeś(ć)...
(Stanisław składa stalugi).
Pon pozwoli, to pomogę...

Stanisław
(zbierając przybory malarskie).
Niepotrzeba! wezmę sam,
parę funtów cały kram!
Opowiecie mi przez drogę
Jaką gadkę? dobrze?
(Daje mu pieniądz).

Łukasz.
Mogę!
(Do siebie).
Już trzy złote całe mam!
(Do Stanisława).
Jakom godke? To się powie
o dwóch synach i o gdowie...
Jeden pon był, drugi cham,
(Wychodzą zwolna).
Była sobie jedna gdowa,
miała synków dwóch...
Jaś był gębacz, Stach niemowa,
Jonek zuch, a Staszek głuch...
Jonka gdowa hołubili,
A zaś Staszka nie lubili...
Jod(ł), co spadło, społ przy płocie
A zaś Jonek chodził w złocie.
I tak było długie lata...
Aż tu nocą gore chata!
Gdowa krzycy! lamentuje!
Na synocków nawołuje!
Ale Staszek sypioł w krzach,
Jeno Jonek lazł na dach!
Nie móg(ł) zradzić som ogniowi,
Spolił się dobytek gdowi...
A jakby społ w izbie Stach,
toby społem szli na dach...
Kto wi(e)? jesce jakby było...
Mozeby się nie spaliło?
(Kurtyna zwolna zapada. Po zapadnięciu kurtyny słychać śpiew Łukasza i bijące dzwony).
«Winszowana letka śmierć
i letkie skonanie,
«Winszowany cichy grób,
co mi się dostanie!

OBRAZ II.

(Wnętrze chałupy wdowy Matusowej. Izba obszerna. Na kominie garnki, na ścianach obrazy święte. Na środku izby zastawione stoły, na ławach siedzą: zakrystjan, sołtys, Łukasz, Michał, Stanisław i kilku gospodarzy. Pod ścianą, obok drzwi, kilku parobczaków i dziewczyn: Stach, Józek, Antka, Kaśka, Grzelka i Ewka. Później Kacper. W oknach i drzwiach dzieci i kilka jeszcze dziewczyn, przyglądających się ciekawie. Matusowa i Walenta stoją nieopodal komina. Godzina popołudniowa).

Walenta
(idąc z Matusową ku środkowi izby).
Trza wybielić duchem ściany,
Boby się niebos(z)c(z)yk śnił...

Sołtys
(do Stanisława).
Może jeszcze «przepalany»?...
(Chce nalać w kieliszek).

Stanisław.
Bóg wam zapłać. Jużem pił...

Matusowa
(do Walenty, szlochając).
Mom go cięgiem przed oczyma,
Moja kumo! jakby zył...

Walenta
(wzruszając ramionami).
Wy go mocie... on wos niema—
bedzie wom sie moze śnił,
ale z casem i to minie...
(Odciągając wdowę ku komorze).
Pamiętajcież o słoninie!
Toć nieboscyk wieprzka bił...

Matusowa
(idąc zwolna).
Ano biło się na «Świątki»...

Walenta.
Setny pono plewniak był?

Matusowa.
Sześć papierków przez dziesiątki...
(Z rozczuleniem).
Jadł wom wszyćko, wszyćko pił—
straśnie zerty... Ziemniok... plewy...
(Zanosi się płaczem).

Walenta
(uspokajająco).
Moiściewy... moiściewy...:
dajcież pokój, wszyćko minie...
(popycha zlekka wdowę ku komorze).
Pamiętajcie o słoninie,
bo już doma niema nic...
(Wchodzą do komory).

Stanisław
(w zadumie).
Co innego mówił szkic...

Sołtys.
Cy wielmozny pon co goda?

Stanisław
(ukazuje gestem na komorę, gdzie weszła wdowa).
Żal mi wdowy... ciągle biada...

Sołtys
(przekonywająco)
Za psem sadła nie wyrzuci!
co ta taki babski bek!

Zakrystjan.
Juści pogrzeb, to się smuci...

Sołtys.
Niezły był z Matusa cłek...

Michał.
Niezły, niezły... przez przygony...

Sołtys
(do Stanisława).
Moze jeszcze «przepalany?»
(Stanisław przeczy głową).
chociaż krzynę, jak na lek..
(Nalewa w kieliszki).

Zakrystjan
(po namyśle).
Prawde rzeknąć to nieboscyk
czasem lubioł...
(Robi ruch ręką).
...ani spostrzyg!

Michał
(przerywając).
Cęścij wzion nizeli wyjon—
ale zawdy był chrześcijon...

Sołtys.
Nik(t) «odsiebie», kuždy «ksobie»...
jaki se był to i był...
(Wchodzi Grzelka i przysiada się do Ewki).

Zakrystjan
Swieć mu Panie, kiej juz w grobie...
(Nalewa kieliszek i przypija do Stanisława).

Stanisław
(wymawiając się).
Bóg wam zapłać! jużem pił...
toć to pogrzeb, nie wesele...
Jeszcze sobie tu podchmielę!

Łukasz.
A cegój sie znowu smucić;
zkąd kto przysed, musi wrócić...

Zakrystjan.
Świeć mu Panie!

Inni.
Panie świeć!
(Siedzący obok Ewki Grzelka chce ją pocałować).

Łukasz
(szepcąc).
A wiecne odpocywanie...

Ewka.
Ejże, Gzelka! ejże! siedź!

Stanisław
(patrząc na ściskającą się parę).
Zuch parobczak! dziewka kwieć!

Sołtys
(do Stanisława).
Kiej ochota, to ochota.
(Trąca się kieliszkiem).

Matusowa
(wychodzi z komory, za nią Walenta z koszykiem).
Oj sierota-ż jo, sierota!
zeby tak nieboscyk wstoł!
(Popłakuje).
Cięgiem mom go przed ocami...

Walenta
(uspokajająco).
Co wskórocie temi łzami?...
(Zagląda do koszyka).
Na trzy palce spyrkę mioł!
(Do Matusowej).
Toć ostały: gront, zagroda...
(wesoło).
Jesce z kumy będzie «młoda»...
jesce orgon bedzie groł!

Matusowa
(ocierając oczy).
Ej! pleciecie, moja kumo...
ktoby mie ta teroz chcioł...
troje dzieci...
(Przysiada na ławce pod kominem, robiąc miejsce Walentej).

Walenta.
...Toć świadumo,
Ze sie Kacper ku wom mioł...

Matusowa
(półgłosem).
Siedźcie! bo posłysy kto,
zaroz wezmą na języki,
będą bajki, a przytyki...
moja kumo!

Walenta.
No... no! no!
nie trza gadać mi dwa razy...
(Po chwili).
Matusowa! przez urazy
odpisany mocie gront...?

Matusowa.
Beł nieboscyk u rejenta...

Walenta.
I w «tabele-ście» wciągnięta?
(Matusowa potakuje gestem).

Grzelka
(pokazując na przypatrującego mu się Stanisława).
A ten ślachcic przyloz zkąd?

Stach.
Ano przyloz... a kto go wi(e)...!
dał złotówkę Łukoszowi
i przywiódł go stary dziod!

Stanisław
(do siebie).
Zgoła inny, inny świat,
jakby inne serce biło...

Grzelka.
Przy sołtysie sobie siad(ł)
i zawija aze miło...

Józek.
Jajecznicy rynkę zjad(ł)...

Grzelka.
Całom rynkę? to ci chwat,
a zeby go pokręciło!

Stanisław
(wysuwając się z za stołu).
Jakby inne serce biło,
zgoła inny, inny świat!
(siada na framudze okna).

Kacper
(chłop lat czterdziestu, jowialnie uśmiechnięty, w kapeluszu słomkowym na bakier, z butelką pod pachą — wchodzi i przystaje na środku izby).
...Wszyscy som, a mnie nie było!

Grzelka
(do Kacpra, drwiąco).
Kacper! Kacper! co ta słychać?

Kacper
(oburkliwie).
Stare baby nie chcom zdychać?
(gniewnie).
Cóześ mi to swat? cy brat?
ze mnie tykos...

Grzelka
(żartobliwie).
...bom wom rad.
(kiwa ręką).
Chodźcie mali, chodźcie sawo...
a toć miejsca dość... pod ławą!
(Wybucha śmiechem, inni za nim).

Kacper
(grożąc pięścią).
Som pod ławę wliź, jak pies,
skoro scekosz!
(Odwraca się tyłem od śmiejących się parobków).
...Kaj kumoska?

Walenta
(do szlochającej od czasu do czasu Matusowej).
Matusowa! co wom z łez...
dopust Boski... ludzko troska...
(ukazując na idącego z butelką Kacpra).
Patrzcie! ciego! juz tu jes(t)!

Kacper
(do Matusowej).
Jak was uźrę—zebym sczez(l)
zaroz w myślach mych..., nieboska!
(podchodząc bliżej).
Co? płacecie?
(Do Walentej półgłosem).
Jakże? hę?
mówiliście wedle tego?
(Walenta kiwa głową).
No i jakże, cy mie chce?
to pobierzem sie z «nowego»...

Walenta
(przerywając).
Takić skory! spiesy ci sie!
Pockaj trocha...

Kacper
(do Walentej, nalewa z butelki i przypija).
No! Walenta!
(Nachylając się do ucha).
będzie z tego co? cy nie?

Walenta
(szepce półgłosem).
...i w «tabele» juz wciągnięta...

Kacper
(wesoło).
I w tabele! to jom chce!
Matusowa!
(Przypija i mówi do siebie).
Gładzi pudzie!...
Matusowa!?...
(Podaje jej kieliszek i chce się przysiąść na przypiecku).

Matusowa
(odsuwając się).
Patrzom ludzie!

Kacper
(przytupując, podśpiewuje półgłosem).
«Jakem se był młody chłopiec
Sadzali mie z Kaśką zo piec,
a teraz mie nie sadzajo
jak mi wąsy obrastajo...»

Walenta
(zatykając mu usta dłonią).
Cichobyś był! patrzom ludzie!

Kacper
(potrząsając butelką).
Napijwa się, gładzi pudzie!

Zakrystjan
(pokazuje z za stołu w stronę pijących: Kacpra, Matusowej i Walenty).
...Było światło, była mowa
i po wszyćkiem... Panie świeć!
Pozostała samo gdowa
w gospodarce...

Ewka
(do Grzelki, chcącego ją gwałtem pocałować).
Gzelka! siedź!

Zakrystjan
(wychodzi z za stołu, za nim sołtys i inni. Idą ku kominowi, do Matusowej. Za stołem pozostaje drzemiący Łukasz, do którego zbliża się teraz Grzelka z Ewką. Stanisław stoi w pobliżu okna i rozgląda się).
Matusowa! Matusowa...
Co tu po próznicy mleć!
Było światło... była mowa,
Jak sie patrzy... cego chcieć?!
a została sama gdowa
to i owszem...

Ewka
(do Grzelki).
Gzelka! siedź!
(Zakrystjan z sołtysem przysiadają obok Matusowej. Kacper przypija. Matusowa od czasu do czasu wzdycha i ociera oczy fartuchem. Rozmawiają szeptem),

Stanisław
(pocierając czoło).
Ot użyłem chłopskiej doli,
Głowa boli... serce boli...

Zakrystjan
(do Matusowej).
...Pocichutku... przez hałasu...

Sołtys
(przerywając).
Musom doćkać swego czasu,
wedle prawa...
(do Kacpra).
Kacper! bac(z)!
(rachuje na palcach).

Grzelka
(do Ewki, pokazując na Stanisława).
Jewka... zgaduj, kto to zac(z)?

Sołtys
(rachując).
Cerwiec... lipiec... sierpień...

Kacper
(pokazując na palcach).
...Tsy!

Ewka
(po pauzie).
Pono malorz...

Stanisław.
Pierzchły sny!

Sołtys.
Wrzesień... śtery...

Kacper
(poprawiając).
Śtery? pięć!

Sołtys.
Juześ zełgoł o jednego...

Walenta
(śmiejąc się).
To mu pilno!

Zakrystjan.
Miałby chęć...

Kacper
(nalewając z butelki).
Gładzi pudzie... jesce tego!
(Przypijają, poczem wszyscy zasiadają do bocznego stołu).

Sołtys
(do Kacpra).
Liczwa dali... Było?

Kacper.
Pięć!..
Sześć... październik...

Sołtys.
Lzes! listopad!

Zakrystjan
(półgłosem do jednego z gospodarzy, pokazując na Kacpra i Matusową).
Jeden ostyg(l)... drugi dopad(l)!
(Śmiejąc się).

Kacper
(pokazuje dłoń).
Zrachowałem całom pięć...
(Ruchuje, mentując).
Une, due, reks,
Kwater, kwinter, zeks,
Une, due, raba,
Kwater, kwinter... ziaba!
(Śmieje się).
Matusowo! na wos «ziaba!»

Matusowa
(z obrazą).
Także chłop, jak z Karsów baba! [1])
(wybucha płaczem).
Zeby tak nieboscyk wstoł...

Kacper
(hardo).
To?...

[1]) Przysłowie w Krakowskiem.

Matusowa
(grożąc).
Wnetby ci «ziabę» dol!
Walenta
(pociągając Matusową za rękaw).
Niechno kuma tak nie łaje...
Sołtys
(łagodząc).
Rozum mo, gdzie kura jaje!
Zakrystjan
Toć to żarty, tak się śmioł...
(Godzą zwaśnionych i zasadzają na nowo do stołu).
Stanisław
(zachmurzony).
Dziwne, dziwne obyczaje—
zgoła inny, inny świat,
ten świat chłopski, świat realny...
(spoglądając w przestrzeń).
Dzionek kona już upalny—
znowu płoną zręby chat,
znowu srebrne skrzą się rosy,
złote niwy, złote kłosy!
(smutnie).
Tylko promyk marzeń zbladł!
Stach
(wskazując na śpiącego Łukę).
Patrzcie! a to chrapi dziad!
Grzelka
(trącając śpiącego Łukasza).
Łuka, dajcie no tabaki...
Stach
(wskazując na Stanisława).
Powiedzciez ros, kto to taki?
Łukasz
(przeciera oczy i wydobywa tabakierkę).
Ano... malorz...
Dziewczęta.
Z obrazami?
Grzelka.
...z obrazami!?
Łukasz.
...Jakbyś zgad(ł)!
(Parobcy i dziewczęta podchodzą bliżej. — Ewka z Antką pokazują na leżącą na ławce teczkę).
Sołtys
(trącając się kieliszkiem z Matusową i Kacprem).
...Niech chłop przejdzie zagonami,
w gospodarstwie insy ład!
Stanisław
(w zamyśleniu).
...Ten realny, żywy świat,
Ten realny, żywy chłop—
Nie wydobyć go farbami...
Matusowa
(odsuwając podawany kieliszek).
Ja juz nie chcę... pijcie sami!
Walenta
(do stojącego z niewypitym kieliszkiem Kacpra).
Nim przeskocys! nie mów hop!
Kacper
(rachując).
Grudzień... siedym... styczeń... luty...
(Śmiejąc się).
Nie zrachuję! trza zzuć buty!
Stanisław
(po pauzie, z goryczą).
... Ów realny, żywy chłop,
zda się, jakby nie znał troski!
Lecz to nie ten lud krakowski,
Malowany, ośpiewany!
co jak kwiecie obsiadł wioski,
bujne niwy, złote łany,
co w kowany dzwonił pas!
Wszędzie zmiany i tu zmiany...
(Rozglądając się po izbie).
Tylko obraz «Częstochowskiej»
tylko obraz poświęcany
został, jak był w dawien czas...
(W zadumie).
A bez chłopa niema wioski,
a bez wioski niema nas..
Matusowa
(odtrącając Kacpra).
Chcecie... pijcie do Walenty!
Łukasz
(podchodząc do Stanisława).
Coś panocek «niekuntentny?»...
Stanisław.
Głowa boli...
Józek
(półgłosem).
Slachcic cięty!
Stanisław
(do siebie).
Co innego mówił szkic...
Nie zastąpi prawdy nic.
(Spogląda po chacie).
Tylko obraz ten nietknięty!
Łukasz
(częstując tabaką).
Niech wielmozny pon zazyje...
Stanisław.
Serce bije! w skroniach bije!
niedość kochać! niedość chcieć!
(Do Łukasza, biorąc szczyptę tabaki).
Bóg wam zapłać...
Ewka
(do Grzelki).
Gzelka! siedź!
(Chce się wyrwać, ale Grzelka chwyta ją wpół i prowadząc, nuci).
Grzelka
(spoglądając filuternie na Stanisława, przyśpiewuje).
«Gdybym był malorzem,
«Tobym cię malował:
«cobym pędzlem rusył,
«tobym pocałował!
Stanisław
(patrząc na idącą parę, półgłosem).
Niczem grand hiszpański z damą!
(Głośno do Grzelki).
I ja robiłbym toż samo,
namalował, wycałował...
Jużbym pendzla nie żałował!
(Do siebie).
Co za kibić! co za płeć!
(Ewka kryje się za Grzelkę, ten ją posuwa naprzód).
Śliczna para!
Ewka.
Gzelka! siedź!
(Zbliżają się wszyscy do Stanisława).
Stanisław.
Chcecie, to was namaluję?
Józek
(kłaniając się).
E... wielmozny pon ziartuje...
Łukasz.
O... wielmozny pon potrafi,
rychtyg kiej na fotografji...
Stach
(ściągając stojącą na ławie Antkę).
Antoś! chodźże sawo, zleź!
(Dziewczynie wypada teczka z obrazkami).
Stanisław
(coraz weselej).
A widzieliście obrazki?
Antka
(kłaniając się, z zafrasowaniem).
Doproszom się pańskiej łaski...
(Podaje teczkę).
Stanisław
(do Grzelki).
Jak ci imię, przyjacielu?
Grzelka
(pokazując na Ewkę).
Unej Jewka, a mnie Grześ...
Stanisław.
Pokażę wam: polską wieś!
Łukasz
(przerywając).
Te... com widział... na weselu!
Stanisław.
Tę i inne...
(Idzie ku drzwiom. Jedna z dziewczyn rozkłada fartuch na progu. Stanisław siada. Otaczają go kołem. Pokazuje szkice. Zachodzące słońce oświeca całą grupę).
Józek
(wskazując palcem na szkic).
Patsaj, Grześ!
dyć chałupa, by Matuski!
Stach.
A to borek...
Kasia.
A to gruski!
Grzelka.
A to zda się do wsi droga...
(Pokazuje palcem).
Antka.
A to krowa...
Ewka
(z zachwytem).
Oloboga!
Józek.
Cłekby przysiąg(ł): nasa wieś!
Patsoj, Stachu! patsaj, Grześ!
Stanisław
(do siebie).
Ci pojmują znacznie lepiej...
(Głośno).
Pokażę wam coś innego...
Walenta
(do Kacpra).
Nic nie pytaj! Jesce przepij!
Kacper
(do Matusowej).
Tak cy owak... jesce tego...
(Podaje kieliszek).
Stanisław
(wydobywając kolorowany szkic).
Wiecie bracia, kto to był?
(Wskazując ręką na szkic).
Grzelka.
Ten, co spancer ma niebieski?
(Stanisław potakuje).
Kasia.
Jakiś ślachcic...
Stanisław.
Król Sobieski!
co pod Wiedniem Turków bił....
Król! obrona Chrześcijaństwa!
(Wszyscy przyglądają się ciekawie).
Józek.
Niby, cyj król?
Łukasz.
(wskazując na Stanisława).
Ano... państwa...

Stanisław
(smutnie).
Wszystkich nas tu, wszystkich społem!
Łukasz.
... Musi bardzo dawno zył,
bo nic o tem nie słychołem!
Grzelka.
Skapa pod nim, nikiej smok...
Józek
(przyglądając się).
Ubiór! ubiór! az lgną ocy...
Stanisław
(smutnie).
Więc tę postać okrył mrok...
Łukasz.
Coś panocek znów się boc(z)y?...
Grzelka
(pokazując Ewce konia).
Jakie piersi! jako noga!
Ewka.
Oloboga! oloboga!
Józek.
A ci drudzy za nim w skok!
Stanisław.
Więc tę postać pokrył mrok...
(Przerzuca w teczce inne szkice).
Szkoda!... Nie mam tu obrazu
Z inną szkapą... białonóżką...
Ten poznalibyście zrazu—
Wiecie, kto to był?
(Wszyscy, z wyjątkiem Staszka i Łukasza, trzęsą przecząco głowami).
Szkoda! żeby była kreda...
(Robi gest, objaśniający rysunek).
Grzelka.
Kryda? Józek, skoc(z) do zyda!
Józek.
A moze, wielmozny panie,
Węglem... mozna?...
Stanisław.
Węglem? gdzie?
Grzelka.
A chociazby tu, na ścianie!
Toć w chałupie węgiel je(st)...
(Antka biegnie i przynosi węgiel. Równocześnie Grzelka bierze kieliszek i butelkę wódki ze stołu chowa pod sukmanę).
Stanisław.
Zgoda! dajcie węgla, chłopcy!
(Zaczyna rysować).
Ten nie będzie wam już obcy,
bo się z wami razem bił...
Łukasz.
I ten musi dawno zył...
choć conieco się majacy...
Sołtys
(zaciekawiony, zbliża się—odsuwając cisnącą się Kaśkę).
Grzelka
(pokazując na rysunkach).
Jakby patsył!
Józek.
Jakby zył!
Łukasz.
Coś po głowie się majacy...
(Drapie się w czoło).
U probosca taki był!
Staszek.
Takusieńki ponad łóżkiem...
Grzelka.
Jakby potsył!
Ewka.
Jakby zył!
Staszek
(kłaniając się Stanisławowi).
Ja słychołem kie(j)si... ka(j)si...
ze sie straśnie bili nasi,
lec(z) to było w dawien cas
małowiela dosło nas...
(Stanisław zacierając ręce z zadowoleniem).
Stanisław
Wszyscyśmy się bili wraz!
Łukasz
(do Stanisława).
Chłop sie z ponem mogą nadać,
jeno z chłopem trza pogadać...
Stanisław
(po pauzie rozczulony).
Chcecie? to was namaluję...
Józek.
E... wielmozny pan zartuje...
Stanisław.
Słowo daję! zrobię chętnie..,
Ewka
(do Antki).
To trza odziać się odświętnie...
Stanisław.
Namaluję, jak kto chce.
Antka
(do Kasi).
Trza sie duchem odziać ładnie.
Kacper
(do sołtysa).
...To na zapust som wypadnie,
na som zapust...
Sołtys.
To ci źle?
bedzies huloł...
Stanisław.
Jak kto chce!...
(do Kasi).
Ciebie Kasiu z dwojakami...
idziesz polem, zagonami,
drobne nóżki myjesz rosą...
Kasia
(z ukłonem),
Cy w tsewikach? cyli boso?
Antka
(przerywając).
A wielmozny panie, mnie?
Stanisław.
Ciebie... z sierpem...
Józek
A mnie z kosą.
Grzelka
(kłaniając się z kieliszkiem).
A mnie chyba z moją Jewką,
(obejmuje ją wpół, ta się wzdraga).
chocioz mnie ta duchem nie chce...
(kłaniając się Stanisławowi).
Niech wielmozny pon pozwoli?...
Stanisław
(biorąc kieliszek).
Wasze zdrowie!
Józek
(półgłosem).
Tego smoli!
niezły ślachcic! dusa pon!
Grzelka
(nalewając drugi kieliszek).
Niech wielmozny pon pozwoli...
Stanisław.
Już nie mogę... głowa boli...
już wypiłem omal dzban!
Grzelka, Ewka, Stach
(równocześnie).
Chocioz krzynę... małowiele...
Stanisław
(pocierając czoło).
Już nie mogę! choćbym chciał!
Ewka.
To sie panu w mig uściele
i panosek bedzie spał...
Stanisław.
Wasze zdrowie! wszystkich społem!
(wypija).
Józek.
Dobry ślachcic...
Łukasz
(potakująco).
A!... godołem!
Józek
(pokazując na zataczającego się Kacpra).
Ten ci sie dopiro schloł!
Matusowa
(patrząc na Kacpra zawodzi).
...Zeby tak nieboscyk wstoł!
Kacper
(idzie przez środek izby ku drzwiom, przyśpiewując).
«Oroł Maciek, oroł
jednom starom krowom,
Zlamała jarzemko,
nie kiwnęła głowom».
(Wychodzi zataczając się).
Grzelka
(naśladując ruchy Kacpra).
Ten ci sie dopiro schloł!
Stanisław
(do stojącego w zamyśleniu Staszka).
A ty Staszku, jakbyś chciał?
jaki obraz w twojej głowie?
Stach.
Jo?...
(Po namyśle).
Kiej byłem w Częstochowie,
kiej śpiewali takie pieśni,
co to nikiej cłek nie prześni,
cy to w scęściu, cy to w łzach...
Stanisław
(podaje mu rękę).
Tobie Staszek i mnie Stach!
Stach
(ośmielając się).
I latamiś-wa rówieśni...
Stanisław.
To ty, Stachu, lubisz pieśni?...
Ewka
(podchodząc z białą chustą).
Moze panu posłać w krzach?
noc pogodna... jo uściele
świezutkiego siana w pas!
(Stanisław potakuje głową).
Łukasz
(podnosząc się).
Odpocąłem mało-wiele...
Komu w drogę temu c(z)as!
(Idzie w stronę Matusowej i żegna się z zakrystjanem, drzemiącym przy stole).
Kasia
(do Stanisława).
Moze zasłaćby w stodole?
Stanisław.
Na powietrzu, Kasiu, wolę...
Grzelka.
Jo w poblizu będę pas(ł)...
(do Ewki).

Jadę z śkapą po-pod las
przyńdź-ze Jewciu o księzycu...
(Ewka wybiega ze śmiechem).

Stanisław
(wodząc okiem w żadumie).

Rozmarzyło cię szlachcicu!
biały dworek... lity pas...
(Przysiada na progu).

Stach
(przysiadając obok).

Pobyłby pon między nami?...

Stanisław
(wesoło).

Z obrazami?

Stach.

Z obrazami...

Stanisław.

Długo?

Stach.

Póki-by pon chcioł.

Stanisław.

Chciałbyś?...

Stach
(radośnie).

O jej!

Stanisław.

Czyż? doprawdy?...

Stach.
(gorąco).

Choćby cięgiem! choć na zawdy!
(Podnoszą się obaj z progu).

Stanisław
(do Kasi).

Żeby mię tak która chciała?

Kasia
(bocząc się).

A coby pon z takij mioł?

Stanisław
(chce ją objąć, ona się usuwa).

Żonę! tybyś chłopa miała...
potem... coby Bóg nam dał!
(Bierze czapkę Staszka, kładzie na głowę).
Patrz! już tylko brak sukmany,
a do ślubu-bym dziś mógł!

Kasia
(śmiejąc się).

Co-ta taki chłop, przebrany...
(Pokazuje).
Chłop od głowy, ślachcic z nóg!
(Wbiega Ewka, za nią Grzelka, który się przed chwilą wysunął).

Ewka.

Rozwaliłam siana stóg!
Juz posłano pode krzami.
(Zbliża się Matusowa).

Stanisław
(wyjmuje pieniądz, chce dać Matusowej).

Za gościnę...

Matusowa
(chowa rękę).

Chowaj Bóg!
A niechze nos pon nie plami...
(Zbliżają się wszyscy, z wyjątkiem śpiącego zakrystjana).

Stach.

Zostałby pon między nami!

Stanisław
(żegnając się).

Żebym tylko kiedy mógł,
chętnie żyłbym między wami...

Grzelka.

Mógłby pon, zeby pon chcioł!

Stanisław.

Gdyby tylko Bóg tak dał...
(Idzie ku drzwiom).
Smacznie będę sobie spał...
(Rozglądając się po izbie).
Cicha nocka... cicha wioska...
Matka Boska Częstochowska.
(Schyla się po teczkę).

Grzelka
(uprzedzając).

Ja poniosę! pójdę wprzód...
(Wybiega, a za nim dziewczęta i parobczaki; w izbie zostaje tylko sołtys, Matusowa i Walenta).

Stanisław
(we drzwiach, zwrócony półtwarzą do izby).

Cicha nocka... pośród wioski
chata... obraz «Częstochowskiej»,
a dokoła barwny lud:
Chwacki... strojny chłop krakowski,
czapka z piórem! w «potyk» pas!
bo bez chłopa niema wioski,
a bez wioski niema nas!
(Wychodzi).

Sołtys
(po małej pauzie do Matusowej).

Najlepsego!
(Podaje kieliszek).
do kumoski!
(Matusowa przepija do Walenty).

Walenta.

Jo wom mówie, Kacper was(z)!
(Kurtyna zapada. Przy zapadnięciu kurtyny słychać ze dworu śpiew Ewki):
«Hej, tam w ciemnym lasku
Zórawie śpiewajom,
A mego Grzesinia
Na wojnę wołajom...
O, mój Boze kochany,
O, mój Boze kochany».

OBRAZ III.

(Na pierwszym planie chata, ogrodzona płotem. Za płotem łąka z kopami siana. W głębi na lewo szczyt chałupy wdowy Matusowej. Pod ścianami chaty narzędzia: pług, brona. Opodal chałupy studnia z żurawiem. Na prawej stronie łąki brzoza, pod brzozą na zasłanem białą chustą sianie śpi Stanisław. Noc gwiaździsta, księżycowa; z oddali słychać parskanie koni, pasących się na pastwisku, odgłosy fujarek i zbliżający się śpiew).

«Psedom ciele na jarmarku
Za śtyry bite...
I wyprawie weselisko
Dana! obfite!...
Hop! hop! oj dana!
Dana! obfite!...»

Grzela
(wchodzi z prawej strony i, trzaskając z bata, przyśpiewuje w dalszym ciągu).

«...dom dwa złote organiście,
zeby wloz na chór...
I zaśpiewoł urocyście
Veni kreatur!...»
(Urywa i spogląda ku lewej stronie).

Cyby Jewka se zaspała?
Cekom... cekom... obiecała...
(Słychać głos piszczałki).
Stasek ano w łąkach gra...
(Przysłania oczy i uchyliwszy się, spogląda ku lewej stronie).
Widzi mi sie, jakby sła!
(Idzie kilka kroków w stronę wsi).
Nie!
(Po chwili).

Cy matka przyłapała?
cyby była na mnie zła?
(Drapie się w głowę).
Pssiakość! straśnie mi nijako...
co to jednak znacyć ma,
ze bij chłopa choć drapako,
un do baby nikiej ćma
do łucywa....
(Nasłuchując).
jakby sła!
idzie! idzie! Moja gra!
(Podbiega, nawołując półgłosem).
Jewciu! Jewciu!

Ewka
(wychodzi z lewej strony).

Gzelka... ty?

Grzelka.

Jo...
(Bierze ją wpół i prowadzi ku płotowi).

Ewka.

...Myślałam, co nie psyde:
w izbie światło, jak na bide,
a matusia letko śpi...

Grzelka
(przyciskując ją do piersi).

O, Jewuchna! jakoś ty,
az mie spiro...

Ewka
(broniąc się pocałunkom).

Gzelka, siedź!

Grzelka.

Chodźwa ksynkę ku borowi...

Ewka.

Niechce! Uźry kto i powi(e)...

Grzelka.

Głupioś!... ktoby!...

Ewka.

No, to wiedź!
ale...

Grzelka
(całując).

Jewciu!

Ewka.
(z udanem oburzeniem).

Gzelka, siedź!
bo nie pude...
(Zatrzymuje się, po chwili).
Kochos ty mie?

Grzelka
(garnąc się).

O, Jewuchna, latem, zimie,
zawdy! kiej chces...

Ewka.

No, to... wiedź!

Grzelka
(obejmując ją w pół).

Mój miesiącu!

Ewka.

Gzelka, siedź!
(Zatrzymuje się).
A jak ojce nie pozwolom?

Grzelka.

Pojme z wolom, cy niewolom!
bo to tylko tutok świat?
byle w garści styk a bat,
to mie kuždy ślachcic przymie...
(Całuje Ewkę).

Ewka.

Gzesiu!

Grzelka.

Jewciu, kochos ty mie?

Ewka
(groźno).

Drozsyś dlo mnie, niźli brat!

Grzelka
(wzruszając ramionami).

E... co mi ta przyjdzie z «brata»...
na psa taka mi zapłata!
(Udaje, że odchodzi).
Zabiere się, puńde w świat...

Ewka
(zatrzymując go).

Gzelka! przestań!
(Popłakuje).
...takiś to!

Grzelka
(uspakajająco).

Cichoj, Jewciu!
(Całuje ją).
...cichoj! no!
cichoj! cichoj!
(Wesoło).
toż to śpasy!
Puńdę z tobą w góry! lasy!
na wesele i na zło!

Ewka
(chwyta go za rękaw sukmany i mówi z przestrachem, wskazując gestem w stronę pastwiska).

Gzelka!

Grzelka
(odchodzi na bok. Nasłuchuje, po chwili wraca).

Nic! to śkapy źrą...
spętałem je na paświsku...
(rozglądając się).
Nik(t) nie łazi tu w poblizku—
(Słychać fujarkę).
A to Stasek w łąkach gro...

Ewka
(trwożliwie).

Oj! bo jakby nadsed kto,
takby ojce zakrakali...

Grzelka.

Głupioś! ojce...
(Obejmuje ją w pół).
...pudźwa dali...

Ewka
(ociągając się).

Kiej sie boje...

Grzelka
(z urazą).

Jak se chces,
abo nie wiez, abo wiez...
Jo juz wszyćko obmyśliłem
i u księdza nawet byłem...
(Przysiadają obydwoje na płocie).
Zechcom ojce a zezwolom...
a nie—zrobie swoją wolom!
Świat syroki wzdłuz i wsez!

Ewka
(wahająco).

Zawdy...

Grzelka.

Juz mi, Jewciu, wiez!
(Całuje ją).
Puńdę z tobą na kraj zi(e)mi...

Ewka.

Będzie cniło się za swymi...

Grzelka.

Wszędy ludzie zajednacy,
a cokolwiek cłek obacy...
(Spostrzega śpiącego Stanisława).
A... ten ślachcic tutok śpi?...

Ewka.

Dobze z ocu mu patsyło...

Grzelka.

...i pił z nami, aze miło!

Ewka.

...musi nie być człowiek zły—
chocioż z miasta, chocioż pon...

Grzelka
(przerywając).

Abo to ma co do cego,
chocioż i ślachecki ston!
Bywa gałgon chłop i pon,
jak nie trafić na dobrego...
Z tym...
(Ukazuje na śpiącego Stanisława).
...toświa sie pokochali!
(Stanisław porusza się we śnie).

Ewka
(z przestrachem).

Widzis!...

Grzelka.

...Lepi pódźwa dali,
mogą śkapy zaliźć w łon,
jescek-by kto zafantował...
(Wychodzą powoli ku prawej stronie. Po chwili z oddalenia).
...zebym jeno obiecował,
to sie bój! ale ci pedom:
ześ ty moja! ze cie nie dom,
choćby za łby psysło drzeć...
(Z coraz większego oddalenia).
Choćbym się mioł z ludźmi pobić!
tak mi Panie Boże świć!
(Po chwili).
choćbym ręce mioł urobić...
(Po dłuższej pauzie).

Ewka.

Gzelka!

Grzelka.

Głupioś!...

Ewka

Gzelka! siedź!
(Przez chwilę cisza, przerywana tylko ćwierkaniem ptasząt i parskaniem koni. Po pauzie, z lewej strony słychać głos Kacpra).

Kacper.

Psiacie księzyc! jak to zblad(ł)...
(Wychodzi z lewej strony. Idzie drogą, spoglądając w górę).
Cy jo zgłupioł, cy ten świat,
cy obydwaś-wa do kupy?...
Ide... ide... do chałupy...
(Zatacza się i pada).
Psiacie księzyc, jak to zblad(ł)
(Podnosi się z ziemi i maca rękoma po drodze).
Toć to droga... widać ślad!
dobze ide, a nie mogę...
(Wraca w stronę, z której przyszedł).
Wszyćcy djabli! choć i drogę...
(Spoglądając w górę).
Psiacie księzyc, jak to zblad(ł)
(Zapala zapałkę i przyświeca sobie).
Cy jo zgłupioł, cy ten świat?
cy obydwa razem w kupie?
(Zatacza się i uderza głową o płot).
Psiacie...
(Chwyta się za głowę)
...az mie we łbie łupie!
(Rozgląda się).
Co sie stało tej chałupie?
(Patrząc w górę).
Psiacie księzyc, jak to zblad(ł)!
Cy jo zgłupioł, cy ten świat?...
(Szuka zapałek).

Psiacie... wysły mi patycki...
(Upada).
Niechcie! az mom w ślipiach świcki!
(Siedząc na ziemi).
Wszyćcy djabli z takom drogom!
robiom siarwark, a niemogom
wynaprawiać... taki ład!
(Spogląda w górę).
Psiacie księzyc... jak to zblad(ł).
(Po chwili).
Cy to jo sie juz zeniłem?
Cym od ślubu? Nie... Pol kat!
Cy jo wim? Pić... no to piłem...
(Spogląda sennie w górę).
Psiacie księzyć, jak to zblad(ł),
a «patycków» zabacyłem...
(Po chwili, usypiając).
Mom jo babe? cym przez baby...
wszyćko jedno... trochem słaby...
Matusowo!
(Macha ręką).
Głupi świat!
Psiacie księzyc, jak to zblad(ł).
(Usypia, oparty o płot).
(Dłuższa pauza. Cisza. Słychać ćwierkanie ptaków, pastusze głosy, po chwili rozlega się echo fujarki, zbliżając się ku wsi).

Stanisław
(usiadł na posłaniu. Otwiera oczy i mówi półsennie).

...Jakaś dziewka... biała brzozka...
jakieś wizje! jakieś sny...
. . . . . .
Spałem! Noc... noc... spałem... wioska...
(Z westchnieniem).
Jakiś ciężar, jakaś troska!
Padłem martwy, jak ten kloc!
. . . . . .
Spałem... śniłem... spałem... noc!
(Nadsłuchując).
Noc... Pastusze echa... granie...
Siano... Spałem tu na sianie...
Spałem twardo...
Jakaś moc
tajemnicza! wizje! sny!
Głowa boli... serce drży!
Śniłem...
Piękna! jasna noc!
. . . . . .
(Zamyka oczy).
Jakieś wizje... jakieś sny...
. . . . . .
(W górze słychać melodję kolendy: „W żłobie leży“... Stanisław siedzi z zamkniętemi oczyma. Nad jego głową ukazuje się Stajenka Betleemska).
(W ekstazie).
Noc gwiaździsta... Pastuszkowie!
Jutrznia! Betleem! trzej królowie...
. . . . . .
Łzy się leją! gorzkie łzy!
. . . . . .
(Z otwartemi oczami).
Jakieś wizje! jakieś sny!
. . . . . .
(Zamyka oczy).
Wszystko klęka! wszystko w łzach!
Jakaś dziewka... biała brzozka...
lud krakowski... nasza wioska...
(Z goryczą).
Strach na wróble! czapka! łach!
Wszystko klęczy! wszystko w łzach!
. . . . . .
(W górze brzmi przyciszona melodja: „Bogarodzica Dziewica!“).
Noc miesięczna... W wieńcu gwiazd
Te obłoki wysrebrzane...

Płyną klucze żurawiane
Z orłem—do swych gniazd,
(Nad jego głową pojawia się orzeł, Piast, Rzepicha).
. . . . . .
Wioska... kmiecie... pieśń w dąbrowie...
Święty patron... ludzi mrowie...
Plastry miodu... socha... Piast...
Wizerunek Częstochowski...
Czapka z piórem, w «potyk» pas!
(Z naciskiem)
Bo bez chłopa niema wioski,
a bez wioski niema nas!
. . . . . .
(Otwierając oczy).
W głowie zamęt! w sercu strach!
. . . . . .
(W górze rozlega znów: „Boga Rodzico Dziewico!“ Stanisław zamyka oczy. Nad głową pojawia się św. Stanisław i bitwa pod Grünwaldem).
Lecą! lecą białe chmury!
Święty patron! krzyż... kontury!
Matejkowski obraz w mgłach...
(Coraz goręcej).
Grom za gromem bije z chmur
Rozwichrzoną błyskawicą...
Lecą czuby pawich piór!...
Stygną serca pod zbroicą!
Grom za gromem bije z chmur...
Padły czuby pawich piór!
(Oddycha ciężko).
. . . . . .
Jakieś wizje, jakieś sny!
(Otwiera oczy).
Głowa cięży, serce drży...
(Zamyka oczy. Nad głową ukazuje się atak husarji na zaporożców).
Huf za hufem ściele pole,
Skrzydła orle i sokole...
Jak na gody poszedł lach!
. . . . . .
(Zmienionym głosem)
...Ale ptoki nie som głupie,
Wiedzom, co chłop je(st) w chałupie,
A to tylko taki strach!
. . . . . .
(Przysłaniając twarz rękoma).
Miecz i ogień! krwawe gody!
Bratobójstwo! Żółte—wody!
Ukraina w krwi i łzach!
(Dłuższa pauza. Stanisław siedzi ze zwieszoną głową. Słychać pobudkę. Nad głową Stanisława ukazuje się Sobieski pod Wiedniem).
Leci orzeł, leci,
od rodzimych leci pól,
A na czele pędzi król,
Król obrońca Chrześcijaństwa
od rodzimych leci pól!...
Hen, daleko orłem leci.
(Stłumionym głosem).
...A cyj-ze król?
...Ano... państwa!
(Z okrzykiem).
Wszystkich! bośmy jedne dzieci!
. . . . . .
(Zmienionym głosem).
A koń pod nim nikiej smok!
. . . . . .
(Opadając z sił).
I to imię poszło w mrok!
. . . . . .
(Po chwili).
Ból mnie chwyta... straszny ból!
. . . . . .
(Dłuższa pauza).

. . . . . .
(otwierając oczy).
Jakieś wizje! jakieś sny!
Głowa boli... serce drży...
. . . . . .
(zmienionym głosem).
«Ale Stasek sypioł w krzach,
Jeno Jonek loz na dach...
(Z westchnieniem).
Nie móg zradzić som ogniowi,
Spolił się dobytek gdowi...
A gdyby spał w izbie Stach,
toby społem śli na dach...
Kto wi jesce jakby było,
możeby się nie spoliło..
. . . . . .
(Wybucha płaczem. Po pauzie, w górze słychać tony oberka. Nad głową Stanisława ukazuje się krakowskie wesele, ale niknie zaraz).
Weselisko! skrzypki! duda!
(coraz smutniej).
Chaty... dworek... kupa luda!...
basetlista ciągnie smykiem,
Panna młoda pod strojnikiem!
Dożynkowy zboża snop...
(Pauza, słychać stłumiony jęk dzwonów).
. . . . . .
(z goryczą).
Biją dzwony! grają dzwony!
. . . . . .
(zmienionym głosem).
...Niechże będzie pochwalony!...
— A kto umarł?
Ano... chłop!
(przytomniejąc).
Jezus! Marja co mi jest!
(Słychać coraz bliżej echo fujárki).
Jakieś echa rozmodlone
Opowiły drzew koronę
i wołają w moją stronę:
Jedne pieśni! jeden chrzest!
Jezus, Marja, co mi jest!
(Opiera się o drzwi. Po chwili przytomnie).
Ot! użyłem chłopskiej doli—
Głowa boli, w sercu boli...
Zgoła inny! inny świat...
(Idzie zwolna ku płotowi, za którym leży Kacper).

Kacper
(przez sen).
Psiacie księzyc jak to zblad(ł)...

Stanisław.
Dziwne wizje trapią w snach.

Kacper
(sennie).
Matusowa! Matusowa!
jesce tego.....

Stanisław.
Cięży głowa...
(spostrzega leżącego Kacpra. Wpatruje się weń).
To już nie na wróble strach.
(z ironją).
Tenby nie mógł iść na dach!

Kacper
(przez sen).
Jesce tego, no... Walenta!
i w tabele juz wciągnięta?
Psiacie księzyc jak to zblad(ł).

Stanisław
(odwraca się ze wstrętem i przysiada na żerdzi opodal, zwrócony twarzą ku chałupie).

I jam—prawdę mówiąc—wpad(ł)...
I ja piłem coś zawiele—
jak ci Kaprzy, jak ci Grzele...
Inni ludzie! inni świat...

Kacper
(usypiając nanowo).
Psiacie księzyc, jak to zblad(ł)...

Stanisław
(zamyślając się).
Taka wdowa... niby szlocha,
a już swatka, a już swat...
(po chwili).
Czy ten lud już nic nie kocha?

Kacper
(mrucząc).
Psiacie księżyc... jak to zblad(ł)...

Stanisław
Czyż w tej chacie nic nie bije?
czyż pierś chłopska... pustka? step?...
(po pauzie).
Jedno plemię, jeden szczep
i pod jednem niebem żyje—
i u wszystkich w herbie socha!
Ja zapłaczę—on nie szlocha...
Czyż w tej piersi pustka? step?

Kacper
(przez sen).
Gront przed wszyćkiem...

Stanisław
(odwraca się i wpatruje w zamyśleniu w śpiącego Kacpra, po chwili).
Ziemię kocha...
Ziemię, co mu rodzi chleb!
(Siada w zamyśleniu).
Co ukochał to i ma,
Krzyż przy drodze... w polu pług...
(Zbliża się Stach, grający na fujarce).
ktoś tu na fujarce gra?...
(Z westchnieniem).
ale to nie złoty róg!
(Spoglądając ku chacie).
Co mu dano, to i ma,
co mu zwierzył w ręce Bóg...
. . . . . .
Jak ten pasterz rzewnie gra...
ale to nie złoty róg!
(Zamyśla się).
On by jednak zagrać móg(ł)...
(Dłuższa pauza. Słychać coraz bliżej fujarkę. Stanisław siedzi zamyślony, wpatrzony w chałupę. Nagle z komina chaty zaczynają wydobywać się iskry).

Stanisław
(spostrzegłszy ogień).
Jezus! Marja!
(Zrywa się).
Gore! ludzie!
(Biegnie do śpiącego pod płotem Kacpra).

Kacper
(nieprzytomnie).
Napijma sie, gładzi pudzie...

Stanisław
(nawracając ku chałupie).
Gore! ludzie! Grzela! Stach!

Stach
(wybiegając z prawej strony).
Oloboga! chata w skrach!
(Dobiega do drzwi chałupy i bije w nie pięścią).
Gore! gore!

Głosy z oddalenia.
Rany! rany!

Matusowa
(wybiegając z izby).
Ludzie! ludzie! chrześcijany!
(Załamuje ręce. Wbiega Grzelka, za nim Ewka. Wybiegają dzieci Matusowej z chałupy).

Stanisław.
Po drabiny! i na dach!

Matusowa.
Rety! rety!

Stanisław.
Grzelka! Stach!

Matusowa
(wyciągając ręce).
Mój panocku ukochany!
(Nadbiega kilku pastuszków i zaczynają z chałupy wynosić sprzęty i statki).

Grzelka
(ciągnie drabinę).
Sadze płonom! żywo! wody!

Matusowa.
O narody! o narody!

Stach.
Potrza w kómin wetkać łach!

Stanisław.
Dalej, żywo!
(Spostrzega rozbudzonego Kacpra, który zbliża się leniwo).
Kacper! Grześ!
Pójdzie z dymem cała wieś!

Matusowa
(wynosząc z chaty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej).
Oloboga! rany! rany!

Stanisław
(podbiega do drabiny, przystawionej przez Grzelkę).
Dalej! żywo!
(Zdejmuje surdut).
(Do Stacha).
Daj sukmany!
zmaczaj w wodzie i na dach!
(Sam macza surdut).

Grzelka
(podtrzymując drabinę).
Duchem! w komin wetkać łach.

Stanisław.
Dalej za mną! kto żyw! ludzie!
bo wieś cała z dymem pójdzie!

Grzelka.
Jo przytrzymom drabie z dołu...
(Słychać bicie dzwonów).

Stach.
A jo z panem wraz pospołu!
(żegna się).
W imię Ojca!
(Wchodzą na dach. Nadbiega sołtys, kilku gospodarzy, parobków, kobiet i dziewczyn).

Sołtys
(ukazując na pług pod ścianą, do Kacpra).
Odciąg pług!
z popód ściany! bo się spoli...
Za wiaderka chłopcy! mali!

Michał.
Ratuj! komu miły Bóg!

Stanisław
(z dachu).
...bo wieś cała z dymem pójdzie!
(Rozpoczyna się ratunek, przerywany okrzykami: rety! rany! Jedni podają wodę, drudzy wynoszą sprzęty, kobiety klękają, modlą się i podnoszą święte obrazy do góry).

Matusowa
(biegając z załamanemi rękoma).
Moi ludzie! moi ludzie!
Kumotrowie! chrześcijany!
O Jezusie ukochany!

Walenta
(do drugiej chłopki).
Ktoby sie ta spodziać móg(ł),
dopust Boski...

Głosy.
Proboszcz idzie!
(Kobiety biegną ku księdzu. Matusowa stawia obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na pługu. Inni wynoszą sprzęty na łąkę. Po drabinie na dach wchodzi jeszcze kilku parobków z wiaderkami. Okrzyki: rety! rany! trwają).

Kasia
(wbiegając wpół ubrana).
Rety! rany!

Grzelka
(wesoło)
Jus po bidzie!

Głosy.
Gaśnie! gaśnie!

Sołtys.
Jus po strachu!

Kasia
(zbliżając się, do Grzelki).
To ten ślachcic?

Grzelka.
Juści ten,
nicem kocur loz po dachu!

Walenta.
Gaśnie! zgasło! już po strachu!

Matusowa
(chyląc się do nóg księdza).
Spałam... bo mnie zmozył sen...
(Stanisław schodzi z drabiny. Wita się z księdzem. Wszyscy grupują się obok. Ewka strzepuje kapotę Grzelki).

Ksiądz
(wskazując na stojącego w zaczernionej malarskiej koszuli Stanisława).
Podziękujcie... łaska Boska!

Matusowa
(chyląc się do kolan Stanisława).
O! Bóg zesłał nam panoska!
(Do grupy włościan zbliża się idący pośpiesznie Łukasz).

Grzelka
(do Łukasza, opowiadając).
Pon wloz pirszy... za nim Stach...

Łukasz
(podchodząc ku Stanisławowi).
No!... i ostoł cały dach
I chałupa gdowia stoi...
(Kiwa głowa).

Ksiądz
(do otaczających).
Podziękujcież, bracia moi!
(Kobiety zaczynają płakać).

Stanisław.
Widzę wdzięczność w ludu łzach!
(Zwraca się do stojącego obok Staszka i ściska go ręką, ten chce Stanisława pocałować).
Tobie Staszek... i mnie Stach!

Łukasz.
I chałupa gdowia stoi.

Ksiądz
(do otaczających).
Pomódlmy się, bracia moi!
(Matusowa i kobiety ustawiają obraz Częstochowskiej i inne obrazy, opierając na pługu).

Kacper
(do Łukasza, drwiąco).
Stoi... stoi... wielgo rzecz,
stoi... stoi... cóż to wasa?
toby była fajerkasa!

Stach
(odpychając Kacpra).
Milc opoju! posed prec!

Matusowa
(do Stanisława).
Niech Najwyższy strzeże Bóg,
Psenajświętsa Pani ta...
(Idzie, klęka pierwsza przed obrazami. Inni kolejno przyklękają).

Stanisław
(patrząc w zadumie).
Co mu dano, to i ma
Obraz święty... stalny pług...
(Z westchnieniem).
Gdybyż jeszcze złoty róg
wziął w swe ręce lud krakowski!
za kowany zatknął pas!
. . . . . .
bo bez chłopa niema wioski,
a bez wioski niema nas!

Ksiądz
(robiąc znak krzyża),
Pomódlmy się, bracia moi!
(Lud schodzi się i klęka).
(Stanisław bije się w piersi... Kurtyna zapada. Śpiew trwa dalej).

DRUKARNIA DOMOWA.

Niezbędny dla każdej prywatnej i rządowej instytucji przyrząd ruchomych kauczukowych liter we wszystkich językach), któremi każdy może drukować wizytowe i adresowe karty, blankiety, koperty, cyrkularze, awizacje i t. p.

Sprzedaje po cenie zniżonej

jedyna w Rosji fabryka ruchomych liter «POBIEDA» **I. A. LEWINSONA,**

Odesa, Kanatnaja 14, poczt. skrzynka 783 i w Wiedniu Adlergasse 12.

№ 0 z	90 literami	1 r.	— k.	№ 3 z	482 literami	4 r.	75 k.
№ 1 »	161 »	2 »	— »	№ 4 »	716 »	6 »	50 »
№ 2 »	291 »	3 »	50 »	№ 4a »	1005 »	10 »	— »

Cenniki wysyłamy za 7 kop. markę. Poszukują się agenci.
Fabryka wykonywa również stemple i pieczęcie. (3761)

POŁUDNIOWO-RUSKIE DNIEPROWSKIE TOWARZYSTWO METALURGICZNE

Herb Państwa na Wszechrosyjskiej Wystawie w Niżnim-Nowgorodzie w r. 1896.

Zakłady Dnieprowskie

Wielki Medal Złoty na Paryzkiej Wszechświatowej Wystawie w roku 1889.

Zakłady położone przy stacji „Trytuznaja", Jekaterynińskiej dr. żel.

Marka fabryczna Д. З. **żelaza.**

ZAKŁADY DNIEPROWSKIE WYRABIAJĄ:

Surowiec bessemerowski, biały, odlewniczy i spiegel.
Szyny wszelkich typów dla dróg żelaznych, parowych i konnych.
Szyny profilów lekkich dla kopalń etc.
Szynowe łączniki.
Obręcze.
Osie do parowozów, tendrów i wagonów.
Stal resorową.
Belki walcowane, I i kształtu |—|
Żelazo kolumnowe i kolumny.
Wały walcowane do transmisyj.
Blachę stalową i żelazną.
Rury wodociągowe lane od 3" do 12" średnicy.
Żelazo dwukątowe, pługowe, kątowe, teowe T, sztabowe płaskie, obręczowe, kwadratowe, okrągłe, półokrągłe rusztowe, żelazo spajane i lane, oraz stal.
Drut walcowany do 5 mm. średnicy, ze spajanego i lanego żelaza, oraz stali.
Kotły parowe zwyczajne i wodnorurkowe.
Rezerwoary i kadzie.
Formy mostowe, wiązania dachowe.
Kafary do szybów.
Żelazne wagoniki dla kopalń.
Weksle i krzyżownice.

ODLEWY STALOWE I ZELAZNE. — DOSTAWA RUDY MANGANOWEJ

Zamówienia przyjmują:

Dyrekcja Zakładów w Kamienskoje

i AGENTURY — **w Petersburgu:** Mała Morska 6; **w Moskwie:** Twerski bulwar № 60; **w Charkowie:** Sumskaja № 23; **w Kijowie:** Kreszczatik 12; oraz AGENCI—**w Warszawie:** A. Zaborowski (Smolna 28); **w Wilnie:** M. Beskin; **w Odesie:** L. Jacobsam; **w Rydze:** P. Stolterfoht; **w Mikołajewie:** F. Frischen; **w Jekaterynosławiu:** M. Karpas; **w Baku:** Bracia Goldlust.

Adres dla listów: **Zaporożje-Kamienskoje, Jekaterynińskiej dr. żel.**
Adres dla depesz: **Zaporożje-Kamienskoje Metal.** (3616)

Z CHWILI.

Mrugając, na płotek wlazł kotek,
Warszawa nie żyje bez plotek:
Plotkarzy tu w mieście są zgraje,
A każdy mądralę udaje,
Na plotki apetyt ma wilczy,
Słuchając ploteczek wciąż—milczy,
A gdy się nasłucha, to juści
Znów plotkę po mieście rozpuści.
Mnożą się z tych plotek wciąż chryje.
Warszawa bez plotek nie żyje...
(Mucha)

KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT

K. SZEPE,

Kijów, Kreszczatik № 20
(«Grand Hotel»).

Poleca obficie zaopatrzony skład wyborowych pocztówek (kart korespondencyjnych): widoków miast, różnych typów, kwiatów i karty w stylu dekadenckim, najlepszych malarzy modernistów.
Posiada także na składzie fotografje różnych obrazów, fotograwiury i heliograwiury różnej wielkości, w ramach lub bez. (770)

SPECJALNY SKŁAD
wyłącznie oczyszczanego i dezynfek.

PUCHU i PIERZA
DO PODUSZEK

J. Richter.
Kijów, Kreszczatik 10.
Wielki wybór gotow. poduszek. (801)

SKŁAD APTECZNY
i KOSMETYKÓW

K. NIWIŃSKIEGO

w Kijowie, Kreszczatik № 23.

Poleca wielki wybór perfum, kosmetyków, przyb. toaletow. Szklane wyroby Baccara, szczotki, grzebienie, szyldkrety. Apt. towary, chem. przetw., artykuły gospodarcze. (800)

M. TABĘCKI

(dawniej W. BURK),
KIJÓW; Kreszczatik 37, wprost Funduklejewskiej. (771)

MAGAZYN OBUWIA

męzkiego, damskiego i dziecinnego.

Fantazja na temat polskiej piosnki:
«Tam na błoniu błyszczą kwiecie»,
ułożona na fortepian na 2 ręce przez **Wiktora Zientarskiego.**
Cena kop. 75, z przesyłką rb. 1. Nakład Księgarni i Składu nut **Leona Idzikowskiego** w Kijowie. (4114)

TOWARZYSTWO

„RABOTNIK"

Największy wybór najlepszych maszyn i narzędzi rolniczych. (784)

KIJÓW: Mikołajewska. **PETERSBURG:** Solanoj-Gorodok. **MOSKWA:** Sadowaja.

SŁUSZNY POWÓD. — Co widzę!?... Szanowna pani czyta książkę «O moralności»?
— Mój Boże! trzeba przecież o wszystkiem mieć jakie takie pojęcie...
(Przeg.)

BIELIZNA

MĘZKA, DAMSKA I DZIECINNA.

B-CIA A. I. ALSZWANG

w Kijowie, Kreszczatik (Grand Hotel).

FABRYKA W MOSKWIE. — **Oddziały:** w Warszawie, w Odesie, w Jekaterynosławiu, w Wilnie, w Mińsku, w Tyflisie, w Charkowie, w Sewastopolu i w Kiszyniowie. — Przy każdym Magazynie znajdują się przekrawacze do przyjmowania obstalunków. — Cenniki wysyłamy na żądanie franco. (780)

W HOTELU. — Jakże pan dobrodziej spał?
— Wybornie... ale te biedne pluskwy to oka nie zmrużyły. (Śmig.)

Warsztaty mechaniczne, fabryka maszyn i odlewnia żelaza

HENRYK LANZ

w MANNHEIMIE,

wice-prezydent Komitetu szacunkowego klasy XIX na wszechświatowej wystawie w Paryżu w r. 1900,

WYRABIA:

Maszyny parowe i lokomobile od 4 do 300 sił.
Młocarnie parowe, konne i ręczne, i młocarnie do koniczyny, kieraty, sieczkarnie, krajacze do buraków, gniotowniki, śrótowniki, tryery, separatory do mleka i t. d.

Fabryczny Skład w Winnicy (gub. podol.)

zawsze zaopatrzony obficie we wszystkie powyższe maszyny, oraz wyroby reprezentowanych przez siebie firm: Eckerta, Mac-Cormicka, Röbera, Hessa i wiele innych. (3603)

Cenniki na pierwsze zapotrzebowanie gratis i franco.

Z DOMOWYCH DYSKURSÓW. *Żona.* Cóż, mężusiu? prawda, że już niedługo wyślesz mnie do Krynicy?
Mąż. Nie, moja duszko; w tym roku ja będę z tobą romansował! (Boc.)